



***ALISON ROBERTS***  
***Jedna szansa  
na milion***

---

*Tytuł oryginału:  
A Chance in a Million*



---

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

---

- Na pewno dobrze się czujesz?  
- Uhm, w porządku. - Fiona energicznie namydliła ręce, a następnie sięgnęła po szczoteczkę. - Czemu pytasz?  
- Coś nie jesteś dziś skora do rozmów.  
- Mało kto jest skory do rozmów o wpół do ósmej rano.  
- Pracowicie szorowała skórę pomiędzy palcami, paznokcie, dłonie. - Poza tym znasz mnie przecież. Jestem z natury poważna i refleksyjna, nie pozwalam sobie na płoche żarciki przed operacją.

Martin Cox roześmiał się. Wytrzeł ręce w sterylny ręcznik i patrzył, jak koleżanka sputkuje pianę z dłoni, a potem, lekko się nachylając, aż po same łokcie. Wreszcie zakręciła kran i spojrzała przelotnie na Martina.

- Chyba trochę się denerwuję. To moja pierwsza prawdziwa operacja, a ty będziesz mi stał nad głową i obserwował każdy ruch. Kto by się nie denerwował?

- Wątpię, czy kiedykolwiek w życiu zawiodły cię nerwy. Paliłaś się do tego już za pierwszym razem, kiedy mi asystowałaś. - Martin, lekarz na oddziale położniczo-ginekologicznym, uważnie przyjrzał się swojej młodszej koleżance. - I jestem pewien, że w razie czego świetnie byś sobie poradziła.

- Dzięki za słowa otuchy. - Włożyła ręce w rękawy fartucha operacyjnego, który podała jej pielęgniarka, po czym odwróciła się tyłem, by dziewczyna mogła go zawiązać.

- Jesteś w formie, prawda? - Martin naciągnął mankiet rękawiczki chirurgicznej na dolną część rękawa fartucha.

- Tak. To przecież zwykła histerektomia, nie powinno być komplikacji. Zresztą w razie czego kawaleria przyjdzie mi na odsiecz. - Puściła do kolegi oko.

- To o co chodzi? Czyżbyś żałowała, że nie zgodziłaś się na randkę, którą ci zaproponowałem?

Śmiejąc się, zaprzeczyła ruchem głowy i mocniej naciągnęła rękawiczki.

- Coś mnie zastanawia - nie ustępował Martin. - Spędziłaś weekend na farmie, a dotychczas nie usłyszałem ani słowa o kłopotach rozródowych owiec, sukcesach w szkoleniu psów czy eskapadach na wierzchowcu, którego próbujesz właśnie ujeździć.

- Na owce jeszcze nie pora, a psy i konie spełniają moje wszystkie zachcianki. - Uniósłszy ręce, Fiona dziarsko ruszyła ku drzwiom wahadłowym.

- Nie wątpię w to ani przez chwilę. - Z wyrazem podziwu w oczach podążył za Fiona do sali operacyjnej.

- Znakomicie ci idzie - zauważył jakiś czas później. - Jeszcze jeden zacisk na boczną fałdę i możesz odłączać szyjkę.

Fiona była bez reszty pochłonięta operacją. Kiedy macica i jajniki zostały usunięte, skupiła się na podwiązywaniu, diatermii i zamykaniu naczynek krwionośnych. Dopiero gdy ostatnie szwy były już na swoim miejscu, odrobinę się odprężyła i wówczas poczuła, jak okropnie zeszywniał jej kark. Martin odprowadzał wzrokiem pacjentkę, którą właśnie wywożono z sali.

- To powinno położyć kres tym jej krwawieniom. Moje gratulacje, Fiono. Nie zrobiłbym tego lepiej.

- Dzięki. Naprawdę dobrze mi się pracowało. - Zdjęła rękawiczki i wrzuciła je do metalowego pojemnika na śmieci.

- Świetnie. W takim razie zrobisz też następną operację, a potem ja zrobię laparoskopię.

- I to już wszystko na dziś rano? - Wepchnęła fartuch do torby na brudną bieliznę, po czym ruszyła w stronę umywalki, aby ponownie wyszorować ręce.

- Ale gdzie tam. Mamy jeszcze wypadnięcie macicy i poronienie niezupełne, a potem spotkanie z nowym szefem. Jeśli szczęście nam dopisze, zjemy szybki lunch. - Przerwał na chwilę mycie rąk i spojrzał na Fionę z udawaną troską. - To tym się tak denerwujesz, prawda? Boisz się, że mu powiem, że codziennie się spóźniasz, że fuszerujesz robotę, że jesteś niemiła dla pacjentów?

Oboje wybuchnęli śmiechem, ale gdyby nie maska na twarzy Fiony, Martin spostrzegłby, że koleżanka przygryzła wargi. Denerwowała się tym spotkaniem. Myślała o nim niemal przez cały czas od ostatniego zebrania na oddziale, które odbyło się dwa tygodnie wcześniej. Wówczas to bowiem Jack Owens oznajmił, że na trzy miesiące wyjeżdża.

- Jak wiecie - oznajmił wtedy Jack - rodzina mojej żony mieszka w Walii. Już od dawna chcieliśmy zabrać tam dzieciaki na dłuższy pobyt. Okazja nadarzyła się zupełnie przypadkiem.

- To zadziwiające, jak cudowne bywają efekty wspólnego popijania piwa na tych waszych konferencjach - nie omieszkaj dociąć mu Martin.

Jack pokazał zęby w uśmiechu.

- No właśnie. Traf zrządził, że rozmawiałem z jednym z kolegów o postępkach w dziedzinie laparoskopii diagnostycznej i operacyjnej. Wyznałem, że miałbym ochotę na szkolenie w tym zakresie. Z niekłamaną przyjemnością oznajmiam wam, że zgodzili się mnie przyjąć.

- No a kto zastąpi cię tutaj? - Jeden z konsultantów nie krył

zaniepokojenia na myśl o dodatkowych obowiązkach, jakie spadną zapewne na resztę personelu.

- Nie bój się, teraz będzie najlepsze - odparł na to Jack.
- Mają tam u siebie konsultanta, prawdziwego eksperta w tej dziedzinie, który chętnie do nas przyjedzie i zajmie moje miejsce. Nazywa się Jonathan Fletcher. Wprawdzie pochodzi z Nowej Zelandii, ale przez ostatnie cztery lata pracował w Cardiff. Dzięki niemu nasz szpital...

Ale co takiego ich szpital będzie zawdzięczał owemu ekspertowi, tego Fiona już nie usłyszała.

Jonathan Fletcher. Jon. Już samo jego imię wywołało w niej taką burzę sprzecznych uczuć, że z trudem oddychała. Marzenie, skwapliwie dotąd ukrywane, wiele razy grzebane, powróciło z całą mocą, niosąc z sobą ból. Może to i prawda, że nie powinna w sobie hołubić tego marzenia, ale przecież, odkąd sięgała pamięcią, zawsze stanowiło ono najważniejszą część jej planów. A poczucie, że została przez Jona zdradzona, wciąż było aż nazbyt dojmujące. Nie złagodziło go nawet tych sześć lat, które minęły...

Teraz, z powodu ambicji obecnego szefa, Jonathan Fletcher ma znów pojawić się w jej życiu. Na myśl o tym wpadała w panikę, w jej głowie pojawiał się zamęt. Siłą woli skupiła się na tym, gdzie jest i co się wokół niej dzieje. Usłyszała, jak Jack Owens kończy:

- Toteż zarząd powołał zespół, który zajmie się sprowadzeniem sprzętu i który będzie działał zgodnie z jego zaleceniami.

- Fantastycznie! - zawołał Martin Cox, a inni konsultanci gorliwie mu zawtórowali.

Fiona jednak nie podzielała jego entuzjazmu. Musiała odchrząknąć, żeby wykrztusić z siebie pytanie:

- Przyjedzie tu z rodziną?
- Nie mam pojęcia - odparł Jack, wyraźnie zaskoczony.

- Ze wstydem muszę przyznać, że nawet nie wiem, czy jest żonaty.

Ależ jest, jest. Nie wypowiedziała tych słów, ale wyraz jej twarzy wystarczył, by Jack rzucił jej zaciekawione spojrzenie.

- Czyżbyś znała Jona Fletchera?

Zawahała się z odpowiedzią, a od udzielenia jej wybawił ją Martin, który zwrócił się nagle do Jacka:

- Umowa na trzy miesiące. To ustalenie ostateczne?

- Niekoniecznie - odparł Jack. - Istnieje możliwość przedłużenia kontraktu. Zobaczmy, jak obie strony będą się z tym czuły. - Podniósł się na znak, że zebranie dobiegło końca. - Z tego, co wiem, znajomość z Jonem naprawdę się opłaca. Mam nadzieję, że zgotujecie mu miłe powitanie.

Czy było dziełem przypadku, że Jack skierował swoje ostatnie słowa bezpośrednio do Fiony, czy też może intuicyjnie przeczuwał, że praca z gościem - nie mówiąc już o „miłym powitaniu” - będzie dla niej nader trudnym wyzwaniem?

- Ten przedmiot nazywa się wziernik - powiedział cierpliwie Martin z ledwie uchwytną, dobrotliwą przyganą w głosie. - Należy...

- Wiem - mruknęła. - Przepraszam, zamyśliłam się.

Wzięta się w garść i przystąpiła do czekającego ją zabiegu.

Wiedziała, że sobie poradzi, ale to w niczym nie usprawiedliwiało takiej nieuwagi.

Gdyby Martin przystał na przyjaźń, którą Fiona gotowa była mu ofiarować, mogłaby mu powiedzieć, czemu się tak dziwnie zachowuje. Ale Martin nie ukrywał, że szuka czegoś więcej. Należał do licznej grupy adoratorów, którzy starali się o jej względy od czasu, gdy zaczęła studiować medycynę. Ona jednak nie była zainteresowana żadnym z nich.

Najpierw mówiła sobie, że musi się skupić na nauce, potem - że na razie najważniejsza jest praca. Ale w głębi duszy wie-

działa, że wszystkie te emocjonalne uniki mają związek z potwornym smutkiem, jakiego doznała na wieść o tym, że Jonathan się ożenił. A poza tym - czy ktoś by mu dorównał?

Zabiegi chociaż na jakiś czas oderwały jej myśli od perspektywy tego przykrego spotkania. Po pracowicie spędzonym poranku Fiona wreszcie się przeciągnęła, po czym pozbyła się rękawiczek, fartucha i maski, a kiedy podniosła rękę, by zdjąć również czepek, Martin powiedział:

- Uwielbiam patrzeć na twoje włosy. Są takie piękne.

Fiona potrząsnęła głową.

- Muszę przyznać, że to cudowne uczucie. Po takiej pracy jak dziś ich ciężar daje mi się we znaki. Może powinnam je obciąć.

Martin delektował się widokiem grubego, miedzianorudego warkocza, który sięgał jej aż do pasa.

- Mam nadzieję, że tego nie zrobisz. Kto nauczył cię zaplatać je w taki zmyślny sposób?

- To warkocz francuski. Mniej więcej tak samo zaplata się ogon koniowi, który ma wystąpić w pokazie. I stąd to umiem - wyjaśniła ze śmiechem. - Oczywiście trochę trudniej jest zapleść go z tyłu własnej głowy.

Prawdę mówiąc, wymagało to wysiłku, od którego aż bolały ją ręce, mimo to zaplotła rano włosy w ten misterny warkocz. Potem pomalowała tuszem rzęsy, by jeszcze bardziej uwydatnić swe duże, piwne oczy, i przypudrowała twarz, by ukryć piegę, widoczne przy jej jasnej cerze. W głębi duszy wiedziała, - dlaczego to robi, i była trochę zła na siebie, ale zarazem czuła się ładna, zadowolona ze swego wyglądu.

Spotkanie z nowym szefem miało się odbyć w pokoju konsultanta nazwiskiem Filip Reece. Fiona poprosiła Martina, żeby czekał tam na nią w korytarzu, i pobiegła się przebrać. Zwykle kręciła się po szpitalu w stroju operacyjnym, dziś jednak uznała, że na taką okazję byłby on nieodpowiedni.

Zaczęła o tym myśleć już w nocy, kiedy przewracała się z boku na bok, nie mogąc zasnąć. Podekscytowanie, lęk i złość walczyły w niej o pierwszeństwo. Aby dać odpór zalewającym ją emocjom, zaplanowała ze wszystkimi szczegółami, w co się ubierze i co powie. A nawet - co będzie czuć...

Profesjonalne podejście do sprawy, oto właściwe rozwiązanie, zdecydowała w duchu. Żadnych rozterek, żadnych niepokojów, żadnych uniesień. To niepoważne i bezcelowe. Co było, to było, i odeszło w przeszłość. Spotkanie z Jonem będzie dla niej swoistym egzaminem dojrzałości. I ona zda go, jak zwykle, na piątkę.

Z powodzeniem mogłaby zostać modelką - miała zgrabną sylwetkę i metr siedemdziesiąt pięć wzrostu. Nie przywiązywała jednak specjalnej wagi do strojów. Najlepiej czuła się w bryczesach albo džinsach. Do pracy wkładała legginsy i gustowne, lecz proste bluzeczki. Aby uniknąć komentarzy, na oddziale występowała najczęściej w fartuchu, na który narzucała biały płócienny żakiet.

Spódnice miała zaledwie dwie. Pierwszą, prostą i funkcjonalną, nosiła często w ambulatorium. Drugą, elegancką, miała na sobie tylko raz. Kupiła ją specjalnie na ślub przyjaciółki, który odbył się w ubiegłym roku. Była z miękkiej wełny w odcieniu rdzaworudym, który doskonale pasował do jej włosów. Ładnie podkreślała biodra i miała z boku rozcięcie do pół tyłki. I po tę właśnie spódnicę sięgnęła teraz, szykując się na spotkanie z Jonem. Do tego biała bluzka z jedwabiu, wpuszczona do środka. Narzucając żakiet, zerknęła do lustra i uznała, że wygląda wyśmienicie.

Na widok zbliżającej się Fiony Martin Cox zagwizdał cicho, ale z wyraźną aprobatą. Ona jednak zignorowała ten osobliwy komplement. Drzwi do pokoju były uchylone. Patrząc Martino-



wi przez ramię, ujrzała w głębi Filipa, pogrążonego w rozmowie ze znakomitym gościem - Jonathanem Fletcherem.

Przystanąła gwałtownie, zaskoczona wrażeniem, jakie wywarł na niej jego widok. Na szczęście mężczyźni byli tak pochłonięci rozmową, że nie zauważyli jej przyjścia. W pewnej chwili Filip Reece ze smutkiem zmarszczył brwi.

- Cóż, nie ukrywam, że będziemy rozczarowani, jeśli nie zechcesz zastąpić Jacka w nadzorowaniu programu sztucznego zapłodnienia. Masz bogate doświadczenie.

- Powiedziałbym, że aż nazbyt bogate - odparł Jonathan, również marszcząc brwi - ale przestałem się tym interesować ładne parę lat temu. Moja wiedza jest już pewnie nieaktualna.

- Wątpię. - Filip z uśmiechem potrząsnął głową. - W każdym razie przemyśl to jeszcze, choć oczywiście nie ma mowy o jakichkolwiek naciskach. Z łatwością możemy sami się tym zająć. Ale skoro już o tym mowa, to czy...

Mijały kolejne sekundy i Fiona, początkowo zmartwiła, stopniowo odzyskiwała kontakt z rzeczywistością. Teraz była już w stanie ogarnąć całokształt sytuacji i świadomie reagować na to, co widzi i słyszy. Przede wszystkim rzuciło jej się w oczy, że upływ czasu wywarł na Jonie wyraźne piętno. Te parę lat uczyniło go znacznie dojrzalszym. Uderzyło ją też, że jest w nim coś nowego, jakaś subtelność czy wyrafinowanie, które nie pasowało do jej dawnego wyobrażenia o tym człowieku.

Miał bez mała dwa metry wzrostu i zawsze był bardzo szczupły. Kiedyś wydawało jej się, że mu to przeszkadza, że czuje się przez to odrobinę niezdarzy. Teraz ramiona wyraźnie mu się poszerzyły, nadając jego sylwetce znamię siły. Najbardziej jednak zaskoczyło ją to, że włosy miał odgarnięte do tyłu i związane w koński ogon. Była w tym jakaś nieszkodliwa ekstrawagancja, coś, co sprawiało, że wyglądał bardziej na Europejczyka

niz na Nowozelandczyka. Nie miała wątpliwości, że w tym konserwatywnym zakątku taki widok będzie nieco dziwił.

Po chwili dostrzegła też cienkie srebrne pasemka, zwłaszcza na skroniach, a pod oczami - trochę cienia i drobną siateczkę zmarszczek, które do jego trzydziestu dwóch lat dodawały jeszcze dziesięć.

Był opanowany i miał w sobie siłę, ale wyczuła w nim smutek - podobny do tego, który towarzyszył mu już wtedy, gdy go poznała. Na ułamek sekundy zrobiło jej się go żal. Chciała podejść do niego i czule go dotknąć, pocieszyć go, przebaczyć mu, że ją opuścił, ale stojący obok niej Martin przerwał tę chwilę roztkliwienia. Szturchnąwszy Fionę łokciem, zapytał szeptem:

- Zanosi się na jakiś ślub? Czyżbym nie zauważył, że mnie zaproszono?

Z irytacją zmarszczyła brwi. Beztroskie żarty Martina nie pasują do profesjonalizmu, który postanowiła zachować.

- Pytam, bo masz na sobie tę spódnicę - Martin pokazał zęby w uśmiechu - a przecież wkładasz ją tylko na śluby. Jedno twoje słowo, i natychmiast lecę po smoking.

Roześmiała się. Naprawdę lubiła Martina i trudno jej było oprzeć się wdziękowi, z jakim ją adorował. On wytrwale się zalecał, ona go konsekwentnie odprowadzała. Bawili się tą sytuacją, żartując i przekomarzając się, bo teraz oboje już wiedzieli, że to tylko zabawa.

Słyszac śmiech, Filip wyrzwał na korytarz i ucieszył się na widok Fiony i Martina.

- Jon, mam przyjemność przedstawić ci Martina Coxa, naszego starszego lekarza, i młodszą, ale świetnie się zapowiadającą Fionę Donaldson.

Jon zrobił krok do przodu i schwycił Fionę za rękę.

- To ty, Penny? Nie może być!

Wbrew woli stwierdziła w duchu, że serdeczność, z jaką Jon

ją powitał, sprawia jej niemałą satysfakcję. W jego oczach malowała się radość, która szybko wypogodziła całą twarz, zmywając z niej ślady smutku. Ale zaraz potem ogarnęła ją złość, która wzbierała w niej od dwóch tygodni. Jakim prawem on zakłada, że może ot tak, po prostu, wkroczyć z powrotem w jej życie? Jak śmie oczekiwać od niej, że przywita go z otwartymi ramionami? Myśląc o tym, bezskutecznie próbowała wyzwolić dłonie z jego uścisku.

- Mam wrażenie, że się już znacie. - Filip Reece przyglądał się tej scenie z zaciekawieniem.

- Co ma znaczyć ta „Penny”? - Martin również był zdezorientowany.

- Rodzina nazywała mnie tak w dzieciństwie - wyjaśniła przez zęby. — Z powodu koloru włosów.

- Miedziane - rzekł cicho Jon - jak dopiero co wybita jednopensówka.

- To było dawno - zauważyła szorstko. - Zamierzcłże czasy. - Energicznie wyrwała dłonie, z zadowoleniem stwierdzając, że wprawiło to Jona w zakłopotanie.

- Zgadza się. Zdążyłaś trochę zarzewieć - zażartował Martin, lecz twarz miał poważną. Wcale nie był zachwycony tym nieoczekiwanym spotkaniem po latach. Jonathan musiał to wyczuć, bo rzucił mu badawcze spojrzenie, a następnie znów przeniósł wzrok na Fionę, po czym szeroko uśmiechnął się do Martina.

- Penny, to znaczy Fiona, jest dla mnie jak siostra. Jak młodsza siostra. Znamy się od wieków. Studiowałem medycynę razem z jej bratem Danielem.

- Ach tak. - Było oczywiste, że Martinowi wyraźnie ulżyło, bo z lekkim wyrzutem zwrócił się do koleżanki: - Czemu nam, do licha, nic nie powiedziałaś?

Fionę ziryutowała zaborczość Martina. Czyżby musiała mu się

tłumaczyć ze swojego życia? Ale jej rozdrażnienie szybko przeniosło się na Jona, który jakby nigdy nic nazwał ją „młodszą siostrą”. Przecież nie był ślepy, nie mógł nie wiedzieć, co do niego wtedy czuła. Prawdę mówiąc, wiedział. I jakby tego wszystkiego było mało, teraz bez wahania uznał, że coś ją łączy z Martinem. Odetchnęła głęboko, próbując się uspokoić. A cóż to ma za znaczenie, co myśli Jonathan Fletcher? Niech sobie myśli, co mu się żywnie podoba; już nie jest częścią jej życia.

- Nie widzieliśmy się od lat - wyjaśniła chłodno. - Zdziwiłam się, że Jonathan w ogóle mnie pamięta.

Zgodnie z jej intencją słowa te zabolaty go, choć oczywiście tylko ona była w stanie to zauważyć. Jednak miejsce bólu na jego twarzy natychmiast zajął charakterystyczny półuśmiech, który tak dobrze pamiętała. Zawsze się tak uśmiechał, jedną stroną ust, kiedy próbował się usprawiedliwić, kiedy prosił ją o przyjaźń albo o darowanie mu winy. Ale tym razem grymas ten przeznaczony był dla jej starszych kolegów.

- Kiedy ostatni raz widziałem Pen... przepraszam, Fionę, galopowała bez siodła na koniu, wrzeszcząc wniebogłosy jak oszalały kowboj. Sama jedna zagnała na miejsce parę setek owiec.

- W podobny sposób zaprowadza porządek tutaj, na oddziale - zaszotał Filip. - Czasem boki można zrywać ze śmiechu.

Fiona westchnęła ze zniecierpliwieniem. Tego typu komentarze niewiele mogą powiedzieć Jonowi o jej dojrzałości czy umiejętnościach zawodowych. Chciała już skończyć rozmowę na swój temat, ale rozczulenie, z jakim Jonathan wspominał ich ostatnie spotkanie, sprowokowało ją do jeszcze jednej uwagi:

- Musiałam to zrobić „sama jedna”, skoro mój pomocnik okazał się fajtąpą.

Jon głośno się roześmiał, ignorując zawartą w tych słowach złośliwość.

- Chyba nie oczekiwałaś, że dosiędę tego wierzgającego ogiera, i to na dodatek bez siodła?

- Macie sobie pewnie mnóstwo do powiedzenia - wtrącił Filip. - Może zrobimy przerwę, Jon? Resztę szpitala mogę ci pokazać później.

Fiona dobrze wiedziała, że Jon szuka wzrokiem jej oczu, ale właśnie dlatego z rozmysłem spojrzała na zegarek. Spojrzała - i poczuła ulgę.

- Za pięć minut muszę być w przychodni.  
Czyli nici z lunchu, dodała w duchu.

- Na mnie też czeka robota - dodał Martin. - Miło mi było pana poznać, panie Fletcher. Witamy w Christchurch.

Jonathan uścisnął wyciągniętą ku niemu dłoń.

- Dziękuję za życzliwe przyjęcie. I proszę mi mówić Jon.  
Cieszę się, że będę z wami pracował. Z obojgiem.

Chociaż dostrzegła kątem oka, że Jon wyciągnął do niej rękę, bez słowa podążyła za Martinem. Nie powiedziała, że cieszy się z jego przyjazdu. Nie powiedziała mu nawet do widzenia. Trudno to nazwać uprzejmym zachowaniem... Ach, do diabła z tym, pomyślała. Nie można się wiecznie przejmować panem Jonathanem Fletcherem. W końcu to tylko trzy miesiące. A nawet gdyby jego wizyta miała się przedłużyć, to do tego czasu ona będzie już gdzie indziej. I problem sam się rozwiąże.

---

## ROZDZIAŁ DRUGI

---

- Spokojnie, Cheryl, mierzę tylko obwód głowy. - Fiona przejechała suwmiarką po ekranie, następnie przycisnęła inny guzik, i sięgnęła po pióro, by zanotować wynik. - Sumujemy to z innymi pomiarami i dzięki temu możemy określić wagę dziecka i tempo wzrostu.

Ustawiła ultrasonograf tuż nad wyraźnie zaokrąglonym brzuchem Cheryl Batten. Na moment odwróciła głowę i zerknęła na małą dziewczynkę, która siedziała w pobliżu na wysokim stołku.

- Poszukamy czegoś ciekawszego w telewizji?  
Dziewczynka ochoczo skinęła głową.

- Chcę „Wróbla Ćwirka”.

Fiona i jej pacjentka roześmiały się. Ich głośny śmiech zagłuszył odgłos zamykających się drzwi, toteż Jonathan wśliznął się do pokoju przez nikogo nie zauważony. W pomieszczeniu panował półmrok, a poza tym wszystkie trzy były tak przejęte tym, co się dzieje na ekranie, że zupełnie nie zdawały sobie sprawy z jego obecności. Nie odezwał się zresztą ani słowem, tylko stanął nieruchomo w rogu, oparty o ścianę.

- Z „Wróblem Ćwirkiem” mogą być kłopoty, ale co powiesz na to? - Fiona wskazała na ekran. - To ramię i rączka dziecka. Popatrz, rusza się. Coś mi się zdaje, że macha do ciebie.

Dziewczynka aż zapiszczała z radości i chcąc odwzajemnić pozdrowienie, pomachała dłonią w stronę monitora.

- To wszystko na dziś, Cheryl. - Fiona uśmiechnęła się do pacjentki. - Masz jakieś pytania?

- Czy wiadomo, jakiej płci jest dziecko?

- Jesteś pewna, że chcesz to wiedzieć?

Cheryl nerwowo skinęła głową.

- Dla mnie to obojętne, ale Jim jest przekonany, że to chłopiec. Więc w razie czego wołałabym go uprzedzić, żeby nie czuł się rozczarowany.

Fiona powolutku zatoczyła krąg maszyną nad brzuchem Cheryl, a następnie ostrożnie ustawiła przetwornik pod odpowiednim kątem.

- Pewnie kupił już dla niego buty do gry w rugby?

- Na razie udało mi się go od tego powstrzymać. - W głosie Cheryl słychać było zakłopotanie.

- Proszę bardzo, sama się przekonaj. Widzisz?

- Czy to...? To chłopczyk, prawda?

- Tak jest. Lepiej wyślij Jima po zakupy. - Delikatnie starta oliwkę z brzucha Cheryl. - Możesz się ubrać. W przychodni pewnie już na ciebie czekają. - Odwróciła się znów do dziewczynki. - Będziesz miała braciszka, Gemmo. Czy to nie wspaniała wiadomość?

Na małej twarzyczce malował się wyraz niezdecydowania.

- Czy teraz mogę już obejrzeć „Wróbla Ćwirka”?

Odprowadzając pacjentkę do drzwi, Fiona ze zdumieniem spostrzegła stojącego w kącie Jonathana. Była nie tylko zaskoczona, ale i poirytowana, że ukradkiem ją obserwował.

- Jak długo tu jesteś?

- Wystarczająco długo. - Na twarzy Jona pojawił się znajomy półuśmiech. - Przepraszam. Nie chciałem ci przeszkadzać.

- Teraz pokazał zęby w uśmiechu. - No i liczyłem na to, że

zobaczę „Wróbla Ćwirka”. - Patrzył, jak Fiona zmienia papierową podkładkę na materacu. - Lubisz dzieci, prawda?

- Oczywiście. A ty nie? - spytała chłodno, nie patrząc na niego. - Masz już pewnie kilkoro.

Przedłużające się milczenie sprawiło, że podniosła oczy. Jonathan patrzył jej prosto w twarz, ale jakoś tak czujnie, ostrożnie. Jakby ją za coś przeproszał?

- Nie powiedział cicho. - Nie mam dzieci.

- Bez obawy, na wszystko przyjdzie czas. - Starła się nadać słowom wesoły, beztroski ton. - Muszę cię teraz przeprosić.

Pani Jensen czeka na mnie z pełnym pęcherzem. Już pewnie nie może wytrzymać.

- Penny, musimy porozmawiać. - Chwycił ją za nadgarstek.

- Pani Jensen jakoś wytrzyma.

- W parę minut nie zdążysz naprawić sześciu lat milczenia.

- Ogarnęła ją złość. - Zresztą po co się trudzić? Masz swoje życie,

a ja i moja rodzina zostaliśmy z niego wykluczeni. - Wyrwała rękę z jego uścisku. - Przykro mi, muszę przyjąć tę kobietę.

Pęcherz pani Jensen był wypełniony jak należy. Fionę ucieszył też wynik pierwszego usg. Pacjentce towarzyszył mąż i Fionie udzieliło się ich radosne podekscytowanie. Badała płód dłużej niż zwykle, toteż przy pozostałych zajęciach nie mogła sobie pozwolić nawet na sekundę przerwy. W gruncie rzeczy bardzo jej to odpowiadało - nie miała czasu powracać myślami do nieoczekiwanej rozmowy z Jonem.

Z każdym spotkaniem czuła rosnące rozgoryczenie, miała do niego coraz większy żal. Jego wiedza, urok osobisty, dobra prezencja i zycliwy stosunek do ludzi sprawią, że będzie w szpitalu lubiany i szanowany - ale od niej nie ma prawa oczekiwać przyjaźni.

Skończywszy pracę w przychodni, wróciła na oddział. Była ogromnie ciekawa, jak się miewa pacjentka, której zrobiła dziś - po



raz pierwszy samodzielnie - histerekto mię. Poszła po kartę pani Wilson i notatki pielęgniarek, lecz okazało się, że wzięła je już Martin. Gdy go zobaczyła, rozmawiał właśnie z Jonathanem.

- Żadnych powodów do niepokoju - oznajmił Martin z uśmiechem.

- Czuje się doskonale - dorzucił Jon. - Rozumiem, że gratulacje są jak najbardziej na miejscu.

- Dziękuję. - Fiona spuściła oczy. - No to nie będę jej już męczyć, skoro przed chwilą tam byliście.

Na moment zapadło niezręczne milczenie. Wreszcie Jon odchrząknął i powiedział:

- Tutaj naprawdę jest co robić. Byłbym wdzięczny za pomoc przy papierkach, i tak dalej.

- Masz to jak w banku. - Martin porozumiewawczo szturchnął Fionę łokciem. - Zgrany z nas zespół, co?

- Uhm. - Obawiała się, że zachowanie Martina utwierdzi Jona w przekonaniu, że łączy ich coś więcej niż praca, jednak zdobyła się na uśmiech. - Chyba jesteśmy całkiem niezli.

Martin zajął się pisaniem raportu, toteż znów zapadła krępująca cisza. Najwyraźniej Jon uważał, że Fiona powinna odezwać się pierwsza. Przyglądał jej się uważnie, ale i z nieznacznym uśmiechem. Było jasne, że nie ma jej za złe wcześniejszej nieuprzejmości, i Fionę zirytowała ta jego wielkoduszna pewność siebie. Zdjęła stetoskop i schowała go do kieszeni żakietu.

- Robi się późno. Idę do domu coś zjeść - oświadczyła w końcu.

- Zupkę z soczewicy - mruknął pod nosem Martin. - Mniem, mniem. - Zerknął na Jonathana. - Jak wiesz, nasza Fiona jest wegetarianką.

- Nie wiem - odrzekł bez zająknięcia Jon. - Pewnie jest więcej zmian, o których nie mam pojęcia.

- Co do tego akurat się nie mylisz. - Zdjęta żakiet i nonszalancko przerzuciła go sobie przez ramię.

- Może kiedyś się dowiem... - Jego półuśmiech był pełen wdzięku, ton głosu brzmiał pojednawczo.

Fiona zmusiła się do uśmiechu.

- Na twoim miejscu nie zakładałabym się o to.

Rzuciła wyładowane książkami i zakupami torby na biurko w saloniku, a następnie przykucnęła, by odwzajemnić szaloną radość, z jaką przywitała ją Belle - jej ukochana czarno-biała suka rasy border collie. Swego czasu Belle zdobywała nagrody na wystawach i pomagała pilnować owiec na farmie, w domu rodzinnym Fiony. Kiedy Fiona przeniosiła się do miasta i zamieszkała w małym domku, tak bardzo za sobą tęskniły, że jakiś czas temu postanowiła wziąć sukę do siebie. Obydwie były tym rozwiązaniem zachwycone.

Belle miała już swoje lata, toteż potrafiła docenić luksus, jakim były długie, spokojne dni słodkiego leniuchowania. Fiona natomiast była wdzięczna, że ktoś wiernie dotrzymuje jej towarzysztwa. Dzięki Belle czuła się bezpieczna i mniej osamotniona. W weekendy wypuszczały się zwykle na wycieczkę, a niekiedy spędzały nawet parę dni na farmie.

Fiona została w tej samej bluzce, w której była w pracy, ale spódnicę natychmiast zmieniła na dzinsy. Zapaliła małe lampki, których przyćmione światło stwarzało ciepłą, przytulną atmosferę, i wniosła do kuchni torby po brzegi wypełnione pieczywem i warzywami.

- Ależ miałam ciężki dzień - zwróciła się do Belle. - Dziś siaj upichcimy sobie coś przepysznego.

Z zapalem zabrała się do przyrządzania posiłku, znajdując w tym autentyczną przyjemność. Podsmarzyła cebulę i dodała do niej posiekany czosnek, a następnie grzyby i cukinię w pla-

strach. W nagrodę naląła sobie spory kieliszek wina. Poczuta się spokojna, odprężona, uwolniona od napięć tego pełnego wrażeń dnia. Jak zjem, to sobie poczytam, pomyślała.

Nagle Belle warknęła, po czym rozległo się pukanie do drzwi. Przyjemny nastrój prysnął w jednej chwili. Klnąc pod nosem, Fiona zmniejszyła gaz pod patelnią i wytarła ręce w ściereczkę. Otworzywszy drzwi, ujrzała przed sobą Jonathana, który stał oparty o drewnianą kolumnę na werandzie. Miał na sobie wypłowiałe dzinsy i luźny, granatowy golf, w tym samym stylu co swetry, które nosił, gdy go poznała. Trzymał w rękach ogromny bukiet kwiatów i butelkę wina.

- Nie powinnaś tak byle komu otwierać, bez pytania - powiedział całkiem serio.

- Jak widać, rzeczywiście nie powinnam - odparła poważnie i odprowadziła wzrokiem Belle, która wycofała się do kuchni, uznawszy, że pani nic nie grozi. - Skąd masz mój adres?

- Poszedłem gdzie trzeba i oczarowałem kogo trzeba.

- Wyobrażam sobie - skwitowała z przekąsem jego słowa.

Wyciągnął rękę, w której ścisnął kwiaty i wino, prosząc Fionę wzrokiem, by je przyjęła.

- Przeszedłem zawrzeć pokój - powiedział cicho. - Przez jakiś czas będziemy musieli razem pracować.

- To prawda - westchnęła.

- Będzie nam łatwiej, jeśli się pogodzimy. I znacznie przyjemniej.

Przekrzywiła głowę na bok.

- Chyba masz rację - przyznała niechętnie. - No dobrze, niech ci będzie. Przepraszam, że byłam taka niemiła. I dzięki za kwiaty, są prześliczne. - Gdy odbierała od niego naręczce białych i żółtych chryzantem, przelotnie musnęła palcami jego dłoń; niby drobiazg, a jednak to zauważyła.

- To nie jest zapach soczewicy - stwierdził Jon.

Ojej, zapomniałam o jedzeniu! - Odwróciwszy się błyskawicznie, pędem pognąła do kuchni i natychmiast zestawiła patelnię z palnika. Gdy podniosła wzrok, zobaczyła, że Jon wszedł za nią.

- Pewnie i tak byś mnie zaprosiła - rzekł z ujmującym uśmiechem. - A poza tym zapomniałaś o winie. - Postawił butelkę na stole. - Rany boskie! Nie powiesz mi chyba, że to Belle?

Suka leżała bez ruchu, ale słysząc swe imię, otworzyła oczy.

- Pamiętasz mnie, maleńka? - spytał czule. - Tresowałem cię razem z Pen, kiedy byłaś szczeniakiem.

Na dowód, że wie, o czym mowa, Belle pomachała ogonem, uderzając nim lekko o podłogę. Jon nachylił się i pogłaskał psa po głowie. Wszystko to niezbyt się Fionie podobało. Wcale nie zamierzała zapraszać Jona do środka, a teraz miała ochotę poprosić go, żeby sobie poszedł. Nie mogła jednak tego zrobić, dopóki przytulał Belle - ten widok działał jak zaklęcie, odbierał jej całą stanowczość. Po chwili trwającej wieczność Jon podniósł oczy i Fiona dostrzegła w nich wyraz smutku.

- Zapomniałem już, jak to jest być razem z bliskimi, we własnym domu...

Nie przewidziała, że będzie mu współczuć. Aby ukryć swe uczucia, zaczęła mówić - dużo, szybko, z ożywieniem.

- Co to tam za dom. Sypialnia, salonik, kuchnia i łazienka. Ale przynajmniej blisko do szpitala. No i dobrze się tu czujemy. I często jeździmy na farmę.

- My...? - Prostując się, zerknął za siebie, co tak rozbawiło Fionę, że wybuchnęła serdecznym śmiechem.

- My, czyli ja i Belle. A coś ty myślał, że mam męża, który schował się w szafie?

- Po tobie wszystkiego się można spodziewać.

- A propos spodziewania się czegoś po kimś... - Sięgnęła

po kieliszek i wychyliła go niemal do dna. - Powiedz lepiej, gdzie schowałeś żonę. Ma na imię Clare, prawda?

Długo nie odpowiadał, wreszcie oznajmił spokojnie:

- Jestem sam, Penny, i to od dawna. Rozwiedliśmy się trzy lata temu. - Wskazał palcem trzymany przez Fionę kieliszek.

- Czy i ja mógłbym dostać coś takiego?

Po chwili wahania wolno skinęła głową. To, co powiedziała, zmieszało ją i zaniepokoiło - po prostu nie pasowało do jej wyobrażeń. Postawiła przed Jonem kieliszek, który sam napętnił winem, i dołączyła wody do czajnika, żeby starczyło jej dla dwojga.

- Nakarmię cię i napoję - powiedziała z pozorną lekkością.

- Ty biedna, zagubiona duszyczko.

- Mówisz całkiem jak twoja mama. - Uśmiechnął się do niej. - To bardzo miłe. - Opart się o stół i sącząc wino, przyglądał się jej.

W milczeniu kroił chleb, świeży, puszysty, z ziarnami słonecznika. To dziwne, pomyślała, niby skąd mógłby wiedzieć, że mama właśnie tak o nim mówiła?

Jon był rówieśnikiem brata Fiony, Daniela, znacznie od niej starszego. Po raz pierwszy zjawił się na farmie Donaldsonów jako pomocnik do pracy przy owcach. W czasie wakacji dorabiał do stypendium, by opłacić studia. Początkowo był nieufny i trzymał się na uboczu, i ta jego ostrożna powściągliwość budziła w Fionie lęk.

Miała wówczas jedenaście lat. Była chuda, ale wysoka, miała szopę miedzianorudych włosów i buzię nakrapianą piegami. Często słyszała, jak matka nazywała Jona „zagubioną duszyczką”. Gdy jednak podrosła na tyle, by zrozumieć znaczenie tych słów, przestały już do niego pasować. Z biegiem czasu Jon przyjął ofiarowywane mu wytrwale przez Donaldsonów ciepło i praktycznie stał się jeszcze jednym członkiem rodziny.

- Mama okropnie się o ciebie martwiła. Ilekroć jestem na

farmie, zawsze o tobie mówi - powiedziała z wyrzutem. - Przysłałeś nam wtedy tę kartkę na Boże Narodzenie, z wiadomością, że się ożeniłeś. To był ostatni znak życia od ciebie. Potem kompletna cisza.

- Wiem. Naprawdę bardzo mi przykro. - Ponownie napełnił oba kieliszki. - Mógłbym cię zasypać różnymi usprawiedliwieniami, ale to pewnie na nic, prawda?

- Prawda. - Nie zamierzała dać się zwieść jego elokwencji.

- Masz pełne prawo być na mnie zła, ale przecież byliśmy przyjaciółmi. Dobrymi przyjaciółmi.

Przygryzła wargi. Może Jon naprawdę tak to widział? Może jednak się myliła - może nie zdawał sobie wtedy sprawy, co do niego czuje?

Podbił jej serce już podczas tych pierwszych wakacji. Pewnego razu siedział z nią do późna, karmiąc słabowite, osieroczone jagnię, które przyniosła do domu. Za pomocą zakraplacza do oczu cierpliwie poił je mlekiem z odżywką, jakby było niemowlęciem. Ku zdumieniu wszystkich wyrosło w końcu na najdrodniejszego barana na farmie. Nadał mu takie zabawne imię, Iwan Groźny. To doświadczenie sprawiło, że powstała między nimi jakaś więź. Czas płynął i w wieku lat piętnastu Fiona była już po uszy zadurzona w Jonie. Przejścia szkolne odeszły w cień, liczył się tylko okres wakacji, kiedy wszyscy znowu byli razem.

A potem nagle się to urwało. Daniel i Jon skończyli studia i ich drogi się rozeszły. Obaj wyjechali za granicę - Daniel do Australii, a Jon do Newcastle w Anglii. Laura - bliźniaczka Daniela i starsza siostra Fiony - wyszła za mąż i wyprowadziła się z domu. Wszystko się zmieniło. Gorące zapewnienia Jona, że nadal zależy mu na kontakcie z nimi, okazały się pustymi słowami. Najwidoczniej zapomniał o rodzinie Donaldsonów. Gdy wreszcie przysłał tę kartkę, w której napisał, że się ożenił, mło-

dzieńcze marzenia Fiony w jednej chwili legły w gruzach. Z czasem jej rozpacz zamieniła się w złość i urazę. W przeciwieństwie do reszty rodziny, udawała, że nic jej nie obchodzi, co się z nim dzieje.

- No więc jak? Byliśmy przyjaciółmi czy nie? - spytał.  
- Czyżby coś umknęło mojej uwagi? Czy poza tym, że tyle czasu się nie odzywałem, popełniłem jeszcze jakiś inny grzech? I dlatego tak się na mnie gniewasz?

Wciąż się nie odzywała. A jeśli Jon rzeczywiście nie wiedział o jej uczuciach? Albo, co gorsza, nie traktował ich poważnie? W końcu była wtedy ledwie podlotkiem. Gdyby przyznała się do nich teraz, tylko by się ośmieszyła i dała mu okazję do rozdrapania starej rany. A tego chciała uniknąć za wszelką cenę. Ta rana musi się zagoić.

- Nie, to nic takiego. Lepiej dajmy już spokój. - Chcąc zmienić temat, napełniła talerze. - Częstuj się chlebem. Jest naprawdę świetny.

Sięgnął po kromkę, ale zamiast zająć się jedzeniem, znów się odezwał:

- Wierzyć mi się nie chce, że zostałeś lekarzem. Co cię do tego skłoniło? O ile pamiętam, zawsze marzyłeś o prawie.

- To chyba przez te owieczki, które rodziły się na moich oczach - powiedziała z wymuszonym uśmiechem. - A poza tym brakowało mi tych waszych dyskusji. Ty i Daniel nie mówiliście o niczym innym.

Nigdy by się do tego nie przyznała, ale to właśnie był główny powód. Wybrała medycynę, bo wcześniej wybrał ją Jon. Jakoś ją to z nim łączyło, było namiastką prawdziwego zbliżenia.

- Laura wyszła za mąż — dodała pośpiesznie. Uznała, że będzie jej łatwiej, jeśli zacznie mówić o innych.

- Jasne. Od kiedy pamiętam, zawsze była z Alanem. Są szczęśliwi?

- O tak, bardzo. - Fiona także sięgnęła po chleb. - Mają czwórkę dzieci.

- Co ty powiesz!

- Pierwsze były bliźniaki, a potem nie wiedzieli, kiedy przestać. - Zaśmiała się. - Mieszkają tutaj, w Christchurch. Alan wykiada w college'u i pisze doktorat z rolnictwa. Za jakieś dwa lata chcą wrócić na farmę. Tacie nie ubywa lat, a jak wiesz, gospodarstwo jest ogromne.

- Bardzo chciałbym ich wszystkich zobaczyć, wybrać się kiedyś na farmę. - Zmarszczył brwi. - Nieraz o tym myślałem.

- Czemu wróciłeś po tylu latach? - spytała wprost.

- Sam nie wiem. - Popatrzył na nią czujnie. - Może to zwykła tęsknota, a może chciałem się rozprawić z paroma upiorami. W każdym razie na pewno nie spodziewałem się, że spotkam tu ciebie.

Uniosła kieliszek w żartobliwym toaście.

- Wypijmy za upiora, z którym już się chyba rozprawiłeś.

- No wiesz! Nie miałem na myśli ciebie ani twojej rodziny.

- Uniół rękę, w której trzymał kieliszek. - Ale chętnie wypiję za coś innego.

- Mianowicie?

- Za przyjaźń. Szczerą i głęboką. Taką, której nie zniszczy nawet kilka lat rozłąki. - Delikatnie stuknął kieliszkiem o jej kieliszek. -I za koniec zimnej wojny. Czy to możliwe?

Upiła odrobinę wina.

- Niewykluczone - odparła ostrożnie.

Cieszyła się dobrą opinią i starała się ją utrzymać. Wprawdzie zaczynała dyżur o ósmej, ale przeważnie zjawiała się w szpitalu pół godziny wcześniej, żeby spokojnie przygotować się do pracy. Poza tym dzisiaj bardziej niż zwykle potrzebowała paru wolnych minut na wypicie mocnej kawy.



Poprzedniego wieczoru, po wyjściu Jonathana, długo nie mogła zasnąć. Nie rozmawiali już więcej o sprawach osobistych i gdy wizyta dobiegła końca, Fiona zauważyła, że mężczy ją uczucie niedosytu. Dopiero o drugiej nad ranem odkryła, co jest tego powodem.

Oprócz krótkiej wzmianki o swym nieudanym małżeństwie i rozwodzie, Jon nie powiedział ani słowa o tym, co porabiał przez te sześć lat. Czy stało się tak dlatego, że kierowała ich rozmową, czy też może ma coś do ukrycia? Uświadomiła sobie, że mimo odrobiny żalu, jaki jeszcze do niego żywi, jest również zwyczajnie ciekawa, co działo się z nim przez ten czas.

Gdy weszła do małej, oddziałowej kuchni, zastała tam Jona, który siodził właśnie kawę. Widocznie on także miał ubiegłej nocy kłopoty z zaśnięciem.

- Widzę, że bez trudu znalazłeś drogę i umiałeś o siebie zadbać. Ja też mam ochotę na kawę.

- Jeśli może być z cukrem, to bardzo proszę, weź tę. -  
Z uśmiechem podał jej swój kubek. - Na razie tylko tyle mogę zrobić, żeby odwdziżyć ci się za wczorajszą ucztę.

Odwzajemniła uśmiech i wzięła od niego kubek, skinieniem głowy dziękując za komplement.

- Gdzie nauczyłaś się tak gotować? Pamiętam, że na farmie jadało się głównie pieczeń i puddingi.

- Od tego dostaje się wieńcówki. - Potrząsnęła głową z dezaprobatą. - Na szczęście my jesteśmy pokoleniem oświeconym. Miałam dość czasu, żeby nauczyć się wielu rzeczy.

- Zauważyłem. - Patrzył tak przenikliwie, że nagle poczuła się zmieszana. Pośpiesznie dopiła kawę.

- Pora ruszać do kieratu. Martin jest na ginekologii, więc ja zajmę się tą stroną.

- A ja mam konsultację w Szpitalu Miejskim - powiedział.

- Młoda ciężarna z problemami kardiologicznymi. Ciekawy

przypadek, ale nie powinno mi to zająć więcej niż godzinę. Czy pagery mają wystarczający zasięg, żebyśmy mogli być w kontakcie?

- Owszem - odparła - ale lepiej weź telefon komórkowy. To wygodniejsze, zwłaszcza na światłach.

- Świetnie. Gdyby coś się działo, dzwońcie bez wahania. Jeśli nie, to zobaczymy się później.

Wychodząc, przystanął w progu i Fiona poczuła na sobie jego spojrzenie. Udawała, że jest zajęta myciem kubka, ale w końcu musiała podnieść oczy. Wyglądał, jakby chciał coś powiedzieć, ale nagle zmienił zdanie. Uśmiechnął się tylko po swojemu, połową ust, i zniknął za drzwiami.

Powoli pokręciła głową, zastanawiając się, czemu ogarnia ją coś w rodzaju rozczarowania.

Położne i pielęgniarki na porodówce należały do najlepszych w szpitalu, toteż Fiona bardzo lubiła z nimi pracować. Jej pierwszą pacjentką była Anna Smylie, która do ostatniej chwili zwlekała z przyjazdem. Ale przynajmniej dobrze wiedziała - już w trzeciej ciąży - czego sobie życzy.

- Mam nadzieję, że obejdzie się bez znieczulenia, chociaż gaz możecie mieć pod ręką. Chcę też jak najwięcej chodzić, może wręcz urodzić na stojąco. W porządku?

- Słuchaj swojego ciała i intuicji - odparła Fiona z uśmiechem.  
- Nie zalecałabym tylko zwisania z sufitu głową w dół. Jesteśmy tu po to, żeby pomóc i ewentualnie zapanować nad sytuacją, jeśli coś się skomplikuje. Ale w tym wypadku chyba się na to nie zanosì.

Na razie zostawiam cię z Sue, ale niedługo znów tu zajrzę.

- Aha, i chciałabym jak najszybciej wrócić do domu - wyjęczała Anna pod wpływem kolejnego skurczu i schwyciła męża za rękę.

Fiona spojrzała na monitor i z zadowoleniem skinęła głową.

- Zostaniesz najwyżej parę godzin, żebyśmy mieli pewność, że wszystko w porządku. - Uśmiechnęła się. - Jeśli utrzymasz dotychczasowe tempo, zdążysz na lunch.

- Jeszcze jedno. Błagam, żadnych szwów.

Fiona spojrzała na położną, a potem znów na pacjentkę.

- W karcie jest napisane, że ostatnim razem miałaś bardzo brzydkie rozdarcie. Jeśli będzie ryzyko, że to się może powtórzyć, natniemy ci krocze. Małe kontrolowane nacięcie goi się łatwiej i szybciej niż duże rozdarcie. Ale bądźmy dobrej myśli, może nie trzeba będzie tego robić. - Zwróciła się do położnej:  
- Opiekuj się Anną, Sue, ale też pozwól jej korzystać z wolności. W razie czego wołaj mnie.

W pokoju obok zastała Ellen Whitmore, którą przywieziono późnym wieczorem poprzedniego dnia. Pierwsza ciąża, tylne ułożenie płodu, nasilające się bóle pleców - podsumowała sytuację Fiona. Mimo podania odpowiednich środków, pierwszy okres porodu niebezpiecznie się przedłużał i Ellen zaczynała się denerwować. Zatrzymanie moczu również powodowało ból, toteż Fiona poprosiła o cewnik, a następnie zadzwoniła do Martina.

- Pierwiastka, dwadzieścia dwa lata, poród potyliczno-tylny - wyjaśniła. - Na razie nie ma oznak zagrożenia płodu, ale matka jest wykończona. Od dziesięciu godzin, ma skurcze co trzy, cztery minuty, a rozwarcie wciąż nie większe niż pięć centymetrów. Zastanawiam się, czy tego nie przyśpieszyć.

- Złap anestezjologa i załatw wlew oksycocyny, ale nie zaczynaj beze mnie. Porozmawiaj z kobietą i jej mężem, za dziesięć minut tam będę. Uprzedź ją, że może się to skończyć porodem kleszczowym. Czy Jonathan już wrócił?

- Nie sądzę.

- Zanim zejdę, spróbuję do niego zadzwonić. Mam tu przypadek skręconej torbieli w jajniku albo, równie dobrze, ciąży pozamacicznej. Będę się śpieszył na operację.

Fiona zadzwoniła po anestezjologa i wypisała zamówienie na oksytocynę. Porozmawiała chwilę z Ellen i jej mężem, a potem poszła sprawdzić, co z Anną Smylie. Zastała ją na klęczkach, nachyloną do przodu, podczas gdy jej mąż masował jej plecy i szeptem dodawał otuchy. Anna nie zauważyła wejścia Fiony, która pytająco spojrzała na położną.

- Przechodzi do następnej fazy. Zawołam cię, gdy będzie trzeba - powiedziała Sue z uśmiechem. - Szkoda, że nie wszystkim naszym pacjentkom idzie tak gładko jak jej.

Gdy Fiona wracała do pokoju Ellen, przywołała ją inna położna, Catherine.

- Karetka przywiezie tu zaraz kobietę - poinformowała. - Pierwiastka, trzydzieści osiem lat, poród przedwczesny, pośladowy, możliwa dysproporcja główki w stosunku do miednicy, już zapisana na cesarskie. Trzydziesty piąty tydzień, regularne skurcze, wyciek płynu owodni.

- Rozumiem. Daj mi znać, jak tylko przyjedzie. Zadzwonię po doktora Fletchera. Sama mogę sobie z tym nie poradzić.

Na szczęście okazało się, że Jonathan już wrócił. Fiona szybko przedstawiła mu sytuację.

- Zajmę się nią - obiecał. - Kobieta, którą ma operować Martin, trafi na salę nie wcześniej niż za godzinę. Wiesz, gdzie on teraz jest?

- Tutaj, ze mną. Podajemy epidural i oksytocynę.

- Powiedz mu, że sala będzie gotowa na jedenastą czterdzieści pięć. Przedtem jeszcze się do niego odezwę.

- Dobrze, przekażę. - Widząc, że Sue przywołuje ją ręką, Fiona zakończyła rozmowę i pobiegła do Anny.

Anna przykucnęła teraz na łóżku, a do twarzy przytknięto jej maskę. Fiona błyskawicznie umyła ręce. Wkładając rękawiczki i fartuch, uśmiechnęła się do zdenerwowanego męża Anny i przy okazji zauważyła, że Sue na wszelki wy-

padek przygotowała wszystko, co jest potrzebne do nacięcia krocza.

- Już widać główkę - rzekła Sue. - Mamy tu wspaniałą drużynę.

- To prawda - przyznała Fiona, uśmiechając się do Anny. - Teraz będzie najlepsze. Oprzyj się na poduszkach, a ja zobaczę, jak idzie. - Dołożyła jeszcze jedną poduszkę i obie z Sue pomogły pacjentce zmienić pozycję.

Znów zaczęły się skurcze i Anna sięgnęła po maskę.

- Tym razem nie przyj - poleciła Fiona. Upewniła się, czy pępowina nie owinęła się dziecku wokół szyi, a zarazem sprawdziła napięcie tkanki kroczonej, chcąc zorientować się, czy da się uniknąć cięcia. - Nie przyj, tylko mocno wydychaj powietrze, wtedy nie pęknie.

- Woliałabym się podnieść - wysapała Anna.

John i Sue pomogli jej znów przykucnąć.

- Ta pozycja jest nawet lepsza. Tylko pamiętaj, nie przyj. Główka gładko się wysunęła i Sue przetarła dziecku oczy.

John znieruchomiał z wrażenia.

- Chciałbyś dokończyć, John? - zaproponowała Fiona.

Sue podtrzymała Annę, natomiast Fiona poinstruowała Johna, co ma robić, i przy następnym skurczu dziecko przyszło na świat prosto w ręce ojca.

- To chłopczyk - oznajmił radośnie John i położył noworodka na brzuchu Anny.

- No i udało się bez cięcia - rzekła z zadowoleniem Fiona, bardziej do siebie niż do Anny, która w tej chwili albo jej nie słyszała, albo było jej to całkiem obojętne. - Trzeci etap zostawiam tobie - zwróciła się do położnej. Zdjęła rękawiczki i fartuch. - Jeszcze do was zajrzę.

Uszczęśliwieni rodzice byli tak zajęci maleństwem, że nie zauważyli, kiedy Fiona wyszła.

Martin nadal był obok, z Ellen Whitmore. Gdy Fiona przekazała mu wiadomość od Jonathana, spojrzął na zegarek i zmarszczył brwi.

- Jak się czujesz, Ellen? - zwróciła się Fiona do pacjentki.

Ellen wyglądała lepiej niż poprzednio, ale jej uśmiech był trochę wymuszony.

- Epidural jest fantastyczny, jednak wolalabym, żeby było już po wszystkim.

- No i niedługo będzie.

Do pokoju wszedł Jonathan, i skinął na Martina, który ruszył w jego stronę.

- Sala będzie gotowa za chwilę. Wszystko w porządku?

- Przedłużająca się pierwsza faza, daliśmy przyśpieszenie.

Coś drgnęło, ale teraz utknęliśmy w drugiej fazie. Obawiam się, że nie obejdziesz się bez kleszczy.

Położna mierzyła Ellen puls i ciśnienie, a mąż karcił ją małymi płatkami lodu. Gdy Fiona podeszła do kolegów, odezwał się pager Jona.

- To ta z karetki, na cesarskie - powiedział i z troską zerknął na Fionę. - Na pewno sobie poradzisz?

- Tak, robiłam to już dwa razy, chociaż nie bez nadzoru.

- Spokojna głowa - zapewnił Martin. - Ma wrodzony talent do tych rzeczy.

- I bogatą praktykę przy owcach - dorzucił Jon z uśmiechem. - Jeśli będzie trzeba, zadzwoń.

- No, lecę na operacyjną. Do zobaczenia później - pożegnał się z nimi Martin.

- Nie da się ukryć, że roboty tu nie brak - zauważył Jon, również zbierając się do wyjścia. - Jeśli bogowie pozwolą, to potem postawię ci kawę.

Bogowie okazali swą łaskawość dopiero po południu, kiedy Fiona i Jon spotkali się w drodze do kuchni.

- Jeszcze jedna dawka kofeiny?

- A jakże. - Fiona uśmiechnęła się lekko. Sukcesy zawodowe wprawiły ją w tak dobry nastrój, że niechęć do Jonathana nieco z niej wyparowała. - Tym razem ja zabawię się w panią domu. Przy odrobinie szczęścia może uda nam się wyrwać całe pięć minut.

- Służysz ci ta praca. Wyglądasz kwitnąco.

- Rzeczywiście ją uwielbiam. - Sięgnęła po kubki. - Gdy coś się udaje, tak jak ten poród kleszczowy dzisiaj, to czuję się, jakbym miała skrzydła.

- Rozmawiałem z Christine. Twoje umiejętności zrobiły na niej wrażenie. Mówi, że nigdy nie widziała takiej zdolnej młodszej lekarki.

- Świetna z niej położna. Te położne to istny skarb. Kompetentne, sumienne, zdyscyplinowane. - Upiła łyk kawy. - Czy mam skusić los i wziąć się do kanapek?

- Nie zaszkodzi spróbować. - Spojrzał na zegarek. - Pewnie zaraz mnie wezwą na cesarskie. Zechciałabyś mi towarzyszyć?

- O tak, bardzo! Tu wszystko jest pod kontrolą. Wiem, że dla pacjentek to trudne, ale uwielbiam cesarskie cięcie.

Jonathan głośno się roześmiał, patrząc, jak Fiona kroi ser.

- Zawsze wiedziałem, że wyrośniesz na wyjątkową kobietę. Zalała ją fala... czego? Jakże dawno tego nie czuła! Ale dobrze wiedziała, co to jest.

- Wyjątkową i niezwykle piękną.

Odłożyła nóż i odwróciła się do niego. Stali naprzeciw siebie w maleńkiej kuchni. Rozpoznała wyraz jego twarzy - pragnienie, zmieszanie, wahanie. Karmiła się tym przez całe lata. I przez całe lata zakładała, że to dowód na to, że wiedział. A jeżeli wiedział, to musiał też wiedzieć, że ją zranił.

Niedawno wspominał, że gdy widział ją ostatni raz, to „sama jedna” zagnała na miejsce całe stado owiec. Ale to nie całkiem była prawda. Owszem, było to dzień przed jego wyjazdem, ale przecież tamtego dnia widzieli się jeszcze raz, wieczorem.

Wzięli konie i tylko we dwoje wybrali się na przejażdżkę. Rzekomo po to, żeby sprawdzić, czy na łąkach nie błąkają się samopas jakieś owce. Tak naprawdę jednak przyczyna była inna. Ten ostatni dzień - dzień pożegnań - okazał się dla Fiony tak trudny, że chciała po prostu uciec od tego wszystkiego.

Całą rodzinę zaniepokoił jej smutny nastrój, ale tylko Laura domyślała się, w czym rzecz. Wszyscy bardzo się ucieszyli, gdy Jon zaproponował, że pojedzie razem z nią i spróbuje ją trochę rozweselić. Tylko że z początku jechała tak szybko, że jakakolwiek rozmowa była wykluczona. Był zadowolony, gdy wreszcie zsiadła z konia i mógł się do niej przyłączyć. Usiedli na szczycie wzgórza i podziwiali rozciągającą się u ich stóp okolicę.

- To najpiękniejsze miejsce na ziemi - powiedziała.

Fiona przesłiznęła się wzrokiem po dzikich, poszarpanych graniach, które w gasnącym świetle dnia wyglądały niemal złowrogo; po niezmiernych połaciach wysokiej trawy; po nieruchomej tafli jeziora Wakitipu, które graniczyło z gospodarstwem rodziców. Drzewa, gęsto porastające teren wokół domu, przestaniały widok, ale przez moment zdawało jej się, że dostrzegła w dole mikroskopijną postać - pewnie ojca - która wyszła na podwórze, żeby nakarmić psy.

- Tak, chyba tak - odrzekła w końcu cicho.

Siedzieli obok siebie, prawie nierozdzielni, trzymając się za ręce. Nie było w tym nic niezwykłego - od chwili, gdy się poznali, nieraz trzymali się za ręce, kiedy byli sami. Niezwykły był tylko sposób, w jaki Jon na nią patrzył.

- Wydoroślałaś, Pen - zauważył. W jego głosie słychać było zdziwienie, zaskoczenie.



Bez słowa czekała na to, co było nieuniknione. Na tę magiczną chwilę, w której dotknie ustami jej ust, na delikatny, przelotny pocałunek. Ale oderwawszy się na ułamek sekundy, ponownie nachylił ku niej twarz i pocałował ją jeszcze raz, tym razem już nie tak po przyjacielsku. I oboje zdali sobie sprawę z drzemającej w nich namiętności. Wyraźnie zakłopotany, Jon pośpiesznie się podniósł.

- Robi się ciemno, Pen. Lepiej wracajmy. Muszę przyznać, że nie widziałem nawet jednej zbłąkanej owcy.

- Bo też wcale nie ich szukaliśmy - powiedziała ledwie słyszalnym szeptem.

I teraz tutaj, w tej szpitalnej kuchence, znów wyczytała to z jego oczu - zachwyty, tęsknotę za jej kobiecością, pragnienie. I tak samo jak wtedy, czekała na to, co nieuniknione. Z bólem uświadomiła sobie, że upływ czasu, rozgoryczenie i żal wcale nie zmieniły jej uczuć. Jeśli już, to tylko je spotęgowały.

Tymczasem rozległ się nieznośny, natarczywy dźwięk page-ra, i w jednej chwili wrócili na ziemię. Fiona nie wiedziała, co właściwie czuje: ulgę czy rozczarowanie.

- Wzywają nas - powiedział. - Chodźmy już.

Na jego twarzy malował się i żal, i ból. Jednak gdy wyszli, obejrzał się za siebie i z lekkim uśmiechem stwierdził:

- Szkoda, że nici z kanapek.

---

## ROZDZIAŁ TRZECI

---

Siódma trzydzieści rano.

Odkładając słuchawkę, Fiona zerknęła na zegarek i, mimo zmęczenia, uśmiechnęła się do Martina.

- Jeszcze tylko pół godziny.

- Fantastycznie - zakpił. - A potem jeszcze tylko obchód pourazówki, sala nagłych przypadków, dodatkowi pacjenci na operacyjną i... co to mamy dziś po południu? Aha, przychodnia.

Fiona stłumiła ziewnięcie.

- Bez pracy umarlibyśmy z nudów. - Wstała z fotela, żeby rozprostować kości. Wciąż miała na sobie błękitną bluzę i spodnie, w które przebrała się poprzedniego dnia, aby asystować Jonowi przy cesarskim cięciu. - Ano właśnie. Dzwonili z operacyjnej w sprawie Ginette Shaw. Będą gotowi za dwadzieścia minut.

Martin również niespiesznie się podniósł.

- Zaczynamy obchód. Chyba Jonathan śpi sobie w najlepsze.

- Nie bądź taki pewny.

Atmosfera wyraźnie się ożywiła, gdy Jonathan nagle pojawił się w progu i powitał ich donośnie. Fionie stanęła przed oczami wczorajsza scena w kuchni i jej zmęczenie natychmiast ustąpiło miejsca gwałtowniejszym doznanom, które złożyła oczywiście na karb przepracowania. Głęboko odetchnęła i odwróciła twarz do Jona.

- Witamy, witamy - rzekła z udawaną lekkością, wkładając pod pachę plik notatek i kart. - Jak się spało?

- Zdaje się, że lepiej niż wam - odparł. - Czemu mnie nie obudziliście?

Martin uważnie obserwował Fionę, ale nawet jeśli coś zauważył, nie dał tego po sobie poznać.

- Uczyli nas na studiach, na specjalnym kursie - zwrócił się do Jona z poważną miną - że sen konsultanta jest święty i że można go przerwać dopiero wtedy, gdy wszystko inne za-  
wiedzie.

- Z czego wnoszę, że nic nie zawiodło? - domyślił się Jon z uśmiechem.

- Wszystko jest w porządku. Idziemy właśnie do pacjentki Fiony, Ellen Whitmore. Poród wspomagany, wczoraj rano.

- A za kwadrans operacyjna czeka na Ginette Shaw - dorzuciła Fiona. - Przywieźli ją dzisiaj o piątej ze szpitala rejonowego. Krwotok poporodowy, gorączkuje. Podaliśmy jej dożylnie antybiotyki. Chyba częściowo zatrzymane łożysko.

- Rozumiem. - Jon pokiwał głową.

- Podobno położyła coś zaniepokoiło, ale lekarza wezwała dopiero, gdy pacjentka dostała gorączki i zaczęła krwawić - wyjaśnił Martin.

- Mój Boże! - Jon wyglądał na bardzo poruszonego. Rozmowa dotyczyła spraw zawodowych, toteż Fiona poczuła się pewniej.

- Ginette rodziła w domu - wtrąciła - i były przy tym jej dzieci. Chciały pomóc, ale mogły jej niechcący zaszkodzić.

- Niezły cyrk - zauważył Jon.

- Przypuszczam, że biedną panią Shaw ucieszy perspektywa spędzenia tu kilku spokojnych dni - podsumowała Fiona z uśmiechem, gdy wychodzili do Ellen.

Przejrzawszy kartę, Martin i Jon zaczęli rozmawiać z pacjen-

tką, Fiona natomiast podeszła do maleństwa, które spało w kołysce obok łóżka. Z rozczuleniem patrzyła na twarzyczkę dziecka, a potem wyciągnęła palec i delikatnie pogłaskała pokrytą meshkiem główkę.

Ślady kleszczy były już prawie niewidoczne. Niemowlę wyglądało na zdrowe i zadowolone. Uśmiechnęła się na wspomnienie radości, którą poczuła, gdy ten trudny poród szczęśliwie dobiegł końca. Posłała pacjentce ciepły uśmiech.

- Miło widzieć lekarza, który naprawdę kocha dzieci - odezwała się Ellen.

- Już nie może się doczekać, kiedy będzie miała swoje - do broduśnie zartował Martin.

Kiedy wyszli od Ellen, dodał:

- Niektóre niezależne kobitki po prostu wybierają ojca dla dziecka, nie zawracając sobie głowy wychodzeniem za mąż.

Fiona rozpoznała znajomy, żartobliwy ton i udając zdumienie, odparła w tej samej konwencji:

- Coś podobnego! Naprawdę?

- Znam jednego świetnego kandydata - ciągnął Martin. - Brzydal, ale uroczy. Inteligencja śladowa, ale wszechstronna. No i żadnych chorób dziedzicznych w rodzinie.

Fiona z trudem powstrzymała wybuch śmiechu.

- Nie dzwoń do mnie, Martin. Sama do ciebie zadzwonię.

- Automatyczna sekretarka będzie włączona całą dobę, obiecuję.

Śmiech zamarł jej na ustach, gdy kątem oka dostrzegła twarz Jona. Dowcip najwyraźniej wcale go nie rozśmieszył, a i Fiona uznała go nagle za mało zabawny. Znow poczuła, jak ogarnia ją napięcie.

- Potrzebujesz mnie na górze, Martin - spytała oficjalnym tonem - czy mam kontynuować obchód?

Martin też uznał w duchu, że chyba trochę przeholowali.

- Zostań tutaj - zdecydował. - Udzielisz Jonathanowi potrzebnych informacji.

Najpierw odwiedzili pacjentkę, której Jon poprzedniego dnia po południu robił cesarskie cięcie. Potem Fiona zrelacjonowała mu przypadek kobiety, którą przywieziono o drugiej nad ranem:

- Groźba porodu przedwczesnego, podwyższona temperatura, ból przy oddawaniu moczu.

Jon przejrzał wyniki badań krwi i moczu, które przefakso- wano właśnie na oddział.

- Dobrze, że podaliście jej antybiotyki. Ma podwyższone leukocyty.

- Daliśmy dożylnie salbutamol. Ze względu na płuca dziecka zastanawialiśmy się też nad steroidami, ale sytuacja trochę się unormowała. Skurcze są rzadsze, gorączka spada.

- Który to tydzień?

- Trzydziesty trzeci. Według pomiarów sprzed paru dni waga nieco ponad dwa kilo.

- Na razie wstrzymamy się z działaniem. Nawet jeśli dojdzie do przedwczesnego porodu, dziecku nie powinno się nic stać. Teraz może już ważyć około trzech kilogramów. Steroidy odstawia się zwykle w trzydziestym czwartym tygodniu. Tak czy owak, chodźmy ją obejrzeć.

Po wizycie znalazło się trochę czasu na filiżankę kawy. Gdy Fiona ciężko osunęła się na fotel, Jonathan ze smutkiem pokręcił głową.

- Mówisz, że przywieźli ją o drugiej? - Fiona skinęła głową. - Spałaś chociaż chwilę? - Potrząsnęła głową. - Byłaś w domu?

- Nie. - Upiła łyk kawy i szeroko się uśmiechnęła. - Nie da się ukryć, że robisz świetną kawę. Już mi lepiej.

Wciąż wyglądał na zatroskanego.

- No a co z Belle? Kto ją karmi i wyprowadza?

- Nie martw się, myślę o tym - zapewniła go. Jak mógł podejrzewać, że zaniedbuje Belle? Trochę ją to zirytowało. - Jak wiem, że się nie wyrwę, dzwonię do Laury. Alan zabiera Belle w drodze powrotnej do domu. Lubią się nią opiekować, a ona uwielbia ich dzieciaki.

- Ach tak. - Spojrzał na nią przeciągle, jakby ważył coś w myślach, więc od razu zdwoiła czujność. Ale w końcu tylko się uśmiechnął. - Wszystko w życiu masz poukładane, prawda?

- Prawda - odparła bez wahania.

Dyżur w przychodni zdawał się nie mieć końca. Gdy nagrała wreszcie ostatnie dane i wyłączyła dyktafon, było już bardzo późno. Pacjenci i reszta personelu wyszli już dawno. Uporządkowała rzeczy na biurku i ruszyła do drzwi.

- Przecież nie będę młodszą lekarką do końca życia - mruknięta pod nosem. - Ale pewnie i tak zawsze będę się tak czuć.

Gdy zaparkowała samochód przed domem Laury, nastrój od razu jej się poprawił. Wiedziała, że Belle i rodzina ucieszą się na jej widok, że dostanie jeść i że chociaż na chwilę się odprężą.

Laura przywitała ją nawet serdeczniej niż zwykle, ale ledwie zamieniły dwa słowa, już do gościa podbiegły czteroletnie bliźniaki - Jack i Sara. Każde złapało Fionę za rękę i zaczęło ciągnąć w swoją stronę, chcąc pokazać jej coś nadzwyczajnego.

- Nigdy byś nie zgadła... - zaczęła Laura, ale jej głos utonął w piskliwym szebiocie dzieci.

Fiona przykucnęła, żeby przywitać się z chłopczykiem, który najechał jej na nogę plastikową ciężarówką.

- Cześć, Mike. Jeszcze nie śpisz?

- Musiał poczekać, żeby zobaczyć ciocię Fee.

Słyszac rozbawiony głos szwagra, Fiona podniosła wzrok i natychmiast straciła równowagę. Usiadła na podłodze, otoczona wianuszkami zachwyconych brzdąców.

- Chodź ze mną, Fee - zażądał Jack. - Pokażę ci rakieta, którą zbudowałem dziś w przedszkolu. Ona naprawdę lata.
- No, no! - Ton i mina Fiony dowodziły, że zrobiło to na niej wrażenie.
- Nie - zaprotestowała Sara. - Fee opowie mi jakąś bajkę.
- Mam dla ciebie kawałek pizzy - oznajmiła Laura. - Dzieciaki, przestańcie. Dajcie cioci odetchnąć.
- Wiesz co, Fee? - szepnął tajemniczo Jack, wyraźnie podniekscytowany. - W kuchni jest duch.
- Taak? - Fiona szeroko otworzyła oczy, przerażona nie na żarty.
- Mamusia tak powiedziała. Chodź i sama zobacz.

Spróbowała podźwignąć się z podłogi, ale w tej chwili do pokoju wpadła Belle i położywszy jej łapy na ramionach, zaczęła lizać ją po nosie. Fiona roześmiała się bezradnie i uniosła rękę, mając nadzieję, że Alan pomoże jej wstać. Ktoś mocno schwył jej dłoń i pociągnął do góry. Tyle że nie był to Alan.

- Jeszcze raz dzień dobry.

Fiona na moment oniemiała.

- Co ty tu, u diabła, robisz? - wykrztusiła wreszcie.
- To jest właśnie ten duch! - zapiszczały bliźniaki, chociaż raz jednym głosem.

Jonathan wybuchnął śmiechem, a Fiona i Laura zaczęły mówić obie naraz. Na chwilę Fiona dała się porwać ogólnej wesołości, ale szybko ogarnęła ją złość.

- Wiem, że musimy razem pracować - sarknęła — ale czy muszę cię oglądać, kiedy mam wolne?

Zapadła niezręczna cisza. Wszyscy ze zdziwieniem wpatrywali się w Fionę, która gniewnie patrzyła na Jonathana. Ten wyglądał na zakłopotanego. Laura porozumiewawczo szturchnęła Alana, który wziął na ręce Mike'a.

- Do łóżka, dzieciaki.

- Ale...

- Żadnych ale. - Wolną ręką Alan przyciągnął do siebie dzieci. - Jak się położycie, Fee przyjdzie wam powiedzieć dobranoc.

- Przyjdę. - Fiona uśmiechnęła się do zdezorientowanych dzieci. - Obiecuję. - Zganiła się w duchu za swój wybuch złości, ale gdy znów spojrzała na Jona, jej uśmiech zniknął.

- Nie miałem zamiaru cię prześladować. - Jon uśmiechnął się skruszony. - Przepraszam, nie wiedziałem, że tu będziesz.

- Właśnie że wiedziałeś - rzekła z wyrzutem. - Mówiłam ci, że Belle tu jest. - Przypomniała sobie jego przeciągłe spojrzenie i zacisnęła usta. - Pewnie znów poszedłeś gdzie trzeba i oczarowałeś kogo trzeba, żeby zdobyć adres?

- Zgadza się. - Teraz uśmiech Jona był szeroki, niemal arogancki. Ta bezczelna pewność siebie jeszcze bardziej ją rozdrażniła.

- Kiedy otworzyliśmy drzwi, nie wierzyliśmy własnym oczom - wyjaśniła szybko Laura. Objęła Fionę i pociągnęła za sobą do kuchni. - Chodź, bo zmarnuje się pizza, którą z trudem dla ciebie uchowałam.

- Nie obyło się bez walki - dorzucił Jon ze śmiechem, w którym Laura mu zawtórowała.

Fiona wyczuła, że siostra i jej mąż ucieszyli się z wizyty Jonathana i przyjęli go bez zbędnych pytań. Jakby na potwierdzenie tych przypuszczeń, Laura uśmiechnęła się ciepło do Jona, stawiając przed Fioną duży talerz pizzy.

- Żebyś nie zapomniała dać ci telefonu do Daniela. Ucieszył się, jak zadzwonisz.

Ledwie skubnęła pizzę. Odeszła jej ochota na jedzenie. Rozległ się płacz dziecka i przeprosiwszy ich, Laura wyszła z kuchni. Kiedy zostali sami, Jon usiadł przy stole naprzeciwko niej.

- O co chodzi, Pen? - zapytał cicho. - Myślałem, że znów



jesteśmy przyjaciółmi. Myślałem, że wszystko ci wyjaśniłem. No i pamiętam, że cię przeprosiłem.

- Owszem, przeprosiłeś - przyznała - ale niczego mi nie wyjaśniłeś. A co do przyjaźni, to widać za dużo sobie obiecywałeś.

- Powiedziałaś, że nie interesują cię żadne usprawiedliwienia. - Uśmiechnął się nieznacznie. - Trudno ci dogodzić, Fiono.

Prychnęła z irytacją i podzieliła się z Belle resztkami pizzy. Gdy znów podniosła głowę, zobaczyła, że Jon przygląda się jej z poważną miną.

- W moim małżeństwie... szybko zaczęły się kłopoty. Czuję się jak ostatni nieudacznik, ale ludziom, na których mi zależało, nie chciałem się do tego przyznać. Myślałem, że wszystko się zmieni. Im dłużej zwlekałem, tym było gorzej. Potem rzuciłem się w wir pracy i pozwoliłem, żeby zdominowała moje życie.

Wyciągnąwszy rękę przez stół, delikatnie ujął dłoń Fiony, machając zarazem drugą ręką, tak jakby chciał uciszyć dolatujące z piętra, przytłumione głosy dzieci.

- Poza wami nie mam żadnej rodziny. Byłem głupi, że w tamtych ciężkich chwilach nie zwróciłem się do was o wsparcie. - Znowu się uśmiechnął. - Czy odpowiada ci takie wyjaśnienie? Czy to wystarczy?

Do kuchni weszła Laura, trzymając na rękach najmłodszą córeczkę, Jennifer.

- Bliźniaki mówią, że nie zasną, dopóki nie powiesz im dobranoc.

Fiona dostrzegła zdziwione spojrzenie Laury i szybko uwolniła dłoń z uścisku Jonathana. Nie wątpiła, że powiedział jej prawdę, chociaż, zwłaszcza w ostatnich słowach, zrobił to w sposób odrobinę nonszalancki. Mimo to, wstając, uśmiechnęła się do niego.

- Wystarczy - powiedziała. - Na razie wystarczy.

Gdy wróciła na dół, Jonathana już nie było.

- Alan odwiózł go do szpitala - poinformowała ją Laura.

- Ach tak. - Poczucia się urażona, że wyszedł bez pożegnania, i Laura to zauważyła.

- Co się dzieje, Fee? Jak go widzisz, to chcesz mu wydrapać oczy, a kiedy odchodzi, masz mu to za złe. Można by pomyśleć, że jesteś w nim zakochana.

- No wiesz, to śmieszne! - wykrzyknęła Fiona z rozdrażnieniem i spiorunowała siostrę wzrokiem. - Muszę już iść.

- Wtedy przed laty, tego ostatniego dnia, wcale nie było ci do śmiechu, prawda? - spytała cicho. - Myślisz, że nie widziałam, co czujesz?

Fiona strzeliła palcami i Belle posłusznie zjawiała się u jej boku.

- To było dawno temu, Lauro. Zapomnij o tym.

- Zapomniałam, ale dziś mi się wszystko przypomniało. Ale czy ty aby na pewno zapomniałaś?

- Może i nie - wyjąkała Fiona, patrząc siostrze w oczy. - Ale pogrzebałam to głęboko w sercu, jak w grobie. I nie zamierzam wykopywać. - Uśmiechnęła się smutno, w zadumie. - Grób to najlepsze miejsce dla czegoś, co umarło.

---

## ROZDZIAŁ CZWARTY

---

W szpitalnym bufecie czuła się zawsze jak na dworcu kolejowym w godzinach szczytu. Panował tu ścisk, hałas i rozgardiasz. Ludzie nieustannie wchodzili i wychodzili, pod jedną ze ścian niezmiennie stała długa kolejka do automatów telefonicznych, co parę sekund rozlegał się dźwięk pagera, a w tle słychać było szmer ożywionych rozmów i, od czasu do czasu, głośne wybuchy śmiechu.

Jadali tu wszyscy - od salowych po ordynatorów. Jedzenie było obfite, smaczne i urozmaicone. Fiona bardzo lubiła atmosferę tego miejsca, chociaż nieczęsto miała dość czasu, by tu zajrzeć.

Dzisiaj zdołała się wyrwać, tyle że bez towarzystwa. Wzięta tacę i stanęła w kolejce obok szklanych gablotek z jedzeniem, rozważając w myślach, na co ma ochotę, i z nadzieją rozglądając się po sali. Bez zdziwienia - za to z lekkim rozczarowaniem - stwierdziła, że nie widzi nigdzie Jonathana.

Za krótką rozmowę z Laurą zapłaciła kolejną zarwaną nocą. Musiała wreszcie przyznać, że sama się oszukuje, że sytuacja jest bardziej skomplikowana, niż sobie mówiła. Nie umiała określić swych uczuć do Jona, wiedziała tylko, że są bardzo intensywne. A to oznacza, że będzie musiała jakoś się z nimi uporać. Była gotowa zmierzyć się z nimi przy pierwszej nadarzającej się sposobności. Liczyła na to, że jeśli dopuści je do głosu i zrozumie, to z czasem się od nich uwolni.

Dotarwszy do kasy, zapłaciła za babeczkę, sałatkę owocową i sok pomarańczowy i ostatni raz objęła spojrzaniem pełną ludzi

salę. Przy jednym ze stolików dostrzegła Martina, który siedział razem z dwojgiem pediatrów. Ta specjalizacja naprawdę ją interesowała, toteż z radością do nich dołączyła. Jednak ledwie usiadła, lekarze wstali i zaczęli się zbierać do wyjścia.

- Nie odezwałam się jeszcze - powiedziała z uśmiechem
- więc to chyba nie przeze mnie?

Jill Banks odwzajemniła jej uśmiech.

- Przykro nam, Fiono. Po prostu czas nas goni, jak zwykle. Ale mam nadzieję, że zobaczymy się wieczorem.

- Wieczorem? - spytała, ale Jill już się oddaliła.
- Jesteś więc skazana na mnie - skonstatował ponuro Martin. - Co za pech.

Westchnęła z teatralną przesadą.

- Nie wiem, czy to wytrzymam. - Zestawiła talerzyki z tacy, czekając na następną żartobliwą prowokację, ale Martin się nie odezwał. Spojrzała na niego zaniepokojona. - Co z tobą?

- Nikt mnie nie kocha.

Parsknęła śmiechem i omal nie wylała soku. Ostrożnie odstawiała szklankę.

- To musi być straszne - zauważyła z głębokim współczuciem.  
- Nawet nie wiesz... - Mimo autentycznie posępnej miny, Martin z zadowoleniem wcinał gulasz z ryżem.

- Ale widzę, że apetyt ci dopisuje?
- Czy gdybym zaczął pościć, padłabyś mi w ramiona?
- Nie.
- Więc nie będę sobie żałował.

Postanowiła zmienić temat.

- Co miała na myśli Jill, mówiąc o wieczorze?  
- Przyjęcie powitalne na cześć twojego chłopaka. - Rzucił jej podejrzliwe spojrzenie. - Myślałem, że ty pierwsza dostałaś zaproszenie. U Doreen Roberts z pediatrii. To znaczy, u niej w domu. O ósmej.

- Pierwsze słyszę. Może nie ma mnie na liście gości.

Tym razem to Martin parsknął, dając jej do zrozumienia, że nie da się nabić w butelkę. Fiona westchnęła, zrezygnowana. Jon był przekonany, że jest związana z Martinem, natomiast Martin najwyraźniej zakładał, że coś ją łączy z Jonem. Sytuacja stawała się nedorzeczna, ale była zbyt skomplikowana, by wyjaśnić ją w czasie przerwy na lunch.

Fiona znów zmieniła temat.

- Wiesz już coś o tej pracy w Edynburgu?

Martin marzył o posadzie konsultanta w swojej specjalności, ale konkurencja była bardzo ostra. Niedawno wysłał podanie w tej sprawie do Szkocji.

- Nie, ale pewnie tam też mnie nie zechcą.

Miała ochotę kopnąć go pod stołem w pizszczel, ale zamiast tego rzekła pogodnie:

- Ginette Shaw czuje się rewelacyjnie. Chyba jutro możemy ją wypisać. Przestała krwawić i nie ma już gorączki.

Martin skinął głową.

- Wypisałem Ellen Whitmore. I obiecałem pani Cook, że ją też niedługo puścimy.

- A jak tam w przychodni?

- Okropnie - odparł serio. - Jeden rak szyjki macicy. Pięćdziesięcioletnia kobieta od lat miała nieregularne krwawienia, ale nie wspomniała o tym lekarzowi. Myślała, że to objawy menopauzy. Od sześciu lat nie robiła cytologii. Trzeci stopień, może nawet czwarty. Zrobimy jej badania, ale instynkt podpowiada mi, żeby oddać ją w ręce onkologów.

Tym razem współczucie Fiony było szczere.

- Och, Martin, to rzeczywiście okropne. Nie dziwię się, że jesteś przygnębiony.

- To było na początek - ciągnął posępnie - najgorsze przyszło później. Dziewczyna dwadzieścia jeden lat, pierwsza ciąża.

Lekarz rodzinny zrobił rutynowe badanie brzucha i natychmiast przystał ją do nas. Chyba zaawansowany guz jajnika.

- Taka młodziutka - westchnęła. - Może jednak nie... Ale jeżeli się nie mylisz, rokowania nie są najlepsze, prawda?
- No pewnie że nie.
- I ciąża bardzo utrudni leczenie.
- Pogadam o tym z szefem. To niełatwy przypadek. - Odsunął od siebie talerz i uśmiechnął się słabo do Fiony. - Marny ze mnie kompan, co?
- Wszyscy miewamy gorsze dni - odrzekła sentencjonalnie.
- Ta robota wymaga ogromnej odporności. Fizycznej i emocjonalnej. Nie możemy wciąż być w formie i zawsze weseli jak skowronki. Ale trzeba też pamiętać, że sporo nam się udaje.
- Masz rację - zgodził się i dopił kawę. - Chyba jestem po prostu przemęczony.
- Oboje jesteśmy przemęczeni - podsumowała. - Ostatnio było mnóstwo pracy. Nawet jeśli zaproszą mnie na to przyjęcie, to i tak nie pójdę.
- Ja też nie.

Gdy wpadli na siebie pod domem Doreen Roberts, oboje wybuchnęli śmiechem.

- Nie mogłam nie przyjąć zaproszenia od kogoś, kto przez kilka miesięcy będzie moim szefem, nieprawdaż?
- Oczywiście, więc pomyślałem sobie, że posłużę ci za przyzwoitkę. Na wypadek, gdyby ten szef się zapomniał.
- Och, Martin, dajże już spokój. Coś ci się chyba przyśniło.
- Zirytowana, ruszyła zwirową alejką w stronę wejścia.
- Ale chciałybyś, żeby ten sen się ziścił, prawda?
- Nie - odparła z naciskiem. - Absolutnie nie.

Widząc wyraz jej twarzy, uśmiechnął się w zadumie.

- Może znam cię lepiej niż ty sama - rzekł cicho i po kole-

żeńsku objął ramieniem. - No dobrze. Skoro tak twierdzisz, to niech ci będzie. W każdym razie życzę ci jak najlepiej.

Nie odezwała się. Najpierw Laura, a teraz Martin. Czyżby widzieli coś, czego ona sama nie widzi?

- Zresztą zawsze możesz liczyć na mnie - ciągnął wesoło.
- Wcale się nie poddałem. Czy mówiłem ci już, że ślicznie wyglądasz?

Wygładasz?

- Jeszcze nie. Masz dzisiaj kiepski refleks. - Uśmiechnęła się do niego, już odprężona. - Ale miło mi to słyszeć. Każdym swoim słowem dopieszczasz moje ego.

Mimo zmęczenia Fiona popracowała nad tym, żeby ładnie wyglądać. Włożyła czarne legginsy z lycry i ciemnożółte body, do tego zwiewną, jedwabną koszulę w kolorze pszenicy, ze stojką i szerokimi rękawami, zapiętą na jeden guziczek pod szyją. Włosy zostawiła rozpuszczone, tak że spływały po ramionach aż do talii. Tylko z przodu, tuż przy skroniach, zaplotła dwa warkoczki. Spięte z tyłu klamerką, wyglądały jak fantazyjna opaska. Makijaż miała jak zwykle dyskretny, ale nadzwyczaj staranny, choć z przekory nie zatuszowała cieni pod oczami. Patrząc na nią, Martin po raz setny stwierdził w duchu, że ma klasę i mnóstwo wdzięku. Ale uderzyła go także jej kruchość - czy bezbronność - z której przedtem nie zdawał sobie sprawy.

Fiona nacisnęła dzwonek do drzwi.

- Głowa do góry, Martin. Ty też świetnie wyglądasz.
- Jasne - mruknął bez przekonania. - Ależ ja się marnuję.

Przyjęcie trwało już w najlepsze. W salonie panowała swobodna atmosfera, toteż oboje bez trudu w mieszczyli się w tłum. Fiona chętnie przyjęła kieliszek wina, którym ją poczęstowano, i powoli ruszyła w stronę suto zastawionych stołów. Ponieważ nie jadła obiadu, była naprawdę głodna. Co jakiś czas spotykała kogoś znajomego, uśmiechała się, witała, wymieniała uprzejmości, tak że po półgodzinie była zaledwie w połowie drogi. Tym

bardziej więc ucieszyła się na widok Martina, który zjawił się nagle u jej boku z taczką pełną przekąsek.

- Aż miło popatrzeć, jak zarabiasz na utrzymanie - pochwaliła go, ze smakiem pałaszując vol-au-vent.

- Znam swoje miejsce - odparł z powagą, skromnie spuszczać oczy.

- Fiona! Cieszę się, że przyszłaś. - Jill Banks chwyciła ją za łokieć i pociągnęła w stronę jakiejś grupki. - Chcę cię komuś przedstawić. Może za jakiś czas będziesz z nimi pracowała.

Fiona z ochotą podążyła za nią. Zapoznawszy się z kilkoma pracownikami pediatrii, śmiało włączyła się do rozmowy o związanych z tą specjalizacją problemach i trudnościach w zarządzaniu oddziałem.

Od chwili, gdy przekroczyła próg salonu, cały czas była świadoma obecności Jona. Skinął jej zresztą głową na powitanie, pomachał ręką, parę razy się uśmiechnął. Ilekroć wędrowała wzrokiem po pokoju, ich oczy dziwnym trafem się spotykały. Za którymś razem trocheja to zdenerwowało. Oczywiście, reagowała na jego bliskość - tego nie mogła się już wyprzeć, ale uznała, że to nic nadzwyczajnego. W końcu podobał się nie tylko jej, lecz nie zamierzała mu tego okazywać. Nie będzie schlebiać jego próżności ani znów się przed nim ośmieszać.

Gdy sobie to uświadomiła, ignorowanie go przyszło jej całkiem łatwo. Unikała go wzrokiem i schodziła mu z drogi, zwłaszcza że wiele osób aż paliło się, by dołączyć do jego towarzystwa. Wytworzyło się coś w rodzaju współzawodnictwa o względy honorowego gościa. W końcu jednak Fionę zniósł na obrzeże grupy ludzi, pośród których stał.

Gdy Martin przechodził obok niej, sięgnęła po grzaneczkę z łososiem, a potem obserwowała go, jak częstuje innych. Zauważyła, że i na niego wiele kobiet spogląda z zainteresowa-



niem. Na pewno znajdzie tę, której szuka, pomyślała. To tylko kwestia czasu. Zatrzymał się, żeby zaproponować ostatnią kanapkę Lizie Huntly, obsługującej ultrasonograf. Była to pogodna, pełna życia czarnulka o drobnej posturze i ładnych oczach, w których malował się nieskrywany podziw dla kolegi. Tylko czy Martin będzie umiał to dostrzec?

Skończyła grzanekę i zaczęła przysłuchiwać się rozmowie stojących w pobliżu osób. Zamierzała poczekać na dogodny moment i wrócić do domu. Naprawdę była wykończona.

Grupa otaczająca Jonathana składała się głównie z konsultantów. Jeden z nich gratulował mu właśnie opublikowania wielu znakomych artykułów naukowych. Fiona rozpoznała w nim Petera Mackwella, zasłużonego doktora pediatrii.

- Jak na takiego młodego człowieka, Jon, twój życiorys jest naprawdę imponujący - mówił Mackwell. - Magisterium, doktorat, docentura, specjalizacje. To robi wrażenie.

Nie zdawała sobie sprawy, że zaszedł tak wysoko.

- W pewnej chwili okazało się, że mam mnóstwo czasu - powiedział Jon. - Dzięki pracy naukowej nie traćtem go na głupstwa. - Wyłowił ją wzrokiem i przez sekundę zdawało jej się, że mrugnął do niej porozumiewawczo. Tylko ona wiedziała, dlaczego postanowił poświęcić się zajęciom zawodowym.

Doreen zaczęła napełniać gościom kieliszki.

- Słyszałam twój referat na konferencji w Mediolanie dwa czy trzy lata temu - powiedziała, zatrzymując się przy Jonie. - O histerektomii laparoskopowej, co było wówczas nowinką. - Pokręciła głową. - Chyba nikt tak nie rozbawił słuchaczy jak ty wtedy. No i zapamiętałam sobie tę historyjkę.

Na twarzy Jona pojawił się znajomy półuśmiech.

- Śpieszę zapewnić, że anegdotyczny charakter miało jedynie wprowadzenie, a nie cały referat.

Ta uwaga również wywołała ogólną wesołość, ale jej miejsce

szybko zajęła ciekawość, o jakiej to historyjce wspomniała Doreen. Pustą już teraz butelką Doreen wskazała na Jona.

- On na pewno opowie ją lepiej ode mnie.
- Obawiam się, że po tym wstępie trochę się rozczarujecie
- zaczął Jon. - Po prostu wspomniałem wtedy o pierwszej histerekтомii brzusznej, której dokonał niejaki Charles Clay w 1843 roku. Pacjentka przeżyła operację przeprowadzoną w domu Clay'a, i powoli wracała do zdrowia. Na nieszczęście, dwa tygodnie później pielęgniarki upuściły ją na podłogę przy zmianie pościeli i biedaczka zmarła na miejscu. - Poczekał, aż ucichnie śmiech. - Prawdopodobnie w wyniku zakażenia albo zatoru tętnicy płucnej. No, niech tam, w końcu to nie najgorsza historia.

Doreen zaczęła powoli oddalać się w stronę kuchni.

- Proszę, częstujcie się jedzeniem. Pójdę po następną butelkę
- rzuciła, uśmiechając się do Jonathana.

W tej samej chwili Fiona uprzytomniła sobie, że Doreen nie jest mężatką. Dla takiej kobiety jak ona - wykształconej, atrakcyjnej - Jon musi być takowym kąskiem.

- Nie mogę się doczekać tych sesji szkoleniowych - dodała Doreen, wciąż zwlekając z odejściem. - Podobno zaczynasz w przyszłym tygodniu?

- Owszem - odparł Jonathan. - Laparoscopia w leczeniu gruczolistości, wspomagana laparoskopowo histerektdmia pochłowa i temu podobne cuderańka.

- To nowość - wtrącił Peter Mackwell. - Chętnie przekonałbym się na własne oczy, czy to rzeczywiście taka rewelacja.

- W szpitalu są świetne warunki - rzekł Jon z zapalem. - Można zrobić transmisję do sali obserwacyjnej. Wszystkich zainteresowanych postaramy się tak poupychać, żeby w operacyjnej nie zabrakło miejsca dla pacjentek. - Zebrani wokół Jona goście znów wybuchnęli śmiechem.

- Zarezerwuj mi krzesło w pierwszym rzędzie - przymlała się Doreen, obdarzając go następnym zalotnym uśmiechem.

Fiona uważnie popatrzyła na nią i zdziwiła się, że nie zauważyła dotąd atrakcyjności swej koleżanki. Doreen była po trzydziestce, nieco niższa od Fiony, ale równie zgrabna, z fikuśnie podciętymi blond włosami. Raczej pewna siebie, z wyrobioną pozycją zawodową, sprawiała wrażenie osoby, która dobrze wie, czego chce, i potrafi to osiągnąć. Czy w planach doktor Roberts było też miejsce dla Jonathana Fletchera?

Nagle Fionę ogarnęło takie znużenie, że z trudem stłumiła ziewnięcie.

- Przeszkadzamy ci spać, prawda?

Po raz pierwszy tego wieczoru Jon zwrócił się bezpośrednio do niej. Zerkając na zegarek, blade się uśmiechnęła. Była prawie jedenasta.

- Nie da się ukryć, że padam ze zmęczenia.

- Wcale się nie dziwię. Sam mógłbym spać przez tydzień.

To pewnie różnica czasu, jeszcze się nie przestawiłem. Poza tym zwyczajnie się starzeję. Ty jesteś przynajmniej młodzieńca.

- Nie jestem już dziewczynką, mam dwadzieścia cztery lata.

- Nie pozwoliła sobie na uśmiech. - Ale niech ci będzie. Rzeczywiście, po trzydziestce to już trochę z góry.

- Masz ci los, piękne dzięki! - Uśmiechnął się żałośnie.

- No cóż, chyba sam się o to prosiłem. Nie pozostaje mi nic innego, jak tylko wytrzymać. Masz jutro coś ciekawego?

- Robimy z Martinem punkcje owodni, a po południu zwykła rutyna, więc powinno być spokojnie. Potem nareszcie wolny weekend. Trzeba jak najlepiej wykorzystać czas, bo w przyszłym tygodniu nie będzie już tak dobrze.

Dołączyli do nich jacyś nowi goście i Fiona szybko się pożegnała. Chciała powiedzieć Martinowi dobranoc, ale spostrzegszy go, zrezygnowała. Siedział obok Lizy Huntly i z ożywie-

niem jej o czymś opowiadał. Fiona uśmiechnęła się do siebie i wyszła.

Sądząc po świeżym wyglądzie nazajutrz, Jon, mimo zaawansowanego wieku, jakoś jednak „wytrzymał”. Fiona przywitała się z nim i ruchem głowy zaprosiła go do pokoju, w którym właśnie pracowała.

- Przyda mi się twoja rada - oznajmiła. - Nie musiałabym przeszkadzać Martinowi.

Podszedł do niej i popatrzył na ekran monitora.

- To pani Carter - wyjaśniła. - Mamy zrobić punkcję owodni, ale martwi mnie trochę ta pozycja. Jak widzisz, łożysko jest bardzo nisko, plecki dziecka tutaj - przejechała kursorem po ekranie - a płyn zebrał się głównie między nimi. To może być pewien kłopot.

- Dużo się tu dzieje - zauważył. - Niewykluczone, że dziecko ułoży się w lepszej pozycji. Albo spróbuj zrobić to tutaj, pod kątem. - Pokazał jej punkt na ekranie. - Zobacz, dziecko się odwróciło. Jest plecami do łożyska. Tu, przy kończynach, masz teraz sporo miejsca.

Wycofał się, a Fiona zaznaczyła piórem punkcik na brzuchu pacjentki i przemyła skórę roztworem antyseptycznym.

- Wstrzyknę teraz odrobinę miejscowego, jak u dentysty. Na chwilę zapieczę - uprzedziła i z miski nerkowatej wyciągnęła dłuższą igłę. - A teraz wbiję igłę w macicę. To może być trochę nieprzyjemne. Postaram się zrobić to jak najszybciej. - Zerknęła na twarz pani Carter, na której pojawił się grymas. - Najgorsze mamy za sobą - zapewniła pacjentkę. - Teraz sprawdzę, czy igła jest we właściwym miejscu. - Znów popatrzyła na ekran.

- Doskonale - pochwalił ją Jonathan.

Dołączyła strzykawkę do igły i zaczęła nabierać bladożółty płyn.

- Ile bierzecie? - spytała z niepokojem pacjentka.  
- Tylko dwadzieścia mililitrów - uspokoiła ją Fiona. - Myślę, że to zaledwie dziesięć procent całej objętości. A zresztą i tak samoistnie się uzupełni w ciągu czterdziestu ośmiu godzin.

Pięć minut później było już po wszystkim. Fiona pokazała pacjentce bijące serduszko dziecka, widoczne na ekranie.

- Wszystko w porządku - podsumowała. - Trzeba tylko poczekać na wyniki. Będą za jakieś trzy tygodnie.

Gdy pani Carter wyszła, Jon zwrócił się do Fiony:

- Muszę lecieć. Mam spotkanie z Reece'em. - Uśmiechnął się. - Wiesz, ładnie ci to poszło. Jestem pod wrażeniem.

- Ja również. Nie miałam pojęcia o twoich dokonaniach ani że jesteś taki znany za granicą. Proszę, proszę. To nie byle co.

- Mówiłem ci, że musiałem otrząsnąć się po niepowodzeniu z Clare - odparł, wzruszając ramionami. - Zaskakujące, do czego można dojść, kiedy się pracuje osiemnaście godzin na dobę przez siedem dni w tygodniu. Poza tym miałem dobry sprzęt, wsparcie zdolnych kolegów, dostęp do najlepszych ośrodków. - Znów się uśmiechnął, chociaż trochę smutno. - Ale nie polecałbym takiego trybu życia. Ostatnio pomyślałem, że przerwa tutaj naprawdę dobrze mi zrobi. Wiesz, tak się cieszę na ten wolny weekend. Chciałbym zrobić coś... zwariowanego.

- Na przykład?

- Sam jeszcze nie wiem. - Na jego twarzy pojawił się lekki uśmiech, pełen zachęty. - Może ty masz jakiś pomysł?

Szybko rozważyła tę zakamuflowaną propozycję. Jeśli szuka sposobności, to sposobność właśnie się nadarza.

- Może nawet i mam - powiedziała z pozorów od niechcienia, ale serce biło jej szybciej. - Przygotuj sobie ubranie stosowne na wycieczkę. Przyjadę po ciebie o siódmej rano. Mam zamiar zrobić coś, co i tobie może sprawić przyjemność.

- O siódmej? - jęknął żałośnie. - Jak można zaczynać wolny weekend o tak barbarzyńskiej porze?

Ale Fiona nie miała litości.

- Odeśpisz w niedzielę - odrzekła ze śmiechem. - Po jutrzejszych atrakcjach potrzebny ci będzie odpoczynek.

Nazajutrz punkt o siódmej zaparkowała samochód przed hotelem przyszpitalnym, w którym mieszkał Jonathan. Była pewna, że jest gotów. Wiedziała, że w takich sprawach można na nim polegać. Ucieszyła się, widząc go w dzinsach i granatowym golfie. Pomachała mu przyjaźnie ręką i odesłała Belle na tylne siedzenie.

Z powodu wczesnej pory prawie nie było ruchu, toteż szybko wydostała się z miasta. Kątem oka widziała, że Jon podejrzliwie patrzy na jej bryczesy i mocno już podniszczone buty do jazdy konnej.

- Cóż za tajemnicza wyprawa, Pen? Chyba mi nie powiesz, że ma to jakiś związek z dużymi czworonożnymi zwierzętami?

- Jakim cudem zgadłeś? - Zmieniła bieg, bo zaczęli wjeżdżać pod górę.

- Od sześciu lat nie widziałem konia. Zapomniałem, jak wygląda - oznajmił z niekłamany zaniepokojeniem.

- A więc tym bardziej jest to właśnie to, co zaleciłby lekarz. Kompletna odmiana, coś, jak to ująłeś, „zwariowanego”. - Po jej wargach błąkał się tajemniczy uśmiech. W głębi duszy była zadowolona, że Jon czuje się niepewnie. Wreszcie ona kontroluje sytuację. - Z tym jest jak z jazdą narowerze. Tego się nie zapomina.

- Rowery nie wierzgają i nie gryzą - mruknął. -1 są znacznie posłuszniejsze.

Uśmiechając się przekornie, jechała dalej bez słowa.

- Może się zdarzyć, że spadnę - ostrzegł.

- Nie pierwszy raz. - Wybuchnęła śmiechem i poczuła, że mięknie jej serce. - No dobrze, nie martw się. Przydzielę ci jakieś łagodne stworzenie.

Przez chwilę jechali w milczeniu, rozkoszując się urodą krajobrazu. Postrzępione wybrzeże z małymi wysepkami, port, lustrzane wody oceanu wyglądały pięknie w jasnym świetle poranka.

- Zaparkujemy po drugiej stronie - odezwała się wreszcie. - Moja przyjaciółka ma tam szkółkę jazdy konnej. Mogę wpaść, kiedy tylko zechcę, nawet kiedy jest zamknięte. Sama zawsze jeżdżę na jej rozbrykanej klaczy, ale innym koniom można zaufać. Powiedziałabym, że są aż nazbyt spokojne, więc nie licz na to, że sobie pogalopujesz.

Jonathanowi wyraźnie ulżyło.

- Pewnie szybko by zbankrutowała, gdyby klienci wciąż łądownali na ziemi.

- Nie rozumiem, czego się tak boisz. To normalne, że za pierwszym razem miałeś stracha, ale gdy się roztawaliśmy, radziłeś sobie całkiem dobrze. To znaczy, oprócz jazdy na oklep.

- Łatwo ci się śmiać - zachnął się. - Nie utrzymasz się na koniu bez siodła, jeśli wdepnie w króliczą norę.

- Nie widziałam tam żadnej nory.

- Bo miałaś zamknięte oczy - uciął i spojrzał na nią łobuzersko. - Jesteś dzisiaj jakaś inna... Weselsza niż zwykle.

- Chyba tak - przyznała, skრęcając. - Może dlatego, że jestem daleko od szpitala i od miasta.

I może jeszcze dlatego, pomyślała, że złość, którą tak długo w sobie pielęgnowała, ustępuje, a jej miejsce zajmują dojrzałe uczucia. Teraz było w niej już mniej egoizmu, nabrała dystansu do sytuacji. Umiała popatrzeć na nią z innego punktu widzenia, może nawet potrafiła ją zrozumieć. Myśl o zbudowaniu nowej przyjaźni wydała jej się nagle całkiem nęcąca.

Jona przekonało jej wyjaśnienie.

- Ktoś taki jak ty istotnie nie pasuje do dużego miasta.  
- Patrzyć, jak wjeżdżają w boczną drogę, ocienioną szpalerem dębów. - Jaka więc będzie przyszłość Fiony Donaldson?

- To duży znak zapytania - odparła, zwalniając. - Ale bardzo bym chciała mieć rodzinę.

- Furę dzieciaków?

- Co najmniej sześcioro - przytaknęła, pokazując zęby w uśmiechu, na co Jon zmarszczył brwi. - No dobrze, niech będzie dwoje - ustąpiła.

- A co z pracą?

- Myślę o tym - wyznała. - Wolałabym być bliżej domu.

Tęsknię za rodzicami, za farmą. Tata mówi, że w szpitalu w Queenstown szykuje się wolne miejsce, więc żałuję, że nie mam dziesięcioletniego doświadczenia. Chyba w końcu zostanę lekarzem ogólnym. To pozwoli mi pogodzić pracę z wychowywaniem dzieci. I nie będę musiała siedzieć w mieście.

- Co to za posada w tym Queenstown?

- Wszystkiego po trochu - odparła z uśmiechem. - Tam jest taki system, że po stażu podyplomowym w szpitalu zostaje tylko jeden lekarz, który współpracuje z lekarzami domowymi. Chirurgia ogólna, położnictwo i interna razem. Ma to swoje zalety. Urozmaicona praca, duża samodzielność i piękna okolica.

- Zanim zacząłem pracę w położnictwie, miałem dwa lata chirurgii ogólnej - powiedział.

Zaparkowała przed niewielką szopą.

- Miałyś ochotę przystąpić do konkursu? - spytała.

- Nie - odrzekł ze śmiechem. - Ja dokonałem już najważniejszego wyboru i nie zamierzam tego zmieniać. - Nagle spoważniał. - Zaczynanie wszystkiego od początku to trudna i bolesna rzecz. Wiem, bo już próbowałem. Więcej nie chcę.

Przyglądała mu się, zamyślona. O co mu chodzi? O przeży-



cia z dzieciństwa? O te sierocińce i rodziny zastępcze? A może ma na myśli coś z mniej odległej przeszłości?

- Czemu twoje małżeństwo się rozpadło?

- Powiedzmy, że nie za bardzo nadaję się na męża. - Unikał jej wzroku. - Oszczędzę ci przynębiających szczegółów.

Wcale nie chciała, by oszczędził jej szczegółów, ale ton jego głosu jednoznacznie wskazywał, że nie ma ochoty o tym mówić. Była zdecydowana zburzyć ten mur milczenia, ale wiedziała, że jeszcze nie nadszedł na to czas.

- No, wysiadamy! - zawołała. - Łykniemy świeżego powietrza i trochę się rozruszamy.

Otworzywszy szopę, zabrała siodła, szczotki i wiadro orzechów dla koni. Gdy weszli na wybieg, zwierzęta natychmiast ich otoczyły. Były przyjaźnie nastawione i najwyraźniej zadowolone jedzenia. Fiona złapała za uzdę niesforną siwą klacz i otaksowała wzrokiem pozostałe konie.

- Weź Harry'ego - poradziła Jonowi. - To ten duży czarny ogier. Polubisz go.

Belle z zaciekawieniem patrzyła, jak szczotkują, a następnie siodłają konie.

- Tylko nie zapomnij sprawdzić popręgu - przypomniała.

- Coś tam jeszcze pamiętam - mruknął.

Podeszła z uśmiechem do Harry'ego, przytrzymała popręg i kolaniem wymierzyła koniowi mocnego kuksańca w bok. Gdy zwierzę z chrapnięciem wypuściło powietrze, porządnie zacisnęła popręg.

- Żartowniś z niego - wyjaśniła wesoło. - Lubi sobie odechnąć, gdy się na niego wsiada, a wtedy ześlizgujesz się z powrotem.

Jonathan uśmiechnął się, lecz czuł się niepewnie.

- Niektórzy to lubią - zażartował, nerwowo usiłując zapiąć pasek od czarnego toczka.

- Pomogę ci. - Przeciągając pasek przez sprzączkę, musnęła dłońią jego S2yję i poczuła, że na moment zesztyniał. Z jego spojrzenia wyczytała, że zamierza sprostać wyzwaniu, które przed nim postawiła.

- Ruszajmy. - Pewnie dosiadła klaczy i poczekała, aż Jon niezdarnie wgramoli się na Harry'ego.

Zaczęli powoli, stępa. Uradowana Belle dotrzymywała im towarzystwa. Gdy dotarli nad brzeg rzeki, Fiona puściła klacz kłusem, oglądając się co jakiś czas, by sprawdzić, jak radzi sobie Jonathan.

Z samego rana podświadomie liczyła na to, że Jon spadnie z konia albo zbłądzi się w jakiś inny sposób, co mogłaby uznać za odwet za jej dotychczasowe cierpienia. Teraz jednak poczuła, że wcale tego nie chce. Umiejętność jazdy na koniu była ogniwem łączącym go z przeszłością. Gdyby ta więź została zerwana, oznaczałoby to koniec. Ale koniec czego? - spytała siebie w duchu i nie znalazła jednak odpowiedzi. Wciąż nie do końca pojmowała swe myśli, obawy, pragnienia.

Wzdychając, popuściła cugli i klacz przeszła w cwał. Gdy Fiona spojrzała za siebie, zobaczyła, że Harry nie ma zamiaru pozostawać w tyle. Jon szeroko się uśmiechał, więc zmiana tempa najwidoczniej mu nie przeszkadzała. Oboje czuli się szczęśliwi, w swoim żywiole.

Przejażdżka trwała ponad godzinę. Na wolnej przestrzeni puszczali się galopem, w miejscach zalesionych zwalniali. Wymieniali uwagi, droczyli się ze sobą i niemal bez przerwy się śmiali. W końcu oboje zsiadli z koni i przywiązali je do drzewa. Belle wskoczyła do strumyka, żeby się trochę ochłodzić, Fiona zaś zapatrzyła się w bezchmurne, błękitne niebo. Wtem usłyszała dziwny okrzyk i odwróciwszy się, ujrzała, jak Belle otrząsa się z wody prosto na Jonathana. Uskoczył w bok i omal nie zderzył się z Fiona. Roześmiany objął ją ramieniem.

- Dziękuję, Pen. Już nie pamiętam, kiedy równie miło spędziłem czas.

- Cieszę się. - Wymknęła się spod jego uścisku i nagle stanęła twarzą w twarz, a Jon schylił głowę i delikatnie pocałował ją w usta.

Tak samo jak wtedy, przed laty. Tyle razy wracała myślami do tego pocałunku, przeżywała go wciąż od nowa. Po chwili pocałował ją jeszcze raz, czule, miękko, a potem trzeci raz, mocniej i gwałtowniej. Teraz było to coś więcej niż tylko wspomnienia. Ręce Jonathana wędrowały po jej plecach, sięgając wreszcie bioder. Przyłgnął do niej tak mocno, że nie mogła już mieć wątpliwości, czy pragnie jej tak samo jak ona jego.

Ale nagle ta bliskość, ta jedność została przerwana. Fiona nie umiałaby powiedzieć, które z nich wycofało się pierwsze. Być może uczynili to oboje jednocześnie. Poczują, jak obrzmiałe ma usta, jak obolałe z niespełnienia jest jej ciało. Widziała, że Jonathan zmaga się z podobnymi doznaniem. Wciąż stali nieruchomo, zapatrzeni w siebie, ale jakby w zawieszeniu, bez słowa.

Wreszcie Fiona głęboko odetchnęła i ruszyła ku swojej klaczy. W gruncie rzeczy milczenie Jonathana było jej na rękę. Czuła, że potrzebuje czasu na oswojenie się z tą sytuacją.

Cóż za ironia losu, pomyślała. Szukała sposobności, żeby przekonać się, co naprawdę czuje do Jona. Chciała zmierzyć się z tymi uczuciami, a potem pozwolić im zniknąć. Liczyła na to, że osiągnie wewnętrzny spokój. No i owszem - sposobność się nadarzyła, a ona poznała wreszcie prawdę o swych uczuciach. Poznała ją aż do bólu. Tylko że to wszystko wcale nie przyniosło jej spokoju. I nie łudziła się już, że szybko go osiągnie.

---

## ROZDZIAŁ PIĄTY

---

Nabrała już takiej wprawy, że większość czynności wykonywała niemal automatycznie. Namydliwszy ręce, zaczęła je zawięć szorować, myślami błędząc gdzie indziej. Czy to możliwe, że od czasu, gdy szykowała się na pierwsze spotkanie z Jonem, minął dopiero tydzień? Uśmiechnęła się gorzko na wspomnienie swoich ówczesnych planów, jakże ambitnych i zdecydowanych.

Zamierzała się kontrolować, w dojrzały sposób dać Jonowi do zrozumienia, że przestał być częścią jej życia i że, poza sprawami służbowymi, nie powinien liczyć na żaden bliższy kontakt. Okazało się jednak, że starania Jona, by odnowić ich przyjaźń, wzbudziły w niej zadowolenie. Sytuacja zaczęła wymykać się spod kontroli. Drobne z początku potknięcia doprowadziły w końcu do upadku i dzisiaj, po wydarzeniach ostatniej soboty, Fiona czuła się jak pokiereszowana, ponieważ to, o czym sądziła, że umarło, na nowo nią owładnęło.

Widocznie te uczucia przez cały czas czały się w niej, czekając na odpowiedni moment. Przez lata tłumiła je w sobie, skrywała pod warstwą kłamstw i pozorów, a gdy przyszło do spotkania, niewiele było trzeba, by je wyzwolić. I teraz nie dało się zaprzeczyć, że jest w Jonathanie po uszy zakochana.

Opiukała ręce, z których gdzieniegdzie prawie zdarta szczoteczką skórę. No cóż, to jeszcze nie koniec świata. Z pewnością zdoła jakoś dojść do siebie. Do niej należy decyzja, czy zrobić następny krok. Najgorsze jednak było to, że mimo pozornej

alternatywy Fiona miała poczucie, że jej swoboda wyboru jest bardzo ograniczona.

Zerknęła na Martina, spodziewając się żartobliwej zaczepki, ale on również był dzisiaj milczący. Westchnęła ciężko. Tego ranka atmosfera w szpitalu była grobowa. Na początek czekało ich kilka rutynowych zabiegów, a na końcu ten przynębiający przypadek młodej matki z guzem jajnika, o którym opowiadał jej Martin. Wycierając ręce, uśmiechnęła się blado do kolegi.

- Jak minął weekend?

- W porządku - odparł zdawkowo. Nagle twarz rozjaśniła mu się w szczerym uśmiechu. - Prawdę mówiąc, fantastycznie.

- Przez moment wahał się, czyby tego nie rozwinąć, ale w końcu zrezygnował. - A ty co porabiałaś?

- Sobotę spędziłam cudownie - odparła z udawaną wesołością. - Rano jeździłam na koniu, a wieczorem zabrałam do siostry. - Energicznie włożyła rękawiczki. - Natomiast wczoraj snułam się po domu, próbując zdecydować, co zrobić: odnowię go czy sprzedam.

- Więc to jest twój dom? - Martin był zaskoczony. - Myślałem, że go wynajmujesz. Czy będzie to straszna niedyskrecja, jeśli spytam, jakim cudem mogłaś sobie na niego pozwolić?

Ruszyła za nim do sali operacyjnej.

- Nie był tu potrzebny żaden cud - odrzekła z uśmiechem.

- Ta część miasta nie cieszy się powodzeniem. Domek jest mały i w bardzo kiepskim stanie. No i ta hipoteka... - Patrzyła, jak Martin zaczyna zabieg. - Zrezygnowałam z wynajmowania, bo ludzie niechętnie patrzą na lokatorów z psami.

- Aha. - Martin stracił zainteresowanie tematem. - Wiesz, niedługo będziemy to robić laparoskopowo. Bardzo się cieszyłem na te pokazowe operacje.

Ze zrozumieniem pokiwała głową.

- Jonathana naprawdę wkurzyła ta zwłoka w dostawie sprzętu.

Wczesnym rankiem Jon wpadł do nich na chwilę. Był zły, że pokaz się opóźni.

- Szczęście, że to nie ja musiałem go o tym zawiadomić  
- rzekł Martin. - Coś mi się zdaje, że nie lubi, jak sprawy układają się nie po jego myśli.

Nigdy przedtem Fiona nie widziała takiego Jona. Był pochmurny, zamknięty w sobie, lakoniczny. Prawdziwe uosobienie rozdrażnionego autorytetu. Zastanawiała się, czy jego chłodny sposób bycia wynika jedynie z faktu, że pokrzyżowano mu plany, czy też może od tej pory ma zamiar zawsze się tak do niej odnosić?

Przypuszczała raczej, że chodzi o komplikacje w programie. Chirurgzy często tak reagują. Jednak instynkt podpowiadał jej, że to nie wszystko. Jeśli Jon chce przejąć kontrolę nad ich związkim, to odbiera jej tym samym możliwość wyboru. A ona bardzo pragnęła móc go dokonać.

- Arogant i gbur - mruknęła pod nosem. - Typowy chirurg.
- Co mówisz? - Martin podniósł na nią oczy.
- Nic takiego. - Lekko potrząsnęła głową.

Wzruszył ramionami.

- To w takim razie bierzmy się do szycia.

Próbowała skupić się na operacji, ale znów wróciła myślami do porannego spotkania z Jonem.

- Z pierwszymi dwoma przypadkami sami sobie poradzicie  
- powiedział wówczas, i zaraz dodał znacząco: - Taki z was przecież zgrany zespół.

Rozzłościło ją to. Wyraźnie robił aluzję do jej rzekomego romansu z Martinem. Oczywiście Martin w ogóle nie zwrócił na to uwagi.

- Wiesz, on miał rację.

- Kto? - Martin ze zdziwieniem podniósł wzrok znad stołu operacyjnego.

- Jon. Rzeczywiście zgrany z nas zespół.

Ponieważ kolega miał na twarzy maskę, nie zobaczyła jego uśmiechu. Była jednak pewna, że ją nim obdarzył w nagrodę za te miłe słowa. Operacja przebiegła gładko i napięcie trochę zelżało.

- Następną zrobisz sama - oznajmił Martin. - Idę na kawę.

- To się właśnie nazywa praca zespołowa - zakpiła.

- Spróbuję złapać szefa i pogadać z nim o tej bidulce.

Zdjąwszy fartuch i rękawiczki, zaczęła przygotowywać się

do następnej operacji. W innych okolicznościach cieszyłaby się na nią, ale wypowiedź Martina i jego odejście wprawiły ją ponownie w zły nastrój. Poczwała się bezsilna i znużona, tak jakby dzień nie dopiero się zaczął, ale miał się już ku końcowi.

Gdy tylko Jonathan pojawił się w sali, wszyscy nagle jakby ożyli. Było to doprawdy zdumiewające. Nie wiedziała, czy przypisać to jego pewności siebie, czy urokowi osobistemu, którym znów czarował. Ale fakt pozostawał faktem: wśród zebranych zapanował optymizm.

Jon miał operować, a Martin asystować, toteż tym razem Fiona była jedynie obserwatorką. Cieszyła się, że wreszcie zobaczy Jonathana przy pracy, i nie zawiodła się. Był wyśmienity zarówno pod względem technicznym, jak i organizacyjnym. Umiał zdyscyplinować ludzi i efektywnie wykorzystywać ich możliwości. Dawał współpracownikom poczucie bezpieczeństwa i nadzieję.

Wszyscy byli przygotowani na najgorsze, toteż z tym większą radością przyjęto opinię Jonathana, że mają tu do czynienia z zespołem Meiga, czyli niegroźnym włókniakiem jajnika, którego objawy do złudzenia przypominają zaawan-

sowany nowotwór. Gdy diagnozę tę potwierdziły wyniki badania, podane do wiadomości przez telefon, w sali rozległy się radosne okrzyki, które wywołały uśmiech na twarzy anestezjologa.

- Spokojnie, kochani, bo mi obudzicie pacjentkę.

Nastrój zmienił się nie do poznania. Zakładając ostatnie szwy, Jon zabawiał zespół medycznymi anegdotami. Wreszcie Fiona, Jon i Martin skierowali się do wyjścia, z ulgą zrzucając z siebie stroje operacyjne.

- Stawiam wam lunch - oświadczył Jon. - Nawet nie chcę słyszeć o odmowie. Akurat zdążymy przed przychodnią. Podobno w „Zajeździe nad Rzeką” można dobrze zjeść.

- Nigdy nie odmawiam, kiedy ktoś funduje - powiedział wesóło Martin.

- A ty, Fiono?

- Mam zaległości w papierkach... - zaczęła, ale Martin natychmiast jej przerwał:

- Nie powinnaś rezygnować z takiej okazji. - Porozumiewawczo trącił ją łokciem. - Pamiętaj o hipotece i o remoncie mieszkania.

Fiona roześmiała się. Widząc zatroskanie na twarzy Jona, pośpiesznie wyjaśniła:

- Bez przesady, jakoś sobie radzę. Ale owszem, chętnie z wami pójdę.

Gdy ruszała w stronę pryszniców, zadzwieczał pager Jona.

- Tylko to załatwię i zaraz do was dołączę. Spotkamy się na miejscu za dziesięć minut. Poszukajcie stolika, przy którym można karmić wróbelki - uśmiechnął się przelotnie - gdyby lunch okazał się niejadalny.

Smakowity zapach jedzenia przyprawił Fionę o męczarnie. Po raz dziesiąty spojrzała na zegarek.



- Umieram z głodu. Czekamy na niego czy zamawiamy?
- Zamawiamy. Zostało nam raptem trzydzieści minut. -  
Przywołał ręką kelnera. - Proszę polędwicę z grzybami. - Uniósłszy brwi, pytająco spojrzął na Fionę.
- Dla mnie bukiet z jarzyn.
- Życzą sobie państwo obejrzeć kartę win? - zapytał uprzejmie kelner.

Martin potrząsnął głową.

- Napiłbym się chętnie, ale, niestety, już nie zdążymy.
- Uśmiechnął się. - Wystarczy butelka mineralnej.

Po niecałych dziesięciu minutach kelner postawił przed nimi ciepłe, apetycznie wyglądające porcje. Zajazd znajdował się po drugiej stronie ulicy i jadało w nim wielu pracowników szpitala, toteż obsługa była przyzwyczajona do uwijania się przy gościach.

Ponownie przedyskutowali poranną operację, tak niespodziewanie zakończoną happy endem. Oboje jednak spochmurnieli, gdy Martin wrócił do sprawy Doris Sinclair, kobiety z zaawansowanym rakiem macicy. Pragnął, by Fiona towarzyszyła mu w rozmowie z nią i jej mężem. Musiał omówić z nimi wyniki badań, przedstawić raczej kiepskie rokowania i różne możliwości leczenia, którego działania uboczne mogą znacznie obniżyć jakość życia chorej. Uznał, że Fiona dostarczy mu moralnego wsparcia, a zarazem wiele się nauczy na tym doświadczeniu. Wyniszczywszy swą prośbę, uśmiechnął się na znak, że chciałby już odejść od tego smutnego tematu, a następnie uniósł szklankę wody w żartobliwym toaście.

- Na zdrowie, Fiono! - rzekł z trochę kwaśną miną. - To wyjątkowa okazja. Nie sądziłem, że do tego dojdzie.
- Do czego? - spytała zdziwiona, podnosząc oczy znad talerza. - Ależ to pyszne. Jonathan nie wie, co traci.

- Do tego, że zjem z tobą lunch w restauracji. Tylko my dwoje, sam na sam. Nie wiem, czy pamiętasz, że bezskutecznie zabiegałem o to przez ostatnie trzy miesiące.

Znieruchomiła i od razu straciła apetyt.

- A może jednak pan Fletcher doskonale wie, co traci.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Że wpadliśmy w pułapkę, jak dzieci. - Jej oczy błyszczały ze złości. - Nie zamierzał tu przyjść i nie przyjdzie.

- Więc o to chodzi. - Martin był wyraźnie zmieszany. - Że niby jestem piątym kołem u wozu? Hm. Naprawdę myślałem, że po dobrej robocie szef chce nam tylko zrobić frajdę.

- No bo właśnie tak mieliśmy myśleć - syknęła. - Ale przecież „taki z nas zgrany zespół”, pamiętasz?

- A niech to. - Jeszcze bardziej się zmieszał.

- Przyznaj się, brałeś udział w tym spisku? - spytała już łagodniejszym tonem.

- Nie, oczywiście że nie, chociaż... Do licha, ale się porobiło. - Odłożył sztućce i popatrzył na nią z wymuszonym uśmiechem. - Jeszcze tydzień temu mógłbym wykręcić taki numer, ale teraz... - Urwał i upił tyk wody. - Uważam cię za fantastyczną dziewczynę, Fiono, i nigdy tego nie kryłem, ale jasno dałaś mi do zrozumienia, że to cię nie interesuje.

- Właśnie - przyznała. - Co nie zmienia faktu, że ja też uważam cię za świetnego... kolegę i przyjaciela.

- Dobrze to. - Wrócił do jedzenia. - Wspomniałem ci, że miałem wyjątkowo udany weekend. Otóż spędziłem go z Lizą Huntly. Pamiętasz ją, prawda?

- Tak. Widziałam was razem, jak wychodziłam z przyjęcia u Doreen.

- Właśnie wtedy wszystko się zaczęło - wyjaśnił z uśmiechem. - Poczęstowałem ją ostatnią kanapką i... najwyraźniej w tym zasmakowała!

- Naprawdę bardzo się cieszę - powiedziała ciepło. - Mam nadzieję, że wam się ułoży.

- Musi. Już ja się o to postaram. Traktuję swoje życie bardzo poważnie. Małżeństwo, dzieci, praca. No, sama wiesz najlepiej.

- Owszem, wiem. - Naturalnie, dla niej praca też jest ważna, ale czy sama praca wystarczy?

- Musimy się zbierać. - Marszcząc brwi, spojrzał na jej talerz. - Nie jesz już?

Potrząsnęła głową.

- Widać nie byłam aż tak głodna. - Wstała od stolika. - To się nazywa być zaproszonym na lunch.

- Ależ czuj się zaproszona. Wciąż uważam to za swoje święto. - Martin niespokojnie rozejrzał się po restauracji. - Mam tylko nadzieję, że nikt nie doniesie Lizie o naszej schadzce.

- W najgorszym razie poprosisz Jona, żeby jej to wytłumaczył - powiedziała ze śmiechem.

Wychodząc, wpadli na Jonathana. Zadyszany i zmartwiony, natychmiast zaczął ich przeproszać.

- Tak mi przykro, naprawdę. Dzwonił producent sprzętu ze Stanów. Musiałem przeprowadzić małą telekonferencję. Dopiero co odłożyłem słuchawkę.

- Nic się nie stało - zapewnił go Martin. - Ale żałuj, jedzenie było świetne.

Fiona nie powiedziała ani słowa. Mimo że wyjaśnienie Jona brzmiało wiarygodnie, nie zamierzała, ot tak, przejść nad tym do porządku. Zbliżali się już do przychodni, gdy odezwał się pager Martina i kolega musiał pobiec do telefonu. Gdy zostali sami, Jonathan położył Fionie rękę na ramieniu.

- Rozmawiałem wczoraj z Danielem. Wreszcie zebrałem się na odwagę. Laura dała mi jego telefon.

- To miło. Co tam u niego? - Przyjazny gest Jona rozniecił

jej i tak już wzburzone uczucia. Wzięła się w garść, by sprawić wrażenie opanowanej.

- Sądząc po głosie, ma się znakomicie. Na początku rozmowa była trochę sztywna, ale potem nie mogliśmy skończyć.

Zbankrutuję przez ten telefon.

- Musiał się ucieszyć, że zadzwoniłeś.

- Chyba tak. Zaprosił mnie do siebie na weekend za dwa tygodnie.

- Pojedziesz? - spytała z udawaną obojętnością.

- No pewnie. Prawdę mówiąc - odchrząknął - Daniel uważa, że tamtejszy oddział ginekologiczny mógłby być zainteresowany moimi odczytami i pokazami. Obiecał, że porozmawia o tym z kim trzeba.

- Chyba przyjemnie jest być sławnym - zauważyła chłodno. Widząc, że zmarszczył brwi, dodała z przeproszającym uśmiechem: - Wybacz, muszę już lecieć. Martin mnie potrzebuje.

Poczekalnia w przychodni była pełna pacjentek, więc zanościło się na pracowite popołudnie.

- Dzwonili z izby przyjęć, Fiono - oznajmił Martin. - Shirley Cook z powrotem do nas zawitała.

- Pamiętam. Groźba przedwczesnego porodu, w zeszłym tygodniu. Wypisaliśmy ją w czwartek.

- Jej lekarz znów ją do nas przysłał. Mogłabyś do niej zajrzeć? Może tym razem będzie po wszystkim. W razie czego, wezwij mnie albo Jona.

- Dobrze. - Włożyła żakiet i zawiesiła stetoskop na szyi.

- No to na razie. - Przy drzwiach odwróciła się do niego z uśmiechem. - W tym tygodniu nie robię usg, więc lepiej sprawdź, czy jest tam dobra obsługa.

- Nie omieszkam - odparł pogodnie.

Gdy zobaczyła Shirley Cook, wiedziała, że tym razem, jak ujął to Martin, „będzie po wszystkim”. Wody płodowe odeszły, a skurcze, choć bezbolesne, były bardzo silne i powtarzały się regularnie co kwadrans. Fiona przystąpiła do zadawania rutynowych pytań. Wprawdzie spodziewała się tych samych odpowiedzi co w ubiegłym tygodniu, ale z doświadczenia wiedziała, że w tych sprawach nigdy za dużo skrupulatności.

- Poronienie albo aborcja?
  - Nie.
  - Nieprawidłowe wyniki cytologii?
  - Nie.
  - Cukrzyca, bóle w klatce piersiowej, kłopoty z nerkami?
  - Nie.
  - Wydarzyło się coś w ciągu weekendu?
  - Nie, wszystko w porządku. - Shirley westchnęła. - Może tylko to, że mąż uparł się, żebym leżała w łóżku, więc miałam mnóstwo czasu na zamartwianie się. - Wargi jej zdrząły.
  - Ale chyba miał rację. Jak wstałam dziś rano, to znów się zaczęło.
  - Co? Skurcze?
  - Przede wszystkim ten straszny ból w plecach. Przy skurczach nie do wytrzymania.
  - O której to było?
  - Koło ósmej. Zaraz po tym, jak Stephen wyszedł do pracy. Na początku się tym nie przejęłam, bo przerwy były długie, ale potem wody mi odeszły i... - Rozpląkała się.
  - Ktoś go zawiadomił, że tu jesteś? - Wręczyła Shirley papierową chusteczkę.
- Weszła położna, żeby zmierzyć pacjentce puls i ciśnienie. Potakująco skinęła głową.
- Już tu jedzie.
  - Świetnie. No to teraz cię zbadamy - wyjaśniła łagodnie

Fiona - a potem obejrzy cię nasz konsultant. Nie martw się, Shirley. Będziesz w dobrych rękach.

Po półgodzinie Fiona skontaktowała się z Jonem.

- Nie mamy jeszcze wyników badania krwi, ale brak widocznych oznak zakażenia. Pacjentka nadal przyjmuje antybiotyki, które zapisaliśmy jej przy zwolnieniu. Nie ma brzusznej tkliwości uciskowej, za to ewidentna pobudliwość maciczna.

- A pozycja dziecka?

- W porządku. Martwi mnie raczej jego waga.

- Płyn owodni?

- Pewnie resztki. Wody odeszły parę godzin temu.

- Zrób jej usg - polecił - i zaraz do mnie zadzwoń. Ja tymczasem skontaktuję się z pediatrią.

Liza Huntly ucieszyła się, że może być pomocna. Niestety, widok na ekranie potwierdził obawy Fiony - dziecko było małutkie. Od ostatniego badania, dwa tygodnie wcześniej, prawie wcale nie urosło.

- Oczywiście zawsze jest pewien margines błędu - rzekła Liza - ale mimo to dziwi mnie brak widocznych zmian.

Jon wszedł w towarzystwie męża Shirley.

- Najwyraźniej - zaczął Jonathan - dziecko ma ochotę przyjść na świat wcześniej, niż planowaliśmy. Myślę, że to nawet lepiej. Już więcej pewnie nie urośnie. Nie sądzę, żeby dalsze opóźnianie porodu było wskazane. W końcu to trzydziesty czwarty tydzień. Nie ryzykujemy zbyt wiele.

Shirley posadzono z powrotem na wózku.

- Nawet jeśli dziecku potrzebna będzie specjalna opieka, to tylko przez krótki czas. - Odwrócił się do Fiony. - Pójdę teraz z państwem na oddział noworodków. Chcesz iść ze mną?

Skinęła głową, a Jon sam zaczął pchać wózek z pacjentką. Widok maleństw walczących o przetrwanie na oddziale intensywnej opieki bywał wstrząsem dla przyszłych rodziców, ale

zarazem oswajał ich z ewentualnością, że i ich dziecku może być potrzebna taka pomoc.

Lekarze byli serdeczni i budzili zaufanie. Fiona przeczuwała, że trafią na dyżur Doreen Roberts. Ta nie kryła radości na widok Jonathana i uważnie wysłuchała historii Shirley.

- Około dwóch kilo. - Kiwając głową, Doreen uśmiechnęła się do pacjentki. - Pewnie wcale nie będziemy potrzebni. No, może krótka obserwacja, dosłownie kilka dni. - Zwróciła się do Fiony. - Czy mogłabyś pokazać państwu oddział? Chcę zamienić parę słów z doktorem Fletcherem.

Fiona oddaliła się z Shirley i jej mężem. Zatrzymali się przy matce, której dziecko urodziło się w trzydziestym trzecim tygodniu, ważąc niecałe dwa kilo. Kobieta jak mogła dodawała Shirley otuchy.

- Naprawdę nie ma się czym martwić - przekonywała. - Chociaż wiem, jak to jest, bo sama też byłam przerażona. Ale teraz Kąty ma się doskonale. Jesteśmy tu dopiero dwa dni, a już wyjmują ją z inkubatora na karmienie.

Fiona spojrzała za siebie. Doreen i Jon prowadzili ożywioną rozmowę, uśmiechając się do siebie. Z ulgą odwróciła głowę.

Zbadawszy Shirley, Jonathan podtrzymał opinię, że nie należy opóźniać porodu.

- Prawdę mówiąc, wręcz bym go przyspieszył. Zrobimy wlew oksytocyny. Będę w kontakcie z Doreen. Sam chciałbym przyjąć ten poród. - Zwrócił się do położnej. - Będziemy monitorować płód i na wszelki wypadek mieć w pogotowiu elektrodę na ciemię. - Przeniósł uwagę na Fionę. - Jeśli chcesz, możesz oczywiście zostać, tyle że Martin pewnie cię potrzebuje w przychodni.

- Wracam do niego - oznajmiła szorstko. - Tam przynajmniej się na coś przydam.

Poszedł za nią parę kroków i w końcu dotknął jej ramienia.

- Naprawdę przepraszam za ten lunch. Nie wiedziałem, że tak wyjdzie.

- Czyżby? - Spojrzała na niego ostro.

- Oczywiście, że nie. Myślisz, że zrobiłem to celowo?

- Nie wiem, co myśleć - powiedziała chłodno - ale na razie chcę zająć się pracą. Do zobaczenia później.

Tak się jednak złożyło, że później już się nie zobaczyli.

Zatrzymały ją obowiązki w przychodni, a potem musiała jeszcze poświęcić godzinę państwu Sinclair, którym wciąż trudno było uwierzyć w tragiczną diagnozę. Wychodząc wreszcie do domu, czuła się wykończona. Po drodze kupiła kotleciki z soi; nie miała siły ani ochoty sama przygotowywać kolacji.

Dotarłszy do domu, natychmiast wyszła ze spragnioną spaceru Belle. Wrócili w samą porę, tuż przed rześistą ulewą. Fiona zapaliła sztuczny kominek, dała psu jeść i odgrzała sobie kotleciki, które nie miały porywającego smaku. Przygnębienie nie mijało. Na dworze hulał wiatr, krople deszczu ponuro bębniły o szyby. Nie chciała zaprzętać sobie głowy Jonathanem, skupiła więc myśli na remoncie. Nie ulega wątpliwości, że dom jest w fatalnym stanie. Łuszczący się sufit, spaczone okiennice, wyliniały dywan. No i te tapety - obskurne, odchodzące od ścian, w jakiś koszmarny wzorek.

- Ten dom wygląda jak śmietnik - powiedziała do Belle.

- Nic dziwnego, że tak tanio go kupiłam.

Poczuła, że musi coś zrobić, bo inaczej wpadnie w depresję. Rozzłoszczona, odsunęła od siebie talerz z nie dojedzonym kotletem, podeszła do najbliższej ściany i pociągnęła za dyndający róg tapety. Ku jej zdziwieniu papier poddał się bez oporu, niczym prującą się z trzaskiem szew. Złapała więc za oba końce i teraz pociągnęła mocno. Cały pas odkleił się od ściany i spadł niemal prosto na nią, wraz z sypiącym się z sufitu tynkiem.



- Co ty na to, Belle? - zwróciła się do suki, mrugając powiekami i krztusząc się od pyłu.

Ale Belle była zajęta marzeniami o kotleciku, którym wzgardziła jej pani. Nagle Fiona głośno się roześmiała - radośnie i beztrudnie. Nie mogłaby sobie wymyślić lepszego zajęcia. Być może te porządki staną się z czasem jej hobby, a w każdym razie na pewno podniosą wartość domu.

Z zapalem przystąpiła do pracy, od czasu do czasu pomagając sobie nożem. Kończyła już drugą ścianę, gdy Belle zaszczeakała i rozległo się pukanie do drzwi.

W progu stał Jonathan. Chociaż Fiona przyjęła godną postawę, wybuchnęła gromkim śmiechem.

- Aleś się zestarzała! - zażartował. - Jesteś całkiem siwa.

- To ten przeklęty tynk. - Wykrzywiła twarz i ostrożnie dotykając włosów, cofnęła się do środka. - Proszę, wejdz, bo jak zmoknę, nigdy się tego nie pozbędę.

- Nie chciałbym ci przeszkadzać - powiedział, znalazłszy się w pokoju. - Najwyraźniej świetnie się bawisz. No ale nie mogłem pozwolić, żebyś dalej myślała tak, jak wydawało mi się, że myślisz.

- To znaczy? - Wróciła do zrywania tapet. Teraz w jej ruchach było coś obsesyjnego.

- Że specjalnie zostawiłem cię z Martinem, że celowo sprowokowałem sytuację, której mogłabyś sobie nie życzyć. - Gdy milczała, dorzucił od niechcienia: - Ale wiesz, to prawda.

- Co?

- Że jest dobrym kandydatem na ojca.

- Och, dajże spokój, Jon - zachnęła się. - Martin jest kolegą z pracy - powiedziała spokojnie. - Owszem, liczył kiedyś na coś więcej, ale od dawna wie, że nic z tego nie będzie.

- Odniosłem inne wrażenie.

Przygryzła wargi, żeby powstrzymać uśmiech.

- On się po prostu lubi wygłupiać i czasem ponosi go fantazja. Ale teraz naprawdę się zakochał, i to wcale nie we mnie. I rzeczywiście będzie dobrym ojcem.

- A inni?

- Jacy inni? - Odwróciła się do niego zirytowana.

- Inni kandydaci. Na pewno znalazłoby się paru. Opowiedz mi o nich.

- Słuchaj - powiedziała ostro - to naprawdę nie twoja sprawa. Sama umiem sobie wybrać mężczyznę. Pamiętaj, że nie jestem już dzieckiem.

- Zauważyłem.

Wypowiedział to słowo półgłosem, ale dobrze zrozumiała zawarty w nim podtekst, dopełniony wymownym uśmiechem. Poczula, że się rumieni, i pragnąc ukryć swą reakcję, zaczęła zawzięcie zeszkrobywać z trzeciej ściany wyjątkowo mocno przylegające pozostałości. Jon rozejrzał się po pokoju.

- Strasznie tu nabałaganiłeś - stwierdził.

- Zamiast krytykować, lepiej byś pomógł - odparowała, zaciekle zmagając się z resztkami zniechęconego papieru.

- Czemu nie... - Podeszedł do ostatniej ściany i bez kłopotu odkleił dolny róg tapety. - Wierzysz mi, prawda? Mam na myśli lunch.

- Powiedzmy, że wierzę.

- Czy kiedykolwiek byłem z tobą nieszczerzy, Pen?

Oderwała się od pracy i uważnie mu się przyjrzała.

- Kiedyś na pewno nie - przyznała - ale nie wiem, jak jest teraz. Ostatnio niewiele mi mówisz. - Wskazała ręką ścianę.

- Bierz się do roboty, jeśli chcesz zastrzyczyć na filiżankę kawy.

Pół godziny później na ścianach nie było już śladu tapet.

Popatrzywszy na siebie, Fiona i Jon wybuchnęły serdecznym śmiechem. Teraz oboje wyglądali jak członkowie brygady budowlanej po pracowicie spędzonym dniu.

- Ale pobożowisko - westchnęła. -Przyniosę jakieś torby na śmieci, a ty łap za odkurzacz. Nie ma sensu się myć, dopóki nie posprzątamy.

Sprzątanie trwało prawie godzinę, lecz nie przyniosło imponujących efektów. Zrezygnowana, Fiona potrząsnęła głową.

- Nie ma co, idę wziąć prysznic. Te grudki we włosach doprowadzają mnie do szału. Jak będziesz chciał, możesz potem zrobić to samo.

Gdy wróciła do salonu - w szlafroku i turbanie z ręcznika na głowie - Jonathan wciąż jeszcze się krzątał. Start kurze z półtek i książek, a teraz szczotkował Belle. Z kuchni dolatywał smakowity zapach kawy.

- Prysznic do twojej dyspozycji - rzuciła zapraszająco. - Mogę wrzucić do pralki twoje dzinsy i koszulę. Wyschną w ciągu godziny.

- Nie rób sobie kłopotu, to drobiazg.

- Żaden kłopot - zapewniła. - Poza tym myślę, że powinnam zadośćuczynić za to, że podałam w wątpliwość twoją szczerość.

- To prawda - przytaknęła skwapliwie. - No dobra, wypierz te rzeczy, a ja pójde się umyć. Pod prysznicem obmyślę resztę twojej pokuty.

Gdy została sama, uklękła przy kominku i zaczęła grubym grzebieniem rozczesywać włosy. Nie szło jej to łatwo, ale i tak była w świetnym nastroju. Czuła się przyjemnie rozluźniona, tak jak wtedy, przed laty, po tej ich samotnej przejażdżce w góry. Wiedziała, że brak czujności może być dla niej niebezpieczny, ale jakoś nie miała ochoty zwalczać w sobie tego stanu.

Po paru minutach Jon zjawił się w salonie z ręcznikiem owiniętym wokół bioder. Nie po raz pierwszy widziała go rozebranego, bo dawno temu często razem pływali. Pamiętała, jakie wrażenie zrobiło wtedy na niej jego smukłe, wysportowane ciało. Po raz pierwszy natomiast widziała go bez kucyka. Roz-

puszczone, sięgające do ramion włosy wydały jej się bardzo ładne. Wyglądał młodziej i tak jakoś inaczej niż dawniej. Ale wcale nie czyniło go to obcym - był taki bliski, jakby nic się nigdy nie zmieniło. Czują, że tu jest jego miejsce, w tym domu, obok niej. Bez niego, pomyślała, będąc wiecznie czuła niedosyt. Głód serca, głód ciała.

Stał nieruchomo, przyglądając jej się z zachwytem.

- Wyglądasz jak syrena - powiedział cicho.

Zastygła w bezruchu, kaskada włosów spływała jej na ramiona. Gdy zbliżył się i przystanął przy niej, poczuła, jak coś w niej zadrżało.

- Chcesz... tej kawy? - wyjąkała splotzona.

- Za chwilę.

Przyklękła przy niej i ujął w dłoń płomienny kosmyk jej włosów, które miękko przesypały się przez palce.

- Boże, jakaś ty piękna - szepnął.

Drgnęła, jakby chciała się odsunąć. Ruch ten sprawił, że szlafrok rozchylił się nieco. Sięgnęła ręką, żeby go poprawić, ale Jonathan powstrzymał ją. Ręka opadła jej i Fiona poddała mu się bez słowa, gdy obnażył również jej ramię. Nachyliwszy się, muskał wargami jej szyję, a następnie ześliznął się niżej. Potem spojrział Fionie prosto w oczy, pytająco, z nadzieją, i wyczytawszy w nich odpowiedź, której szukał, rozwiązał jej pasek od szlafrocka i przyciągnął ku sobie nagie, drżące ciało.

Delikatnie, niespiesznie rozniecali w sobie namiętność, porozumiewając się tylko za pomocą dotyku. Każde pragnęło dać radość drugiemu. Zrazu nieśmiali i niepewni w swych gestach, jakby dopiero się siebie uczyli, szybko się jednak rozpoznali, na nowo odkrywając łączące ich niegdyś więzi przyjaźni i zaufania. Bezpieczni, znów sobie bliscy, dali się porwać fali pożądania - lecz w kluczowym momencie Jon, jakby czymś zaskoczony, zawahał się.

Fiona wiedziała dlaczego. Otaczając go nogami, otworzyła się przed nim i przyjęła go w siebie, i zespoleni ruszyli w podróż. W chwili, gdy zdawało się, że dotarli na szczyt, że pragnienie i przyjemność nie mogą już być większe, doznała ekstazy. Wydała krótki okrzyk błogości i usłyszała, jak Jon jej zawtórował. Była szczęśliwa, że podziela jej rozkosz.

Długo, bardzo długo leżeli w ciepłym kominku, przytuleni, zamyśleni, milcząco. Wreszcie Jonathan przerwał ciszę.

- To był... twój pierwszy raz, Pen?

Niechętnie przytaknęła, wyraźnie zakłopotana.

- A niech to. - Oparł się plecami o ścianę i nakrył swoim rękawnikiem. - Tak mi się zdawało, ale nie mogłem w to uwierzyć. Coś tak wyjątkowego, Pen... Powinnaś była przeżyć to z kim innym.

- Nikogo lepszego nie mogłabym sobie wymarzyć. - Ona również usiadła i włożyła szlafrok. - Błagam, nie psuj wszystkiego i za nic mnie nie przepraszaj. Nie sądziłam, że będzie mi dane doświadczyć czegoś równie pięknego.

- Ani ja - powiedział powoli. - Ale to niczego nie może zmienić, Pen.

Nie odezwała się. Jeśli o nią chodzi, zmieniało to bardzo wiele - ją, cały świat, wszystko.

- Nie chcę przez to powiedzieć, że robię to przy byle okazji. Prawdę mówiąc, wręcz przeciwnie, i pewnie dlatego do tego doszło. Od czasu rozstania z Clare nie byłem z żadną kobietą. Kiedy zobaczyłem cię tutaj przy kominku, z tymi rozpuszczonymi włosami, tak nieziemsko piękną... - Zamilkł na chwilę i wziął ją za rękę. - Znam cię i kocham od lat, od czasów, gdy byłaś jeszcze dzieckiem. To było ważne i głębokie uczucie, ale w zasadzie platoniczne. Chociaż... ostatnio zacząłem się zastanawiać, czy z twojej strony nie było czegoś więcej.

Nieśmiało podniosła na niego oczy. Czy mogła zaprzeczyć

czemuś, co przed chwilą wykrzyczało jej ciało? Skinęła głową i Jon mocniej ścisnął jej dłoń.

- Tak też myślałem. I to dlatego jesteś na mnie taka wściekła? Okropnie mi przykro, Pen, naprawdę.
- Ale czemu? - zdziwiła się szeptem.
- Bo niczego nie mogę ci ofiarować. Wiem, jaka powinna być i jaka będzie twoja przyszłość. Nie ma w niej miejsca dla mnie.
- Czy ja nie mam tu nic do powiedzenia?
- Obawiam się, że nie.
- A cóż takiego jest w mojej przyszłości, że czujesz się z niej wykluczony? - Starła się panować nad bólem, jaki wywołały w niej jego słowa, ale głos jej się załamywał.
- Dom. Rodzina. Mnóstwo dzieci i mnóstwo miłości... - Szklanym wzrokiem zapatrzył się przed siebie.
- Chcesz powiedzieć, że ty tego nie chcesz? - spytała łagodnie.

Odwrocił ku niej twarz, na której malował się ból.

- Ależ owszem, z całego serca - przyznał urywanym głosem. - Zawsze tak było. Może pragnę tego nawet bardziej niż ty. Wiesz, jak wyglądało moje dzieciństwo. Jediną prawdziwą rodziną byliście dla mnie wy, Donaldsonowie. Ale nie chciałem na tym poprzestawać, chciałem stworzyć własną rodzinę. Coś trwałego, co wymazałoby wspomnienia dzieciństwa i nadało sens mojemu życiu.

Postanowiła przeczekać jego milczenie. Po raz pierwszy od długiego czasu mówił o sobie tak otwarcie i dotykał spraw, o których niewiele wiedziała.

- Z początku zdawało się, że wszystko idzie dobrze - ciągnął, nie patrząc na nią. - Poznałem Clare. Szukała w życiu tego samego co ja. Męża, domu, dzieci. No wiesz, jeden plus jeden daje cztery. - Roześmiał się gorzko. - Tyle że moja cyfra w tym równaniu okazała się niepełnowartościowa.

Teraz spojrzął jej prosto w oczy, smutno i bezradnie.

- Nie mogę być ojcem, Pen. To rezultat świnki przebytej w dzieciństwie, o wyjątkowo paskudnym przebiegu. Jak wiele innych rzeczy, to też wymazałem z pamięci. Ale wyniki badań mówią same za siebie. Szanse są praktycznie żadne. No, może jedna na milion.

- Ta dziedzina wciąż się rozwija - powiedziała ostrożnie.

- Niektórzy uczeni dokonują cudów i...

- Myślisz, że nie próbowałem wszystkiego? - obruszył się.

- Czy wiesz, jaka to udręka, zarówno fizyczna, jak i emocjonalna?

- Nie dał jej czasu na odpowiedź. - To cholernie ciężka próba.

Większość par nie jest w stanie jej prostać. Stres jest wprost niewyobrażalny. Clare nienawidziła tego wszystkiego. Nie znosiła bólu, ciągłych wizyt u specjalisty, efektów działania leków. No bo przecież to nie była jej wina... Oczywiście rozważaliśmy też adopcję, ale się nie zdecydowaliśmy. W końcu Clare odmówiła dalszej współpracy z lekarzem. Zaczęliśmy się od siebie oddalać, a potem... - Zmusił się do uśmiechu. - Potem okazało się, że Clare jest w ciąży. Nie muszę ci mówić, że byłem w siódmym niebie. Udało się, pomyślałem, trafiliśmy tę jedną szansę na milion.

Napięcie było tak ogromne, że nie wytrzymała.

- No więc co się stało?

- Clare oznajmiła mi, że to nie moje dziecko.

- O Boże! - W jej głosie była rozpacz i współczucie. Potrafiła sobie wyobrazić, jak okropnie musiało go to zranić.

- Odeszła ode mnie - ciągnął z pozoru beznamiętnie. -

W dniu, w którym uzyskaliśmy rozwód, wyszła za tego mężczyznę, dziecko urodziło się tydzień później. Wyjechałem do Walii i od tamtej pory nie miałem z nią żadnego kontaktu.

- Więc to dlatego nie chciałeś się zająć programem sztucznego zapłodnienia, mimo że Filip tak cię namawiał. Zbyt wiele wspomnień?

- Owszem - przyznał. - Gdy mieliśmy problemy, bardzo się w to zaangażowałem, bo chciałem znaleźć rozwiązanie. Uzbroiłem się w wiedzę i badałem najróżniejsze możliwości. Kiedy wszystko zawiodło, entuzjazm mnie opuścił. Zresztą, nie tylko entuzjazm. - Delikatnie pocałował ją w czoło. - Nie chcę stracić tego, co nas łączy, Pen, ale nie zamierzam marnować ci życia.

- Przecież ludzie są z sobą nie tylko po to, żeby mieć dzieci - zauważyła cicho. - Kochanie kogoś, dawanie, dzielenie z kimś życia jest równie ważne.

- Jest ważne, ale nie wystarcza - odparł powoli. - Wierz mi, ja to wiem.

- Nie jestem taka jak ona - powiedziała. - Nie wolno ci brać mnie za Clare. - Uśmiechnęła się do niego w zadumie. - Zresztą kto wie, może już jestem w ciąży.

- Marne szanse - odrzekł z ponurym uśmiechem. - Ściśle biorąc, jedna na milion. Jestem pewien, że nie masz się czym martwić. - Podniósł się. - Doskonale wiem, czego pragniesz. Tyle razy obserwowałem cię w szpitalu! Przecież widzę, jak reagujesz na dzieci. Pewnego dnia popatrzyłabyś na mnie z niemym wyrzutem w oczach, tak samo jak Clare. - Głos odmawiał mu posłuszeństwa. - Drugi raz bym tego nie wytrzymał.

Ubrał się szybko, nie patrząc na nią.

- Ale może ja w ogóle za dużo sobie wyobrażam - dodał zniechęcony. - Może tobie chodziło tylko o to. - Lekceważąco machnął ręką, wskazując miejsce przy kominku, na którym się kochali.

Nagle ogarnęła ją złość. Jakim prawem insynuuje jej coś podobnego? Jakim prawem odbiera całą wartość temu, co tak niedawno razem przeżyli? Jakim prawem decyduje za nią, odbierając jej możliwość wyboru?

- Może i tak - odrzekła chłodno i z pozoru obojętnie. To,



to odrzucił ją przed laty, mogła sobie ubzdurać, ale nie wymyśliła sobie przecież tego, co działo się w tej chwili, na jej oczach. Było to tym bardziej bolesne, że po raz pierwszy w życiu oddała się komuś bez reszty, duszą i ciałem. Było to wprost nie do zniesienia.

Jon również wyglądał na rozszoszczonego.

- Bardzo mi przykro, ale nie będę ci już świadczył takich usług - odrzekł cierpko. - Dla mnie coś takiego znaczy nieco więcej.

- Ale że dla mnie znaczy wiele, w to nie możesz uwierzyć?  
- spytała podniesionym głosem.

- Sam już nie wiem, w co wierzę. Mogę tylko powiedzieć, że nic by z tego nie wyszło. - Popatrzył jej w twarz, udając, że nie widzi łez, których nie mogła już powstrzymać. - Mam tu pewne zobowiązania, ale zrobię, co się da, żeby skrócić swój pobyt. Im bardziej się w to zapłaczymy, tym trudniej będzie nam obojgu. Proszę cię, spróbuj zrozumieć. I spróbuj mi wybaczyć.

Kiedy wyszedł, na dobre wybuchnęła płaczem i płakała długo, do późna. Uznała, że nie chce go zrozumieć i że nigdy mu nie wybaczy. Tyle jej ofiarował. Było jasne, że on także ją kocha, ale teraz odebrał jej to wszystko, a nawet jeszcze więcej. Uważał, że daje jej przyszłość, która będzie dla niej najlepsza, a tymczasem pozbawił ją nadziei na jedyne, czego pragnęła - na ich wspólne życie, ich dzieci. Poczula się wewnętrznie wypalona.

W końcu, zmęczona, położyła się do łóżka. Rozhuśtane emocje zlały się z sobą, tworząc przykrą mieszankę rozpacz i złości. Desperacko uczepliła się złości. Lepiej jest kipieć złością i żyć, niż utonąć w otchłani rozpacz.

---

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

---

Wiedziała, że ją zauważył. Mimo że stała w drugim końcu korytarza, czuła na sobie jego spojrzenie. Ale gdy odwróciła głowę od okna, ujrzała tylko jego oddalającą się sylwetkę. Celowo mnie unika, pomyślała.

Pogoda, na szczęście, odzwierciedlała jej stan ducha - nadal padał deszcz. Fiona była też zadowolona, że ma dyżur na ginekologii, a nie na porodówce. Podniecenie i radość, jakie zawsze towarzyszą narodzinom dziecka, dzisiaj pewnie by ją drażniły.

Od lat zakładała, że doświadczenie pacjentek będzie kiedyś i jej udziałem. Cieszyła się, że może uczestniczyć w tak intymnych przeżyciach różnych par, którym okazywała pomoc i zrozumienie. Ze wzruszeniem obserwowała ludzką miłość i wsparcie, a także szacunek i zachwyt nad nowym życiem.

Jak silna jest jej potrzeba posiadania dziecka, uzmysłowiła sobie dopiero teraz, gdy zaspokojenie jej stanęło pod znakiem zapytania. Albo nie będzie miała dziecka, albo będzie je miała, ale nie z Jonathanem. Tego drugiego wariantu nie umiała sobie na razie wyobrazić, bo na razie nie chciała innego mężczyzny. Uświadomiła sobie, że wciąż ma wybór i może podjąć decyzję, tyle tylko że nie taką, o jakiej zawsze marzyła. Była wściekła na los, że splotał jej podobnego figla.

Pierwsza pacjentka, z którą miała się zetknąć, również była jak na zamówienie. Do szpitala została przywieziona pani Pritchardj którą potworny ból brzucha powalił w sklepie na pod-

toę. Na chirurgii ogólnej, skąd zadzwoniono do Fiony, już ją dobrze znali.

- Spodoba ci się - zapewnił Fionę chirurg, śmiejąc się serdecznie. - Samo przejrzenie jej karty zabierze ci około tygodnia. Mamy całą jej historię z okresu ostatnich dziesięciu lat. Robiliśmy wszystkie możliwe badania, ale nigdy nie udało nam się wyleczyć jej na długo, no i teraz znów coś jej dolega. Tym razem skarży się na nieregularne i bolesne miesiączki, więc pomyśleliśmy, że może tobie się powie.

- Myślę, że to raczej interesujący przypadek dla psychiatrów? - zasugerowała nieśmiało.

- Tego też już próbowaliśmy - zachichotał chirurg. - Problem w tym, że ona nie wszystko sobie wymyśla, bo... - Rozległ się dźwięk pagera. - Przepraszam cię, muszę lecieć. Baw się dobrze.

Fiona straciła wszelką nadzieję, gdy stanęła z pacjentką twarzą w twarz.

- Chcę, żeby zrobiono mi histerektomię - rzuciła bez wstępow. - To absolutnie konieczne.

- Histerektomia to poważna operacja - odrzekła Fiona. - Nawet gdy są wskazania, rozważamy wszystkie aspekty. Tak jak przy każdej ingerencji chirurgicznej, istnieje ryzyko komplikacji. Niektóre z nich mogą być śmiertelne.

- Nic mnie to nie obchodzi! - wykrzyknęła pani Pritchard. - Jestem przekonana, że jedynie to może mnie wyleczyć. - Jęcząc teatralnie, wbiła paznokcie w prześcieradło i zaczęła wierać się na łóżku.

Fiona wyjrzała za zastonkę i przywołała wzrokiem pielęgniarkę.

- Mogę cię na chwilę prosić, Luizo?

„Chwila” znacznie się przedłużyła, ale pielęgniarka i tak zrejterowała na długo przed Fioną, która łudziła się, że wezwą

ją pagerem do kogoś naprawdę chorego. Jednak jak na złość nic takiego nie nastąpiło.

W końcu dała za wygraną i jakoś się wymówiła. Skołowana, jak automat podążyła do kuchni na porodówce, żeby wypić kawę. Zorientowawszy się, gdzie jest, zawahała się - nie chciała znaleźć się sam na sam z Jonathanem. Niezdecydowana stała w korytarzu, gdy z tyłu zaszedł ją Martin i zapraszająco otworzył przed nią drzwi. Ze złością zobaczyła, że Jon faktycznie jest w kuchni. Stał przy oknie, z kubkiem kawy w dłoniach. Gdy weszła, ich oczy natychmiast się spotkały, ale Martin nie zwrócił uwagi na rysujące się na ich twarzach napięcie.

- Dzień dopiero się zaczął, a mieliśmy już trzy porody - zawołał wesoło. - Zasuwamy na pełnych obrotach, co? - Spojrzał na Fionę. - A jak tam na górze?

- Z przygodami. - Z wysiłkiem przeniosła wzrok z Jona na Martina. - Miałam pacjentkę, która domaga się histerektomii. Najchętniej jeszcze przed lunchem.

- Jakoś ją upchniemy - odrzekł Martin z uśmiechem. - No nie, Jon?

Jonathan wciąż wpatrywał się w Fionę, ale jego głos zabrzmiał spokojnie.

- Są wskazania?

- Moim zdaniem, żadnych - odparła, kierując odpowiedź do Martina. - Chyba że ma to być zwieńczeniem jej burzliwej kariery jako pacjentki.

- Coraz lepiej. - Martin nasypał kawy do dwóch kubków. - Niech no zgadnę. Około pięćdziesiątki, niezamężna, mieszka sama, pewnie cierpiała na depresję, ciągle się na coś uskarża, chociaż właściwie nic jej nie dolega...

Mimo napięcia Fiona nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

- Widzę, że już ją poznałeś!

- Nie, i nie mam zamiaru. Odeślij ją z powrotem do lekarza domowego.

- Ona nie ma lekarza domowego. W ciągu pięciu lat pięć razy zmieniała lekarza. Żaden jej nie odpowiada.

- No to oddaj ją komuś z chirurgii ogólnej albo niech porozmawia z psychiatrą. - Jonathan przeciągnął się i zrobił krok do przodu.

- Na chirurgii już była, z psychiatrą już rozmawiała. - Bliższość Jona wywołała w niej niepokój.

- W takim razie odeślij ją do domu.

- A jeśli naprawdę coś jej jest i wszyscy to przeoczyliśmy? Może tym razem to nie urojenia.

- Co podpowiada ci twoja zawodowa intuicja?

- Chyba nic jej nie jest - odparła.

- Jeśli o mnie chodzi, ufam twojej intuicji - szepnęła i zaraz dodała, już głośno: - Ale jeśli chcesz, mogę ją później obejrzeć.

Albo może ty to zrobisz, Martinie?

Z tymi słowami Jon odszedł na bok, by umyć kubek. Boże, całkiem zapomniałam, że nie jesteście sami, pomyślała.

- Czemu nie, mogę ją zbadać. - W głosie Martina słychać było zakłopotanie, tak jakby i on wyczuł, że coś dziwnego wisi w powietrzu. - Jeśli będę się czuł na siłach.

Wypiwszy kawę, Fiona wróciła na oddział. Przechodząc obok pokoju Doris Sinclair, zobaczyła przez uchylone drzwi, że pacjentka siedzi na łóżku z twarzą ukrytą w dłoniach, wstrząsana niepohamowanym szlochem. Wprawdzie przypadek Doris należał już teraz do onkologów, ale widząc ją w takim stanie, Fiona zwolniła kroku.

Przystanęła i zacisnęła powieki, świadoma ogromu cierpienia, z jakim ma tu do czynienia. Kazało jej to z większą pokorą i spokojem spojrzeć na własne nieszczęście. Zawróciła i weszła

do pani Sinclair, cicho zamykając za sobą drzwi. Przez jakiś czas siedziała po prostu na brzegu łóżka, tuląc do siebie tę załężnioną jak dziecko kobietę.

- Zrezygnowałam z dalszego leczenia - wyszeptwała wreszcie Doris, wycierając nos w podaną jej przez Fionę chusteczkę.
- Dzisiaj rano powiedzieli mi, że może nie przynieść efektów, a za to skutecznie zatruje ten czas, który mi jeszcze pozostał.

Fiona pokiwała głową ze zrozumieniem.

- Najgorsze jest to - ciągnęła z głębokim westchnieniem Doris - że moja córka jest w ciąży, a ja... mogę tego dziecka nigdy nie zobaczyć. To mój pierwszy wnuk...

Oczy Doris znów wypełniły się łzami, więc Fiona szybko wzięła ją za rękę. Przez kilka minut siedzieli w milczeniu, a potem Fiona odezwała się:

- Moja babcia umarła, gdy miałam cztery lata. Ale nigdy nie zapomniałam, co kiedyś mi powiedziała.
- Co? - spytała Doris, sięgając po następną chusteczkę.
- Nie mogłam sobie z czymś poradzić, chyba z przyszyciem guzika, i wtedy ona powiedziała, żebym zrobiła to najlepiej, jak potrafię. Powiedziała, że dopóki wiem, że zrobiłam wszystko, co w mojej mocy, to to wystarczy. I że innym tylko tyle wolno ode mnie oczekiwać. Ale jeżeli wiem, że stać mnie na więcej, to powinienam się jeszcze postarać. Jeszcze dzisiaj, kiedy zmagam się z czymś trudnym, wracają do mnie jej słowa: „Daj z siebie wszystko!”. Zastanawiam się wówczas, czy naprawdę nie stać mnie na więcej. I zwykle kończy się to tak, że dokładam dalszych starań.

Na twarzy Doris pojawił się słaby uśmiech.

- Ma pani chociaż to jedno wspomnienie. Ja nawet tego nie mogę dać moim wnukom...
- A jednak, a jednak - rzekła Fiona w zadumie.

Doris spojrzała na nią z niedowierzaniem i smutno potrząsnęła głową.

- Mogłaby pani dać swoim wnukom dużo więcej, niż moja babcia dała mnie - rzekła Fiona. - Mogłaby pani zrobić album, to znaczy spisać swoje wspomnienia i uzupełnić to wszystko zdjęciami. Umieścić tam jakieś rady, wskazówki, przemyślenia. Pani córka zatrzymałaby go do czasu, aż dziecko podrośnie. To mogłoby być bardzo cenne.

Gdy zamilkła, niepewna, jakie wrażenie zrobił na pacjentce ten pomysł, odezwał się jej pager, toteż musiała szybko się pożegnać. Z ulgą stwierdziła, że Doris jest już mniej roztrzęsiona, jej samej zaś wspomnienie słów babki dodało siły i otuchy.

Przez kilka następnych dni trzymała się blisko Martina i ograniczała do minimum kontakty z Jonem, który, jak się zdawało, próbował zachowywać się podobnie. Jednakże wciąż się na siebie natykali.

Bomba wybuchła w czwartek po południu. Nie wiedzieć czemu, Jonathan uparł się, żeby stać Fionie nad głową, kiedy kończyła przyjmować poród Mary Jennings, który przebiegał szybko i bez komplikacji.

- Przestań przecć, Mary - instruowała ją Fiona - tylko głęboko oddychaj.

- Lepiej zrób nacięcie - poradził Jon. - Inaczej dziewczyna pęknie.

- Nie wolno ci przecć - powtórzyła Fiona, tym razem bardziej stanowczo, ale pacjentka nie była w stanie jej posłuchać.

- Nie dam rady - wysapała.

Fiona sięgnęła po nożyczki - o ułamek sekundy wcześniej, niż zrobił to Jonathan; nagle ich dłonie się spotkały. Gwałtownym ruchem cofnęły ręce i nożyczki upadły na podłogę. Położna Catherine, przez moment zaskoczona, szybko się zreflektowała i podała Fionie następne. Niestety, było już za późno - ich oczom ukazała się główka dziecka i poród wkrótce dobiegł końca. Catherine przemyła noworodkowi nosek i usta, po czym

podągała matce. Fiona wstrzyknęła pacjentce oksytocynę, żeby prędko pozbyć się łożyska, i przyjrzała się brzydkiej ranie w tkance krokowej. Niezadowolona podeszła do umywalki.

- Nie musiało się tak stać - powiedział Jon z wyrzutem, skończywszy myć ręce.
- Nie musiało - przyznała poirytowana.
- Następnym razem wykaż się wyobraźnią i działaj nieco szybciej.
- Mam nadzieję, że następnym razem nikt nie będzie mi przeszkadzał.
- To był przypadek zwykłej nieudolności - stwierdził ze złością, ale na tyle cicho, że jego słowa zagłuszył szum płynącej z kranu wody.
- Raczej przypadek nieuzasadnionej ingerencji - syknęła w odpowiedzi.

Nawzajem zmierzili się wzrokiem. Jonathan cisnął ręcznik do kosza na brudną bieliznę.

- Muszę się przygotować do wykładu. Zostawiam cię, żebyś mogła spokojnie założyć szwy. Bez niczyjej ingerencji.

Wykład odbywał się w piątek. Fiona z opóźnieniem dołączyła do tłumku, który zgromadził się w sali seminaryjnej, i oparła się o framugę drzwi, stając tuż za grupką innych spóźnialskich.

Z tego miejsca świetnie widziała profil Jona, znacznie gorzej natomiast - rzutowane na ekran slajdy. Jej pole widzenia obejmowało też pierwszy rząd krzesel, na których siedzieli zastrzeni pracownicy szpitala. Wśród wielu znakomitości, znanych jej przynajmniej z widzenia, dostrzegła Doreen Roberts, która nie spuszczała oczu z Jona i wyglądała na szalenie zainteresowaną omawianym tematem.

Historia i rozwój endoskopii ginekologicznej są bez wątpienia ciekawe, ale cóż w tym tak fascynującego dla kogoś, kto



specjalizuje się w pediatrii? Fiona gorzko uśmiechnęła się w duchu. Dobrze znała powody tej fascynacji, zresztą zapewne odwzajemnionej... Pani doktor Roberts chce bez przeszkód kontynuować karierę, toteż najprawdopodobniej zrezygnowała z myśli o dzieciach. Dla Jona byłby to idealny układ.

Doreen, jak zauważyła Fiona, ubrana była w dość krótką spódnicę i założyła nogę na nogę w sposób niemal uwodzicielski. Jej twarz przybrała nieodgadniony wyraz, który Fiona zjadliwie odczytała jako wyraz drażniącego zadowolenia z siebie.

Jon szybko prezentował jeden slajd za drugim, omawiając laserowe narzędzia chirurgiczne, po czym skupił się na rozmaitych operacjach, które są obecnie możliwe dzięki technikom laparoskopowym. Fiona słyszała słowa, ale nie docierała do nich sens. Słuchała głosu Jona, obserwowała płynne ruchy jego ciała i rąk.

W roli wykładowcy czuł się pewnie i swobodnie i bez trudu mogła sobie wyobrazić, że zupełnie tak samo zachowuje się przed kilkusetosobową publicznością na międzynarodowych sympozjach. Nic dziwnego, że zrobił taką karierę. I dalej będzie się piął w górę, kiedy powróci za granicę.

Nagle ogarnęła ją złość i nieznośne poczucie bezsilności. Postąpiła gniewne spojrzenie w stronę Doreen - za to, że Jon jej się podoba i że uznała, że jest do zdobycia. Podobnie niechętnym spojrzeniem obrzuciła też Jonathana - za to, że jest taki atrakcyjny i nieosiągalny dla niej samej.

Jakby czując jej wrogość, odwrócił głowę i odszukał ją wzrokiem. Nie zająknął się, ale na czole pojawiła mu się zmarszczka. Fiona poczuła, że się rumieni, i spojrzała na Doreen, która, jak się okazało, uważnie jej się przyglądała - ze zdziwieniem, a nawet z irytacją. Fiona wymknęła się z sali.

Szybkim krokiem kierując się na oddział, wymijała pielęgniarki pchające pacjentów na wózkach, personel kuchenny roz-

wozący obiad do sal, grupki pracowników wracających z bufetu. Ktoś powiedział jej dzień dobry, ale nawet tego nie usłyszała. Czuła się nieswojo, głupio i była na siebie zła za tę impulsywną reakcję.

Natychmiast trzeba z tym skończyć. Muszę zadbać o postępy w pracy i uporządkować życie. Cieszyła się, że weekend upłył nie jej na dyżurze w szpitalu. Nie będzie miała czasu oddawać się niemądrym rozmyślaniom.

Postanowiła zrobić wszystko, by uniknąć kontaktu z Jonathanem, i przez większość sobotniego dyżuru znakomicie jej się to udawało. Pacjentek było sporo, ale żadnych skomplikowanych niespodzianek. Późnym popołudniem była w zupełnie nieźłej formie. Podniosła słuchawkę i spróbowała złapać Martina. Niestety, jego pager nie odpowiadał. Zastanawiając się, co robić, zaczęła bębnić palcami po biurku.

- Potrzebujesz pomocy?

Aż drgnęła, słysząc głos Jonathana.

- Nie, to znaczy... Próbowałam się dodzwonić do Martina.

- Ugrzązł w operacyjnej - poinformował ją spokojnie. -

Właśnie kończy cesarskie.

- Ach tak. No cóż, to nic pilnego - oznajmiła rzeczowo.

- Chciałam z nim coś omówić.

- Może mógłbym go zastąpić? - zaproponował ostrożnie. -

W końcu gramy w tym samym zespole.

- Czyżby? - odrzekła z przekąsem.

Nadal pamiętała o sprzeczce, do której doszło między nimi po porodzie Mary Jennings. Wiedziała, że to Jon miał wtedy rację, i była na siebie wściekła. Ponieważ teraz nie zareagował na zaczepkę, lekko wzruszyła ramionami i postanowiła przejść nad tym do porządku dziennego.

- Chodzi o Janet Redbury - oznajmiła. - Trzydzieści jeden lat, dwudziesty trzeci tydzień ciąży. Zgłosiła się z powodu nie-

znacznego krwawienia i skurczy. Dwa lata temu straciła dziecko, właśnie w dwudziestym trzecim tygodniu, nie bardzo wiadomo z jakich przyczyn.

Jonathan pokiwał głową.

- Szyjka macicy jest wygładzona i rozszerzona - ciągnęła - błony wydęte, ale nienaruszone, brak klinicznych objawów zakażenia.

- Co przewidujesz?

- Jeśli teraz urodzi, prawdopodobnie straci dziecko. - Jonathan znów skinął głową. - Skurcze są słabe i bardzo rzadkie, nie ma wyraźnej utraty krwi. - Im bardziej angażowała się w temat, tym łatwiej przychodziła jej rozmowa z nim. - Może to niewydolność ujścia szyjki. Zastanawiam się nad opierścienieniem.

Martin, nadal ubrany w strój operacyjny, wszedł do pokoju. To, co usłyszał, wyraźnie go zainteresowało.

- Zaszycie szyjki jako środek zaradczy na przedwczesny poród? - zdziwił się i teatralnie uniósł brwi.

- To niewykлучzone - stwierdził Jonathan. - Jeśli Fiona ma rację, ta technika może się tu przydać.

- Nie sądzę, żebym się myliła - powiedziała.

- Ależ ja wcale nie kwestionuję twojej oceny - zapewnił ją pojednawczo - tylko że sytuacja może się dramatycznie zmienić. Weźmiemy tę pacjentkę na dwunastogodzinną obserwację. Jeśli wszystko będzie tak samo, przystąpimy do roboty.

- Który to tydzień? - spytał Martin.

- Dwudziesty trzeci. Gdyby udało się to odwlec chociaż o parę tygodni...

- No, nie wiem. - Martin miał wątpliwości.

- Uważam, że warto spróbować - nie poddawała się. - Tym bardziej, że jedno dziecko już stracili. Powinniśmy zrobić wszystko co w naszej mocy.

- Naturalnie - uspokoił ją Jonathan. - I to właśnie zrobimy.

- Mam nadzieję, że poskutkuje.
  - Pójdę ją teraz zbadać i trochę z nią porozmawiam - oznajmił Jon. - Ale na razie nie możemy jej obiecywać cudów.
  - Załatwić ci coś na górze, Fiono? - zwrócił się do niej Martin. - Jak chcesz, możesz przyjąć następny poród.
  - Dobrze... - odparła z namysłem. - Już wiem. Sprawdź, czy nie można by wypisać tej nieszczęsnej pani Pritchard. Ostatnio nikt się nią nie zajmował, a ona jest bardzo ciekawa wyników swoich badań.
  - Wszyscy się boją nawet do niej podejść - zażartował Martin. - Ale chyba miałaś ją wypisać już wczoraj?
  - Owszem, ale... jakoś mi to wyleciało z głowy - odparła wymijająco.
  - Mam świetny pomysł! - Martin strzelił palcami. - Zatrzymamy ją do przyszłego tygodnia. Przyda ci się, Jonathanie, do tej twojej pokazowej histerektomii!
- Gdy pożegnał się z nimi i wyszedł, wciąż jeszcze się śmiali. Świadomi, że zostali sam na sam, patrzyli na siebie, nie odzywając się jednak ani słowem.
- Fiono, ja... - zaczął Jon z wyrazem bólu w oczach, który był również jej bólem.

Wciągnęła powietrze. Na tematy zawodowe rozmawiało jej się łatwo i przyjemnie, teraz jednak znów poczuła nieznośne napięcie. Najprościej byłoby zapomnieć o wszystkim i rzucić mu się w ramiona. Wiedziała, że chce tego równie mocno jak ona. Najprościej, a jednak tak nieopisanie trudno. Powoli wypuściła powietrze.

- Chodźmy do pani Redbury, dobrze?

Poród, który przyjmowała, włókł się godzinami. Dopiero około północy trafiła do sali operacyjnej, gdzie musiała się zająć przypadkiem poronienia niezupełnego. Kiedy wreszcie skon-

czyła, była wyczerpana. Zwinęła się w kłębek na wygodnym fotelu w pokoju służbowym obok sali. Niemal zasypiała, gdy nagle poczuła, że ktoś dotyka ją ręką w kolano. Otworzywszy oczy, ujrzała Jonathana, który przykucnął tuż przy niej.

- Nic ci nie jest, Pen? - spytał z niepokojem w głosie.

To przezwisko, którego nie używał od wielu dni, a także jego troskliwy ton sprawiły, że wybuchnęła płaczem. Natychmiast ją do siebie przytulił i delikatnie otarł jej łzy.

- Przepraszam, Pen - rzekł cicho. - Zranić cię to ostatnia rzecz, jakiej bym chciał.

- Siebie też ranisz - zachlipała. - Czy naprawdę tego nie rozumiesz?

Skinął głową na znak, że rozumie, a potem powoli się podniósł.

- Ale przynajmniej mogę ci pomóc szybko się z tego otrząsnąć. Pewnego dnia to zrozumiesz. Kiedy będziesz już miała swoją rodzinę, swoje własne dzieci. Wtedy mi podziękujesz.

- Nie licz na to - warknęła i energicznie wstała. -1 przestań traktować mnie jak dziecko. Mam na imię Fiona.

Wyszła bez pożegnania, nienawidząc siebie za to. Chciała zawrócić i błagać go, aby jednak zmienił zdanie - przecież jakoś by sobie poradzili. Ale do dumy i złości dotożyło się zmęczenie i poczuła się tym wszystkim tak przytłoczona, że nie mogła już dłużej o tym myśleć.

W niedzielę po południu Janet Redbury zabrano do sali operacyjnej. Jonathan zajął się nią osobiście, podczas gdy Fiona i Martin wystąpili w roli obserwatorów. Na szczęście, nie było żadnych dodatkowych komplikacji. Niebezpieczeństwo zostało zażegnane i wszystko wskazywało na to, że szanse Janet na urodzenie zdrowego dziecka znacznie wzrosły.

W roli obserwarki Fiona występowała też przez większą część następnego tygodnia, jako że Jonathan rozpoczął wreszcie

sesje pokazowe. Zaprezentowane przez niego techniki były niewątpliwie oryginalne i spektakularne, ale, jak pomyślała, nazbyt odczłowieczone. Większość czynności wykonywały maszyny nadzorowane przez chirurga, który kierował się obrazami na monitorze, więc przypominało to trochę pracę robotów.

W przeciwieństwie do Fiony, Martin był tymi nowinkami wprost zachwycony. Pod koniec jednego z długich pokazów uśmiechnęła się do niego domyślnie.

- Wspaniałe nowe zabawki, co?
- To ty tak to nazywasz. - Oczy mu błyszczały z przejęcia.
- Chciałbym kiedyś sam tego spróbować.
- Odezwali się do ciebie z Edynburga?

- Jeszcze nie. Ale słyszałaś już o Jacku Owensie?

Potrząsnęła głową. Od chwili wyjazdu ich dawnego konsultanta ani razu o nim nie pomyślała.

- On i jego rodzina zakochali się w Walii. Chcieliby zostać tam na stałe.

- Jack dostanie tam posadę?
- Nie w tym szpitalu, w którym jest teraz, ale może gdzieś niedaleko.

- Więc ktoś będzie musiał na stałe zastąpić go tutaj. - Przez sekundę zastanawiała się, co by to było, gdyby Jon na dobre osiedlił się w Christchurch.

Nagle twarz Martina rozjaśnił pełen nadziei uśmiech.

- No właśnie. Jak myślisz, kto zajmie jego miejsce?
- Sądzę, że ty, Martinie, i szczerze ci tego życzę. Doskonale dałbyś sobie radę.

Przecież to jasne, pomyślała, że Jon tu nie zostanie. Ma pozycję, kontakty, znajomości. W imię czego miałby rezygnować z błyskotliwej kariery? Chyba że... pewna pani doktor pediatrii przekona go, że warto zostać. Na myśl o tej możliwości gwałtownie zapragnęła zmienić temat.

- Jak się miewa Liza?  
- Dziękuję, świetnie - odparł ze śmiechem. - Przynajmniej tę posadę dostałem bez problemu. Naprawdę nie mogłoby być lepiej. Wieczorem wypuszczamy się na miasto, żeby sprawdzić, czy szczęście dopisze nam też w kasynie. - Uważnie spojrzął na koleżankę. - Może poszłabyś z nami?

- Jako wasza przywoitka? - Roześmiała się. - Nie, nie, dziękuję.

- Wiesz, znam kogoś, kto byłby w siódmym niebie, gdyby mógł spędzić z tobą trochę czasu. - Na twarzy Martina malowała się obawa, że zostanie zaraz zbesztany za takie niecne sugestie. - Mówię o Tonym Lloydzie z oddziału nagłych wypadków. To mój dobry przyjaciel. Będzie moim drużbą.

Fiona знаła Tony'ego - szczupłego blondyna, mniej więcej jej wzrostu, o dość miłej powierzchowności, ale niezbyt porównującym sposobie bycia.

- Włożymy stroje wieczorowe, ot tak, dla draki - dodał Martin.

- To przesądza sprawę - powiedziała. - Nie miałabym w czym wystąpić.

Sala obserwacyjna zaczęła pustoszeć. Fiona od niechcenia rzuciła okiem na ekran transmisyjny. Lekarze z sali operacyjnej powoli się rozchodzili, śmiejąc się i gawędząc. W rogu, pod ścianą, Fiona dostrzegła Jonathana, który z ożywieniem rozmawiał z jakąś kobietą. Oboje byli jeszcze w maskach. Kiedy kobieta zdjęła maskę, Fiona aż znieruchomiała ze zdumienia.

Ze względu na dużą liczbę chętnych ona i Martin nie mogli obserwować pokazu w operacyjnej i musieli zadowolić się transmisją, a jednak dla Doreen jakoś znalazło się tam miejsce. Fiona poczuła, jak ogarnia ją wściekłość. Odwróciła się znów do Martina.

- Po zastanowieniu doszłam do wniosku, że taki wypad dobrze mi zrobi. Z przyjemnością z wami pójdę.

Błyskawicznie pobiegła na oddział, żeby przed wyjściem zamienić parę słów z Janet Redbury. Niezależnie od spraw zdrowotnych, trochę się z sobą zaprzyjaźniły. Na szczęście pacjentce nic nie dolegało. Męczyło ją tylko to, że musi teraz stale leżeć w łóżku.

- Czuję się jak w więzieniu - poskarżyła się ze smutnym uśmiechem. - Mam już dosyć tego ciągłego czytania, oglądania telewizji, robienia na drutach.

- Mogłaby pani, dla odmiany, zrobić coś niezwykłego.

- Na przykład pójść do domu?

- No nie, bez przesady. Na razie łóżko to najlepsze miejsce dla pani i dziecka.

- Wiem - zgodziła się Janet, wzdychając ciężko - ale mam tyle wolnego czasu! Wciąż myślę i myślę, i ciągle się martwię.

- Jak już musi pani tyle myśleć, to proszę myśleć pozytywnie - upomniała ją Fiona. - Mam naprawdę dobre przecucia. Może zrobiłaby pani coś dla dziecka? Coś innego niż malutkie paputki z wełny.

- Na przykład?

Fiona wróciła myślami do pomysłu, który podsunęła Doris Sinclair. Przed wypisaniem do domu Doris zajrzała do niej, by podziękować i powiedzieć, że już zaczęła gromadzić materiały do albumu. Lekarka uważnie popatrzyła na Janet i spytała:

- Co wiesz o swoich dziadkach?

Janet zrobiła zdziwioną minę.

- To i owo, ale w sumie niewiele. Mam jakieś stare fotografie. Czemu pani pyta?

- Proszę pozbierać różne informacje i ułożyć coś w rodzaju drzewa genealogicznego, żeby dziecko mogło poznać swoich znakomitych przodków.

- Hm, ciekawy pomysł - uznała Janet. - Mogłabym zapytać



swoich rodziców. Mielibyśmy o czym rozmawiać, jak przyjdą mnie odwiedzić.

- No i sama mogłaby się pani dowiedzieć czegoś interesującego. Zamiast przewidywać przyszłość, proszę zanurzyć się w przeszłość. - Spojrzała na zegarek. - No, muszę lecieć. Wieczorem idę poszaleć.

- Niektórzy mają szczęście - westchnęła Janet. - Niech się pani bawi dobrze.

- Mam taki zamiar - odrzekła Fiona zdecydowanie. - Do zobaczenia jutro.

Ponieważ naprawdę nie miała stroju wieczorowego, postanowiła go sobie kupić, i to w ekskluzywnym sklepie. Wybrała wąską, prostą suknię z jedwabiu, na cienkich ramiączkach. Wahała się tylko co do koloru. Sprzedawczyni namawiała ją na krwistą czerwień albo szmaragdową zieleń, ale Fiona uznała, że to zbyt krzykliwe. Doszła do wniosku, że najbardziej wyszukana będzie jednak czerń. Dobrała do tego pantofle i małą kopertową torebkę.

Kasyno było otwarte dopiero od niedawna. Ściągali do niego spragnieni rozrywki turyści, ciekawi wielkiego świata miejscowi, a także nałogowi gracze, gotowi zostawić tu ostatnie pieniądze. Fionę trochę odstręczał ostentacyjny przepych tego miejsca, ale stwierdziła, że odmiana, którą zaleca swym pacjentkom, przyda się również jej samej, pomagając rozpędzić czarne myśli.

Przed wejściem spotkała się z Martinem, Lizą i Tonym i z wdzięcznością przyjęła ich komplementy, których była dziś bardzo spragniona. Całą grupą poszli najpierw na elegancką kolację z winem, toteż wchodząc do sali gry, byli w szampańskich humorach. Martin, jak zwykle, był duszą towarzystwa. Rozglądając się wokół, dowcipkował na temat „jaskini hazardu”, w której można stracić dobre imię i resztki majątku.

- Założę się, że tamten to nałogowiec - powiedział, pokazując zęby w uśmiechu.

Liza podążyła wzrokiem za jego spojrzeniem.

- No wiesz! Przecież to chyba Filip Reece, prawda?

Fiona poczuła się nieswojo. Nie spodziewała się spotkać tu kogokolwiek znajomego. Ale rzeczywiście, przy sąsiednim stoliku

siedział Filip z żoną, chociaż bardziej wyglądało na to, że obserwują grę, niż w niej uczestniczą. W pewnej chwili grupka osób wzniosła okrzyki na cześć zwycięzcy i Fiona zdała sobie sprawę, że kobieta, która wygrała, to Doreen Roberts. Z bólem poczuła, że wie, kto jest jej towarzyszem. Dostrzegła Jonathana w tym samym momencie, w którym on zobaczył ją. Szybko opanował malujące się na twarzy skrępowanie i ruszył ku niej zdecydowanym krokiem.

- Co za nieoczekiwane spotkanie - powiedział. - Namówiono mnie do obejrzenia najnowszej atrakcji w mieście, ale nie sądziłem, że moi współpracownicy to tacy zapaleni gracze.

Martin przedstawił mu Lizę i Tony'ego, ale Jon ledwie na nich spojrział. Odczekał, aż cała trójka podejdzie przywitać się z Reece'ami i Doreen.

- Cudownie wyglądasz, Pen. - Z zachwytem przyglądał się jej włosom, które fryzjerka upięła w fantazyjny kok, a następnie zawiesił spojrzenie na gładkich, odstoniętych ramionach.

Czuła się tak, jakby pieścił ją wzrokiem, i sprawiało jej to przyjemność. Nie bez satysfakcji spostrzegła, że Doreen patrzy na nich z niepokojem. Być może po raz pierwszy ujrzała w Fionie rywalkę, Fiona zaś pomyślała, że warto było wydać fortunę - na tę suknię i fryzjera.

- Ty też nieźle wyglądasz - odparła z udawaną lekkością. Patrząc na jego smoking, zastanawiała się, czy Doreen miała już okazję zobaczyć kryjące się pod nim ciało.

- Jutro jadę do Auckland - oznajmił nagle. - Przekazać coś od ciebie Danielowi?

- Żeby koniecznie odpisał na mój list albo przynajmniej do mnie zadzwonił.

RS

Podeszła do nich reszta towarzystwa.

- Zostanę tam cały tydzień - dodał Jon. - Mam w planie kilka wykładów. Filip był tak uprzejmy, że zgodził się przejąć moje obowiązki.
- Cóż zrobić, Jon jest rozchwytywany - wtrącił Filip Reece
- ale postaramy się zatrzymać go u nas dłużej, niż planowaliśmy.
- O tak, koniecznie. - Doreen uśmiechnęła się zalotnie do Jonathana i rzuciła Fionie przenikliwe spojrzenie, a potem wymownie zerknęła na Tony'ego.

Jonathan też na niego spojrzał, ale w końcu zwrócił się do Fiony:

- Będę uciekał. Muszę wcześniej wstać. Życzę miłej zabawy.
- Uśmiechnął się, skinął głową na pożegnanie i oddalił się razem z Doreen.

Towarzystwo Fiony instynktownie wyczuło, że trochę posmutniała, toteż po odejściu Jonathana i oni nie zabawili już długo. Fiona nie skorzystała z zaproszenia Tony'ego, który zaproponował jej, by wstąpili gdzieś jeszcze na drinka. Wróciła do domu sama.

Najwyraźniej wszystko sprzysięgło się, żeby nie pozwolić jej zapomnieć o Jonie. Zadumana, usiadła na łóżku i zebrało jej się na płacz. Jednak szybko wzięła się w garść i przystąpiła do obmyślania strategii, która pozwoliłaby jej przetrwać najbliższe dni. Chociaż tyle. Bo dalej sięgnąć w przyszłość nie była po prostu w stanie.

---

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

---

Opracowanie strategii i zastosowanie jej to, jak wiadomo, dwie różne rzeczy. Często to, co wydaje się słuszne i łatwe w teorii, nie wytrzymuje sprawdzianu w praktyce.

Następnego dnia Fiona wstała wcześniej i wybrała się na konną przejażdżkę. Dosiadłszy siwej klaczy, pojechała tą samą trasą, którą pokonała ostatnio z Jonathanem. Wszędzie, gdzie było to możliwe, rozwijała dużą prędkość, toteż czuła się wolna i zrelaksowana. Jednakże Belle, która dzielnie starała się dotrzymać jej kroku, dotarła na miejsce wyczerpana. Obrażona na panią za to zabójcze tempo, zrezygnowała ze zwyczajowej kąpieli w strumyku. Fiona zabrała się do szczotkowania klaczy, Belle natomiast wskoczyła na tylne siedzenie samochodu i w okamgnieniu zasnęła. Nie ruszyła się stamtąd nawet wtedy, gdy z powrotem zaparkowały przed domem.

Fiona wzięta prysznic, przebrała się w dzinsy i, z Belle wciąż zwinętą w kłębek z tyłu, pojechała do szpitala. Wyszukawszy ocienione miejsce na parkingu, pieszczotliwie podrapała suczkę za uchem.

- Niedługo wrócę - obiecała.

Następne dwie godziny spędziła przy dyktafonie, nadrabiając zaległości. Dla przypomnienia ponownie przejrzała karty pacjentek, a następnie zebrała i podsumowała dane. Cierpliwie wymieniała objawy przy przyjęciu, przeprowadzone badania, zastosowane w szpitalu leczenie, leki zalecone chorym przy wypisaniu oraz perspektywy dalszej kuracji i ewentualne skie-

rowania do nowych specjalistów lub stałych lekarzy domowych. Była to nudna procedura, ale, jak wiadomo, nie sposób się bez niej obejść. Najbardziej kłopotliwe podsumowanie dotyczyło pani Pritchard.

- Przyczyny nieregularności cyklu miesięczkowego pacjentki są niejasne, toteż zalecono jej dokładne rejestrowanie częstotliwości i objawów towarzyszących. Zostanie poddana badaniu kontrolnemu w przychodni po upływie trzech miesięcy, ewentualnie wcześniej, jeżeli zgłosi się z dolegliwością ostrą.

Przygryzła wargi i cofnęła taśmę. Usłyszawszy słowa: „po upływie trzech miesięcy”, skasowała pozostałą część zdania. Po co wywoływać wilka z lasu?

Gdy skończyła tę niewdzięczną robotę, uporządkowała na biurku materiały. Ale ktoś będzie miał frajdę w poniedziałek rano, pomyślała ze złośliwym uśmiechem.

Następną pozycją przewidzianą w planie była wizyta u rodziny. Belle ucieszyła się na widok dzieci, a Laura - na widok Fiony.

- Miło cię widzieć, Fee - powiedziała z lekkim wyrzutem.  
- Jesteśmy po lunchu, ale znajdzie się coś na kanapkę.

- Spokojnie, nie umieram z głodu. - Fiona ucałowała małą Jennifer, która smacznie drzemała w wózku, a następnie zmierzwiła włosy czepiającemu się jej nóg Mike'owi.

- Puść nogę Fiony - polecił braciszкови Jack.

Belle opadła na fotel, aby kontynuować rekonwalescencję po męczącym poranku.

- Starzeje się, bidulka - zauważyła Laura, patrząc na nią ze smutkiem. - Przydałby jej się fotel bujany.

- Strasznie się dzisiaj nabiegała - wyjaśniła Fiona z uśmiechem. - Ale zapewniam cię, że choć się zmęczyła, była w swoim żywiole.

Alan kończył właśnie zmywanie po lunchu.

- Gdzieś ty się podziewała? - wykrzyknął na widok Fiony.
- Szybki skok do Europy i z powrotem?
  - Tu i tam - odparła ze śmiechem, zaglądając do kredensu i lodówki. - Głównie, jak zwykle, w pracy.

Bliźniaki postanowiły przypilnować, żeby zrobiła sobie dobrą kanapkę. Przysiadły na krawędzi stołu, machając nogami.

- Weź dużo masła orzechowego - polecił Jack.
- I dżemu - dorzuciła Sara.
- Albo lepiej sera - zmienił zdanie Jack. - A na deser marmoladę.
- Z pastą z jajek - zachichotała Sara.
- Zamiast się tak męczyć z podjęciem decyzji, może wezmę wszystkiego po trochu? - zastanowiła się Fiona z poważną miną.

Bliźniaki uznały, że to genialna myśl, i aż zapiszczały z uciechy. Fiona zerknęła na Alana.

- Pozbyłam się tych moich okropnych tapet. Mam ochotę na mały remoncik.
- Niezły pomysł.
- Na razie wygląda to tak strasznie, że żałuję, że w ogóle zaczęłam. Nie bardzo wiem, co dalej robić.
- Zajrzę do ciebie jutro i pomyślimy - zaofiarował się. - Zrobimy listę rzeczy, które będą ci potrzebne.
- Ale ty jesteś kochany - powiedziała z wdzięcznością, gdy skierował się do pokoju. - Jeśli od razu nie nabiorę rozpędu, to nigdy się do tego nie wezmę.

Bliźniaki z rozczarowaniem patrzyły, jak Fiona poprzestaje na chlebie z masłem i ogórkiem.

- Jack ma dziewczynę - oznajmiła Sara z powagą.

Fiona zerknęła na małego, który, stosownie do sytuacji, zaczerwienił się po same uszy.

- Naprawdę, Jack? Jak jej na imię?

- Nicola - pośpieszyła z odpowiedzią Sara. - Trzymają się za ręce, i w ogóle.

- Pewnie jest bardzo miła - domyśliła się Fiona, z apetytem pałaszując kanapkę. Uśmiechnęła się do Laury, która postawiła przed nią dużą filiżankę kawy.

Alan wrócił do kuchni, niosąc na rękach Jennifer, którą natchmiast oddał Laurze.

- Najwyraźniej ma ochotę coś przekąsić.

- Jack chce ożenić się z Nicolą - oświadczyła Sara.

- Wcale nie! - zaprzeczył stanowczo chłopiec.

- A właśnie że tak - upierała się Sara. - Sam mówięś.

- No, może i tak - ustąpił wreszcie.

- Nie musisz podejmować tej decyzji już teraz, od razu - przypomniała mu z uśmiechem Fiona.

- Nie muszę, ale chcę - zapewnił ją Jack. - Nicola też uwielbia rakiety.

- Rozumiem. To fantastycznie. - Fiona o mały włos się nie zakrztusiła.

- Wezmą ślub i będą mieli bardzo dużo dzieci - podsumowała wesoło Sara.

Fiona odłożyła kanapkę na talerzyk.

- Ludzie nie pobierają się tylko po to, żeby mieć dzieci. Sarę zdziwiło zarówno samo stwierdzenie, jak i ton, którym ciocia Fee je wypowiedziała.

- Jak to?

- Niektórzy ludzie wolą nie mieć dzieci - wyjaśniła - a jeszcze inni po prostu nie mogą.

Bliźniaki spojrzały po sobie z niedowierzaniem.

- Czemu nie mogą? - zainteresował się Jack.

Fiona z zakłopotaniem spojrzała na dwie pary oczu szeroko otwartych ze zdumienia. Co mnie podkusiło, żeby zacząć o tym mówić? Na szczęście Laura przyszła jej z pomocą.



- Poproście tatusia, żeby wam puścił „Kopciuszką”.
- Hurra! - Rozradowane bliźniaki pędem wybiegły z kuchni.

Laura poprawiła maleństwo u piersi.

- Co ci chodzi po głowie, Fee?
- A co? Uważasz, że małżeństwo bez dzieci nie ma sensu?
- Fiona poczuła się zaatakowana.
- Skąd, ale dla wielu ludzi dzieci są ważne. Sama mówiłaś, że chciałybyś mieć drużynę piłkarską.
- No bo chciałybym, tylko że... - Zamilkła i strząsnęła okruchy z serwetki na talerzyk.
- Czy to ma coś wspólnego z Jonathanem? - Laura uważnie popatrzyła na siostrę.
- Co też ci strzeliło do głowy! - obruszyła się, unikając jej wzroku.

- Jon być może nie wiedział, co do niego czujesz, ale ja wiedziałam doskonale - zaczęła Laura ostrożnie. - I świetnie to rozumiałam. Gdyby nie to, że znałam już Alana, pewnie sama bym się w nim zadurzyła. Tylko że ty byłaś taka młodziutka...

- Przystawiła Jennifer do drugiej piersi. - Ostatnio, jak się tu spotkaliście, dziwnie to wyglądało. A potem przestałaś się pokazywać. Teraz z kolei wyraźnie coś cię gryzie. Czy te wszystkie kawałki składają się w całość, czy też wciąż chcesz mi wmówić, że to tylko zamierzchnia przeszłość?

- Sama tak myślałam. - Fiona westchnęła ciężko. - Chyba się myliłam.

- Czy Jon wie, co się dzieje?

Skinęła głową i ze smutnym uśmiechem dodała:

- Myślę, że jemu też na mnie zależy.
- Nie jest już przecież żonaty - stwierdziła Laura ze znaczącym uśmiechem.
- Nie, ale jeśli ponownie się ożeni, to na pewno nie ze mną.

- Dlaczego? - Laura oparła główkę niemowlęcia na ramieniu i zaczęła mu masować plecy.
- Bo jego zdaniem, małżeństwo bez dzieci nie ma sensu.
- No ale w czym rzecz? Nie zauważyłam, żebyś broniła się przed dziećmi.
- Jego małżeństwo z Clare rozpadło się, bo on nie może być ojcem. Nie pogodziła się z tym i zaszła w ciążę z kim innym.
- Mój Boże! - Laura była wstrząśnięta. - Nie miałam o tym pojęcia. A ty... umiałabyś się z tym pogodzić?
- Sama nie wiem - odparła powoli. - Kiepski wybór, prawda? Albo mężczyzna, którego kocham, albo rodzina, której pragnę. Trzeba by pójść na kompromis i z czegoś zrezygnować. - Spojrzała Laurze w oczy, zrozpaczona. - Nie chcę mieć do końca życia poczucia, że bezpowrotnie coś straciłam.

- Zostaje jeszcze adopcja.

Fiona potrząsnęła głową.

- Próbował już wszystkiego i nie chce znów przez to przechodzić. On jest bardzo uparty. Powziął już decyzję i będzie się jej trzymał, choćby nie wiem jak to bolało nas oboje.
- Pewnie musi być silny, żeby jakoś radzić sobie w życiu.

Właściwie to rozumiałe, że ma bzika na punkcie rodziny.

- Ależ oczywiście, że rozumiałe - zgodziła się z nią Fiona.
- Tylko czy to jest powód, żeby odrzucać coś, co, jak się wydaje, jest dokładnie tym, o co chodzi?

- Widzę, że ostatnio wiele zdążyło się wydarzyć...
- Owszem - mruknęła pod nosem, mocno się rumieniąc, i wyznała siostrze niektóre sekrety.

Uśmiechały się do siebie w milczeniu, gdy wrócił Alan.

- O czym wy tutaj tak szepczecie? - Spojrzał na nie podejrzliwie. - Może uchyliłybyście rąbka tajemnicy?
- Takie tam babskie gadanie - odparła Laura ze śmiechem

i mrugnęła znacząco do Fiony. - Skończymy tę rozmowę przy następnej okazji.

Nazajutrz Alan, zgodnie z obietnicą, wpadł do Fiony i razem sporządzili listę zakupów, na której znalazły się następujące pozycje: papier ścierny, kit, gips, poliuretan, skrobaczki, farby, pędzle, wałek do malowania sufitu, klej i nowe tapety.

- O drabiny i kobyłki nie musisz się martwić - zapewnił ją.  
- Przywieziemy od nas.

Razem poszli do sklepu i spędzili całe popołudnie na oglądaniu i przebieraniu. Wróciwszy do domu, Fiona opróżniła salon: biurko trafiło do sypialni, kanapa natomiast - do garażu.

Po tym wysiłku uznała, że zasługuje na kolację. Zjadłszy ją z apetytem, ale i pośpiesznie, zaczęła zeskrobywać farbę z ram okiennych, co zajęło jej mnóstwo czasu. Kładąc się spać, z zadowoleniem stwierdziła, że spędziła ten dzień naprawdę miło i pożytecznie. Mogła sobie pogratulować - na razie obrona przez nią strategia przynosi świetne rezultaty.

Tydzień w pracy minął zadziwiająco szybko. Ponieważ Jonathan był w Auckland, Fionę opuściło napięcie, ale zauważyła, że wraz z nim odeszło też całkiem przyjemne uczucie podekscytowania. Mimo że obawiała się kontaktów z Jonem, zawsze skrycie na nie wyczekiwała i wiązała z nimi pewne nadzieje. Przyspieszone bicie serca, tęsknota, wręcz fizyczny ból niespełnienia - wszystkie te doznania wprowadzały w jej życie niepokój i zamęt. Jednakże bez nich wydawało się ono po prostu puste, jałowe, bezbarwne, i nie były w stanie ich zastąpić nawet najbardziej interesujące sprawy zawodowe.

Ożywczce i stymulujące okazały się w tym czasie spotkania z Janet Redbury, która, zgodnie z tym, co zasugerowała jej Fio-

na, zaczęła gromadzić przeróżne rodzinne wspomnienia, listy, zdjęcia i pamiątki.

- Nie wiem, od czego zacząć -jęknęła, patrząc na zavalone papierami łóżko. - To zdjęcie mojej stryjecznej babki, Daisy. Nawet nie wiedziałam, że miałam kogoś takiego w rodzinie.

- To bardzo ładne imię. - Fiona z zaciekawieniem patrzyła na fotografię w kolorze sepii.

- Prawda? - z zapamię podchwyciła Janet. - Chyba nazwę tak moje maleństwo. Oczywiście jeśli będzie dziewczynka.

Obie się roześmiały.

- Tym bardziej powinna wiedzieć, po kim je dostała - zauważyła Fiona - Więc proszę szybko brać się do roboty.

W środę wydarzyło się coś, co z początku obudziło w Fionie nadzieję. Na moment znów poczuła, jak zalewa ją fala podniecenia. Przyszedłszy na oddział, zobaczyła, że czeka na nią imponujący bukiet. Koleżanki i koledzy, na czele ze znacząco uśmiechającym się Martinem, w milczeniu obserwowali, jak otwiera miniaturową kopertę i wyjmuje z niej bilecik.

„Mimo braku wygranych, wieczór uważam za udany”.

Zmarszczyła brwi, próbując odczytać zawarte w tym zdaniu przesłanie. Przecież Jon był w kasynie z Doreen, więc dlaczego ona dostaje róże?

Jedna z pielęgniarek zaczęła nucić pod nosem „Marsz weselny”, a Martin zajął Fionie przez ramię, żeby zerknąć na treść bileciku.

- Mówił, że ma zamiar je przysłać. Powiedziałem mu, że twój ulubiony kolor to różowy.

- Komu tak powiedziałaś?

- Tony'emu, a komuż by innemu? Masz w rezerwie więcej adoratorów? - Przyjrzał jej się i zauważył, że jego słowa ogromnie ją rozczarowały.

- No pewnie, całe zastępy - odparła z udawaną lekkością.

Z powrotem włożyła bilecik do koperty i wetknęła ją do kieszonki. - Zostawię je tutaj, Doro - zwróciła się do pielęgniarki.

- Miło na nie popatrzeć, więc niech wszyscy się nimi cieszą.
- Spojrzała na Martina. - A poza tym moim ulubionym kolorem jest żółty.

Wiedziała, że zachowuje się nieprzyjemnie, ale odpieranie romantycznych zalotów Tony'ego było ostatnią rzeczą, jakiej teraz potrzebowała. Chciała natychmiast wyjaśnić tę sytuację i raz na zawsze mieć z tym spokój. Szczerze mówiąc, po cichu liczyła na to, że Martin opowie Tony'emu o jej niezbyt entuzjastycznej reakcji.

Wieczorami zajmowała się mieszkaniem. Uszczelniła okna, wygładziła ramy, zagipsowała dziury w ścianach. Mimo że się przed tym broniła, często nawiedzały ją wspomnienia.

W sobotę przyjechał do niej Alan razem z Laurą i dziećmi. Tak jak obiecał, przywieźli drabiny i kobyłki. Laura zabrała dzieci i Belle na długi spacer do parku, natomiast Fiona i Alan przystąpili do zeszkrobienia farby z sufitu. Kiedy się z tym uporali, Alan pomalował wałkiem płaskie powierzchnie, Fiona zaś pieczołowicie wypieściła małym pędzelkiem dekorację stiukową i gzymsiki. Laura tymczasem wróciła z dziećmi do siebie, ale umówili się, że gdy skończą malować, dojadą do niej na kolację. Zajadając z apetytem, Fiona czuła, jak bołą ją ręce, ramiona, kręgosłup. Jednak kiedy znów znalazła się w domu, rezultaty ich pracy spodobały jej się tak bardzo, że do pierwszej w nocy sama kładła drugą warstwę szybko schnącej farby.

W niedzielę było zimno i deszczowo, ale domek Fiony rozbrzmiewał tak radosnym śmiechem, że nikt nie zwracał uwagi na pogodę. Duży blat na kobyłkach zawalony był rolami tapet, które Fiona mierzyła i przycinała, Laura pokrywała klejem, a Alan przytykał do ściany i rozprasowywał dłonią, żeby nic się, broń Boże, nie marszczyło. Wszystko to zajęło sporo czasu,

ponieważ Fiona wybrała tapetę we wzorek z drobnych kwiatusków i trzeba było uważać, by zachować jego ciągłość. Bliźniaki, Mike'a, Jennifer i Belle oddelegowano na razie do kuchni. Niemowlę spało w najlepsze w swym wygodnym wózekczku, z suką czuwającą na podłodze, podczas gdy starsze dzieci zabawiały się rysowaniem i lepieniem kulek z plasteliny.

Już wcześniej było postanowione, że na lunch będzie pizza, toteż słysząc pukanie, bliźniaki pędem pobiegły do drzwi. Popiskując i klaszcząc z radości, wrócili zaraz do salonu, ciągnąc za sobą kompletnie zaskoczonego Jona.

- Czuję, że przyszedłem nie w porę - powiedział.

- Jesteś członkiem rodziny, Jon - odrzekła Laura. - Jeśli chodzi o ciebie, każda pora jest dobra.

- Z twojego przyścia dzieci cieszą się chyba nawet bardziej niż z pizzy - zauważyła Fiona z uśmiechem. - Na twoim miejscu poczytywałabym to sobie za zaszczyt.

- Z pizzy? - zdziwił się Jon. Ponownie rozległo się pukanie i bliźniaki znów popędzili do drzwi.

- Mam nadzieję, że jesteś głodny - rzekła Fiona, sięgając po portmonetkę. - Zamówiliśmy tyle, że można by nakarmić pułk.

- Niech się lepiej posili - zazartował Alan, schodząc z drabiny. - Zostało tu jeszcze mnóstwo roboty.

Jakimś cudem usadowili się wszyscy w małej kuchni i w dobrym nastroju wspólnie zjedli posiłek. Belle była zachwycona, bo przy tak licznym gronie biesiadników resztek z pańskiego stołu było znacznie więcej niż zwykle.

- Wpadłem, bo chciałem ci przekazać uściski i pozdrowienia od Daniela. - Jon z ochotą przyjął drugi kawałek pizzy i odłożył na bok niebieską kulkę plasteliny, którą Sara położyła mu na talerzu.

- To ciasteczko - poinformowała go dziewczynka. - Masz je zjeść.

- Zachowam je sobie na deser - obiecał. - Wygląda bardzo apetycznie.

- Jak się miewa nasz Danny? - Laura zdjęła kawałki salami z porcji Mike'a i oddała je Jackowi.

- Znakomicie. Shelley znowu jest w ciąży. - Jon pochwycił spojrzenie Fiony i Laura zerknęła na nią z niepokojem.

- Nie wiedzą, kiedy przestać - zauważyła półzartem. - Tak samo nieznosni jak my.

- Pewnie będą bliźniaki - zaśmiał się Alan.

- Wykluczone. - Laura potrząsnęła głową. - W naszej rodzinie ta prawidłowość dotyczy tylko kobiet, przynajmniej od sześciu pokoleń. W każdym razie przytrafia się to co najmniej jednej z sióstr.

- Ale dlaczego musiało paść akurat na nas? - jęknął Alan. On również odłożył na stół niebieskie „ciasteczko” z plasteliny. - Myślę, że Fiona z radością wzięłaby to na siebie.

Zapadła niezręczna cisza, która zdezorientowała Alana, bo nie sądził, że powiedział coś niestosownego. Napięcie rozładował Mike, który odwrócił talerz do góry dnem i szczerze podzielił się z Belle pozostałościami pizzy.

- Ruszaj się, Jon - zwrócił się do niego Alan. - Potrzebuję pomocy eksperta.

- Eksperta?! Przecież ja w życiu nie kładłem tapet! - Mimo konsternacji, Jon z ulgą wstał od stołu. - Ale mam trochę doświadczenia w zdzieraniu - dodał ze słabym uśmiechem.

- To ciekawe, opowiedz nam o tym - poprosiła niewinnie Laura.

- Może kiedyś, przy innej okazji. - Jon zerknął na Fionę. Na jej twarzy nie było uśmiechu, a w oczach malował się żal. Utkwiła w nim przeciągłe, pełne napięcia spojrzenie.

Laura, która domyślała się, w czym rzecz, zajęła się sprzątnięciem ze stołu. Nieprzyjemną atmosferę raz jeszcze rozładowało nieświadome niczego dziecko.

- To dla ciebie. - Sara wręczyła Jonowi następną niebieską kulkę. - Nie zjadłeś jeszcze ciasteczka.

- A ty nie zjadłaś jeszcze pizzy - upomniała siostrę Laura, gdy Jonathan podążył za Alanem.

- Aż tak strasznie za nią nie przepadam - wyznała Fiona.

- Przegryzę coś później.

- No to może kawy?

- O nie, dzięki. Na kawę jakoś też nie mam dziś ochoty. Co ma znaczyć ta dziwna mina?

- Ja też nie mogę wtedy pić kawy.

- Wtedy? - powtórzyła Fiona z uśmiechem. - Kiedy?

- Kiedy jestem w ciąży.

Fiona zmarszczyła brwi i poważnie spojrzała na siostrę.

- Jeśli to miał być żart, to niezbyt ci się udał.

- Przykro mi. - Laura podjęła zmywanie naczyń. - Dzwoniłam wczoraj do domu - zaczęła z innej beczki.

- I co tam słychać? - Fiona z ulgą przyjęła zmianę tematu.

- Mama martwi się trochę o tatę. Ma jakieś bóle w piersiach.

Do kuchni wkroczył Alan, niosąc na rękach wyrrywającego się Mike'a.

- Niskich nam tam nie trzeba. Zajmijcie się nim, proszę.

- Zaraz pójdziemy na spacer - odrzekła Laura. - Deszcz już prawie ustał. Właśnie mówiłam Fionie o kłopotach z tatą.

- On oczywiście twierdzi, że nic mu nie dolega - powiedział Alan - ale mama nieraz widziała, jak nagle przerywa to, co robi, oddycha ciężko i rozmasowuje ramię.

Fiona przygryzła wargi.

- Odrwać się od roboty to rzeczywiście nie w jego stylu.

Niedługo mam wolny weekend. Na pewno do nich zajrzę.



- Zastanawiamy się z Laurą, czyby na dobre tam nie wrócić - oznajmił ostrożnie Alan. - Zebrałem już wszystkie materiały do mojej pracy doktorskiej. Teraz muszę to już tylko napisać, a to mogę przecież zrobić wszędzie. Oczywiście Laura marzy o tej przeprowadzce.

- Domek postrzygacza jest już prawie przebudowany, więc rodzicom byłoby w nim wygodnie - dodała szybko Laura. - Cieszyliby się, gdybyśmy zamieszkali w dużym domu i zajęli się gospodarstwem.

Fiona słuchała w milczeniu. Nagle poczuła się smutna, opuszczona przez wszystkich.

- Co ja bez was zrobię? - spytała przygaszonym głosem. Podniósłszy oczy, stwierdziła, że dołączyli do nich Jonathan, który musiał słyszeć końcowy fragment rozmowy. Natychmiast wzięła się w garść. - Chodzi mi o to, że... gdzie ja znajdę drugą taką brygadę remontową?

Bywało, że całymi tygodniami nie musieli się zmagać w szpitalu z ryzykiem i trudnościami, jakie zwykle towarzyszą przedwczesnym porodom. Jednakże ten tydzień był ich przeciwieństwem i zespołowi Fiony przypadły w udziale cztery pacjentki, które rodziły w trzydziestym tygodniu ciąży. Jon wspierał ich wysiłki na wszystkich etapach, a i Doreen Roberts wykazała nadzwyczajną wręcz dyspozycyjność.

Jej częsta obecność na oddziale i czasochłonne konsultacje z Jonathanem zrodziły w końcu pogłoskę, że doktor Roberts i doktor Fletcher to coś więcej niż para kolegów. Lecz gdy jedna z położnych próbowała wciągnąć w to Fionę, rozczarowała się.

- Ciekawe, czy pani Roberts przeniesie się do Walii, czy też pan Fletcher zajmie miejsce Jacka Owensa?

- To naprawdę nie moja sprawa - ucięła Fiona. Wyraz jej twarzy i ton głosu jednoznacznie sugerowały, że nie jest to

również sprawa położnej. Od czasu tej wymiany zdań zaczęto unikać przy Fionie rozmów na ten temat.

Jeśli chodzi o Janet Redbury, jej stan był zadowalający. Usg wykazało, że dziecko rośnie błyskawicznie. Opiekowano się nią nadzwyczaj starannie, bo nikt nie znał dnia ani godziny, choć niewątpliwie każdy dzień zwłoki działał na jej korzyść. Jon pokazał Fionie wyniki badań.

- Myślę, że doskonale jej robi ten długi wypoczynek. Widziałas te notatki i zdjęcia?

Przytaknęła ruchem głowy.

- Jakiś krewny z Anglii przysłał jej herb rodowy. Drzewo genealogiczne obejmuje pięć pokoleń wstecz. Nie wiesz, kto podsunął jej ten pomysł? - Gdy Fiona milczała, uśmiechnął się.

- Jasne, powinienem być się domyślić. No cóż, pomysł był świetny. Mam nadzieję, że zrobisz coś podobnego dla swoich dzieci, które pewnie już niedługo będziesz miała.

Uwaga ta zabolota ją tak bardzo, że musiała odwrócić twarz, by ukryć swoją reakcję.

- Być może, być może - odrzekła bezbarwnie.

Nagle przypomniała sobie spostrzeżenie Laury. Aluzja do jej rzekomej ciąży wydała się niedorzeczna, więc natychmiast tę możliwość odrzuciła, ale teraz, po paru dniach, nie była już taka pewna. A Jon nawet nie ma pojęcia, jak bliski może być prawdy.

U pacjentki zagrożonej przedwczesnym porodem nastąpiło przerwanie błon płodowych w dwudziestym szóstym tygodniu. Lekarze zdolali na kilka dni powstrzymać poród i podali steroidy, żeby wesprzeć rozwój płuc u dziecka. Mimo to pojawiły się oznaki zagrożenia płodu, toteż za najbezpieczniejsze rozwiązanie uznano cesarskie cięcie.

Gdy dziecko przyszło na świat, Fiona próbowała skoncentrować się na asystowaniu Jonowi, który kończył operację. Tym-

czasem uwaga wszystkich skupiła się na Doreen, która oceniła stan dziecka i robiła, co mogła, by utrzymać je przy życiu.

Próby dostarczenia tlenu za pomocą torby i maski zawiodły, toteż Doreen zastosowała intubację dotchawiczą. Umieściła małeństwo pod ogrzewaczem, podała dożylnie leki wzmacniające i cały czas śledziła akcję serca. Gdy uznała, że stan jest stabilny, włożono je do inkubatora o podwójnych ściankach, z zamiarem przewiezienia na oddział intensywnej opieki dla noworodków.

- Na razie w porządku - oznajmiła Doreen Jonowi.
- Chwała Bogu! - Odetchnął z ulgą, zakładając matce ostatnie szwy. - Teraz jego szanse będą rosnać. Przydałby się nam tutaj szczęście.

Patrząc na wprawne ruchy jego rąk, Fiona zadumała się nad tymi słowami. Ileż spraw w życiu zależy w gruncie rzeczy od szczęścia! A przecież czasem ono naprawdę dopisuje i wtedy zdarzają się cuda. W prasie pełno jest historii opowiadających o rzekomo „niemożliwych” przypadkach, które się jednak wydarzyły - wbrew wszelkim przeciwnościom. Czyżby Laura mogła mieć rację? Czy to możliwe, że jestem w ciąży? Po raz pierwszy postawiła sobie to pytanie wprost. Gdy później przejrzała kalendarz, tylko pokiwała głową. Kochała się z Jonathanem w samym środku cyklu, a jej miesiączka spóźnia się już o dziesięć dni.

- Ale przecież to prawie niemożliwe - mruknęła do siebie. Musi być jakieś inne wyjaśnienie. Może to ten przewlekły stres? Poczwała się bardzo niepewnie. Owszem, chciała dziecka, ale chciała też zdecydować się na nie świadomie.

Nie histeryzuj, powiedziała sobie w duchu. Po prostu zrób test i oprzyj się na faktach. W razie czego będzie jeszcze dość czasu, żeby się martwić.

Nazajutrz, jadąc do pracy, wzięła ze sobą próbkę moczu i zostawiła ją w samochodzie, w skrytce na rękawiczki. Była tak pochłonięta myślami o czekającym ją po południu teście, że

omal nie przeoczyła następnego ogromnego bukietu - tym razem z żółtych róż. Jonathan jednak nie omieszkał zwrócić jej na niego uwagi.

Jedno spojrzenie na Martina pozwoliło jej prawidłowo ocenić sytuację. Było jasne, że przekazał koledze tę ważną informację. Westchnęła ciężko i postanowiła sama porozmawiać z Tonym.

- Znowu róże! - zawołała na widok kwiatów Dora.
- Zauważyłam - odrzekła Fiona z rezygnacją, zauważając zarazem, że Jon uniósł brwi ze zdziwienia.
- Entuzjazm, jak poprzednio, umiarkowany? - domysliła się pielęgniarka.

- Nie mylisz się - odparła z westchnieniem.

Gdy Jonathan wyszedł, zmięta bilecik i schowała go do kieszonki, a następnie spróbowała od razu złapać Tony'ego. Ponieważ był zajęty, zrezygnowała i sama też wzięła się do pracy. Spotkała go później, gdy zmierzała w stronę bufetu.

- Dziękuję za kwiaty - powiedziała, zatrzymując go - ale więcej mi ich nie przysyłaj.

- Nie lubisz kwiatów?

- Nie o to chodzi, Tony...

- Już dobrze, rozumiem - zapewnił ją przyjaźnie.

- Przykro mi, Tony.

- Mnie też - odrzekł z sympatycznym uśmiechem, który chętnie odwzajemniła.

Poczuła wdzięczność do Tony'ego - za to, że jej tego nie utrudniał. Rozstając się z nim, odwróciła się i spostrzegła, że Jonathan ją obserwuje. Stał przy końcu korytarza w towarzystwie Filipa i Doreen. Skinął Fionie głową i obrzucił Tony'ego przeciągłym spojrzeniem. Rozzłoszczona pozorami, które Jon mógł niewłaściwie zinterpretować, zrezygnowała z lunchu. Ostatnimi czasy miała nie najlepszy apetyt.

Postanowiła zrobić test na miejscu, w aptece. Uznała, że jeśli przeprowadzi go ktoś postronny, rezultat będzie bardziej wiarygodny. Przez dziesięć minut rozglądała się nerwowo po półkach, czekając na wynik.

- Pozytywny - oznajmiła wreszcie laborantka.

Fiona w milczeniu wpatrywała się w kolorowe szczoteczki do zębów.

- Mam nadzieję, że tego pani oczekiwała - dodała dziewczyna z zakłopotaniem i wycofała się na zaplecze.

- Dziękuję. - Fiona cieszyła się, że z góry zapłaciła za usługę i może od razu wyjść.

Kręciło jej się w głowie. Dotarła do samochodu i nieruchomo przesiadła w nim dwadzieścia minut. Przypomniawszy sobie, że musi wyprowadzić Belle, w końcu włączyła silnik. Z jednej strony, nie mogła w to uwierzyć, z drugiej - wiedziała, że test jest wiarygodny. Subtelne zmiany w jej organizmie i nastroju nagle nabrały sensu.

Od kilku tygodni przeżywała huśtawkę nastrojów i wiadomość o tym, że jest w ciąży, z pewnością jej nie uspokoiła. Wręcz przeciwnie. Dziecko potrzebuje miłości, stabilności. Czy ona może mu je zaoferować? Sądziła, że raczej nie, w każdym razie jeszcze nie teraz. Mimo radości, jaką czerpała z kontaktów z dziećmi Laury, nie czuła się przygotowana do roli matki. No a poza tym, co z ojcem? W tej sytuacji będzie to wyglądać na najstarszą sztuczkę na świecie - małżeńską pułapkę, celowo zastawioną na Jona.

Wszystko to dotarło do niej, gdy wracała z Belle z parku. Cóż za ironia, pomyślała i roześmiała się w duchu. Zadręczała się, czy wybrać rodzinę, czy ukochanego mężczyznę, a tu nagle okazuje się, że niczego nie musi wybierać. Nie musi iść na kompromis, ponieważ nosi w sobie jego dziecko - które pokocha równie mocno, jak kiedyś pokochała jego samego.

Jon pragnie tego, co ona, tyle że stracił nadzieję. A teraz ona może dać mu to, czego pragnął. Oboje mogą mieć wszystko, niczego nie muszą się wyrzekać. Zaczęła sobie wyobrazać, jaki Jon będzie zaskoczony - ale i jak bardzo, bardzo szczęśliwy. Widziała jego twarz rozjaśnioną uśmiechem niedowierzania, widziała, jak czule tulą się do siebie, planując wspólną przyszłość.

Ujrzała w tym jakieś zrządenie losu, coś, co od początku było nieuniknione. Niepotrzebnie przez tyle czasu tłumili uczucia. Wróciwszy do domu, szybko nakarmiła Belle i odgrzała sobie warzywa z soczewicą z wczorajszej kolacji. Teraz powinna zacząć regularnie się odżywiać.

Jedząc, podziwiała odmieniony salonik. W ferworze pracy wycylinowali nawet podłogę. Poprzedniego dnia Alan pomógł jej z powrotem ustawić meble.

- O rany - zwróciła się do Belle. - W moim stanie trzeba na siebie uważać.

Nowy, jasny dywan był przemiłym prezentem od Laury. Przydawał wnętrzu przytulności. Niedługo trzeba odnowić sypialnię, pomyślała z nieklamany zapamiętaniem.

Belle ucieszyła się, że znowu wychodzi z domu - machając ogonem, wskoczyła za Fiona do samochodu. Zaparkowały pod hotelem przyszpitalnym i Fiona, spytawszy najpierw o numer pokoju Jona, radośnie wbiegła na piętro. A jeśli go nie ma?

Był jednak u siebie. Gdy zobaczył uradowaną Fionę, miejsce zdziwienia zajęła ciekawość.

- Co się stało? - spytał z uśmiechem. - Jesteś radosna jak skowronek.

Wiedziała, że powinna zaczekać, aż zaprosi ją do środka, że powinna mu to powiedzieć powoli, rozkoszując się każdą sekundą, ale była tak podekscytowana, że nie wytrzymała.

- Właśnie się dowiedziałam, że jestem w ciąży!

Twarz Jona pozostała niewzruszona. Po bardzo długich kilkunastu sekundach lekko poruszył ustami.

- Moje gratulacje.
- Nie cieszysz się? - spytała, poważniejąc.
- Oczywiście, że się cieszę.

Wyglądał jednak na wstrząśniętego i przybitego. Fiona całkiem się pogubiła. Nie mogła pojąć, w czym rzecz.

- Mam nadzieję, że właśnie tego chcesz - dodał z chłodną uprzejmością.

- A ty nie? - Zbierało jej się na płacz.

- Owszem - przyznał, zmuszając się do uśmiechu. - Chcę, żebyś miała to, czego ja nie mogę ci dać. A dziecko jest z pewnością dla ciebie najważniejsze. - Coś zaczynało jej świtać.

- Rozumiem, że to z tej okazji dostałaś te kwiaty. I pewnie tego też dotyczyła ta rozmowa w korytarzu. - Uśmiechnął się trochę złośliwie, połową ust. - Muszę przyznać, że nie tracisz czasu.

- Nie myślisz chyba, że... - Czują, jak zalewają fala złości. Tak, była na niego wściekła. Za to, że kiedyś ją rozczarował, a teraz tak perfidnie zdradził. - Ty draniu - wycedziła.

- Prosiłaś, żebyśmy nie porównywał cię z Clare - zaczął - a jednak przychodzisz i mówisz mi, że będziesz miała dziecko z innym mężczyzną. - Mówił z trudem, głos mu się łamał. - Nie zasłużyłem na takie traktowanie. Czemu mi to robisz, Fiono?

- To jest twoje dziecko. - syknęła.
  - Naprawdę myślisz, że w to uwierzę? - Roześmiał się z goryczą. - No cóż, widać masz mnie za idiotę.
  - I to nawet nie wiesz, za jakiego! - zawołała na cały głos.
  - Nigdy ci tego nie wybaczę - dodała cicho. - Przenigdy.
- Odwróciła się i odeszła, nie oglądając się za siebie.

---

## ROZDZIAŁ ÓSMY

---

Po co, na Boga, zgodziłem się tu przyjechać? - myślał z goryczą Jonathan. Rozważając propozycję przyjazdu do Christchurch, uznał, że czuje się na siłach chociaż częściowo zmierzyć się z przeszłością - jego sprawy zawodowe układały się świetnie, a życie osobiste, mimo że nieudane, ustabilizowało się po kryzysie.

Nie zamierzał się angażować w żadne związki z ludźmi z przeszłości. Chciał się jej tylko przyjrzeć z nowej perspektywy i odwiedzić bliskie mu miejsca, a także, podświadomie, przegnać stare upiory.

Jednak życie po raz kolejny wystawiło go na ciężką próbę. Czuł się tak samo jak wtedy, kiedy był dzieckiem - bezradny, bezbronny, pełen złości. Od najmłodszych lat szukał miłości i poczucia bezpieczeństwa, ale wielokrotnie ponawiane wysiłki zawsze kończyły się porażką. Ten bolesny schemat wydawał się nie do przezwyciężenia. Po niepowodzeniu z Clare przysięgł sobie, że już nigdy nie dopuści do sytuacji, w której mógłby się on powtórzyć.

Wydarzenia ostatniego miesiąca były nawet gorsze niż dotychczasowe problemy. Z rozpaczą uświadomił sobie, jak bardzo kocha Fionę. Nigdy nie była mu obojętna, ale widział w niej raczej siostrę czy też kogoś w rodzaju przyjaciela. Owszem, pamiętał o tym dziwnym pocałunku sprzed wielu lat, ale czyż nie był to po prostu epizod wywołany nastrojem pożegnania? Wspomnienia tamtego wieczoru powracały do niego na prze-



strzeni lat, wywołując lekkie zmieszanie, niepewność, czasem ukłucie trudnego do wyjaśnienia niepokoju.

Teraz niespodziewanie odkrył, że związek z Fioną byłby doskonałym spełnieniem jego marzeń. Uznał jednak, że nie wolno mu odbierać Fionie możliwości spełnienia jej marzeń, i dlatego gotów był się usunąć. Tylko że Fiona nie umiała czy też nie chciała tego poświęcenia przyjąć. I może naprawdę nie zdawała sobie sprawy, że w jego życiu powtórzyła się ta sama historia. Gdy usłyszał jej pierwsze słowa, przed oczami stanęła mu Clare, lecz tym razem ból był nieporównanie większy.

W małżeństwie z Clare brakowało tej więzi i głębi, które były obecne w jego relacji z Fioną. Ufał, że Fionie naprawdę na nim zależy; wiedział, że właśnie ona umiałaby go szczerze pokochać. Już sama myśl o tym była dla niego cenna niczym skarb.

Nie mógł opędzić się od myśli, że Fiona święcie wierzy w to, co przyszła mu oznajmić. Czuł się rozdarty, zmęczony, pełen wątpliwości, których nie potrafił sam rozwiązać. Był wściekły, że cios, który tak bardzo go zranił, nadszedł z najmniej oczekiwanej strony.

Atmosfera w pracy była nie do zniesienia. Fiona unikała go jak ognia, otwarcie i konsekwentnie. Gdy on dokądś wchodził, ona natychmiast wychodziła. Na korytarzu czy w bufecie udawała, że go nie widzi. Gdy już musieli zamienić z sobą parę słów, zwracała się do niego per pan. Oczywiście wszyscy widzieli, co się dzieje. Biedny Martin robił, co mógł, żeby zamortyzować skutki napięcia i pomóc im obojgu. Nikt nie mówił tego głośno, ale było jasne, że Fiona jest bardzo nieszczęśliwa. Wprawdzie z obowiązków wywiązywała się, jak zwykle, nie-nagannie, ale oczy miała zapadnięte i podkrążone. Mówiła cicho i prawie wcale się nie uśmiechała.

Po dwóch dniach takiego koszmaru Jon postanowił poroz-

mawiać z ordynatorem i zrezygnować z dalszego pobytu. Był już w drodze do gabinetu ordynatora, gdy nagle zadzwieczał jego pager. Odebrawszy wiadomość, udał się na oddział położniczy. W pomieszczeniu służbowym zastał Fionę, która nie podnosząc oczu, skinęła mu tylko lekko głową.

- Julia Williamson, lat dwadzieścia pięć, pierwiastka, trzydziesty tydzień ciąży - wyrecytowała bezbarwnym głosem. - Do niedawna żadnych komplikacji. Ostatnie badanie przeprowadzał tydzień temu jej lekarz domowy. Wykryto nieznaczące ślady białka w moczu. Następną wizyta miała się odbyć jutro, ale dziś rano pacjentka upadła w domu i dostała drgawek. Przywieziona do nas karetką. Na nagłych wypadkach podano jej diazepam. My podaliśmy siarczan magnezu, żeby powstrzymać drgawki, i zrobiliśmy wlew labetalolu, żeby obniżyć ciśnienie krwi, które obecnie wynosi sto osiemdziesiąt na sto dwadzieścia pięć.

Jon gwizdnął cicho, ale nie zareagowała.

- Liczba płytek krwi poniżej dziewięćdziesięciu trzech, silnie zaznaczony białkomocz. Brak oznak zagrożenia płodu.

- W porządku. - Jon wolno pokręcił głową. - Przypadki rzucawki połogowej należą raczej do rzadkości. Świetnie się spiszałaś, gratuluję.

- To Martin ją przyjął - odparła obojętnie. - Ja tylko opisuję sytuację. Musiał zejść na dół, do trudnego porodu.

Jonathan westchnął. A więc nie wolno mu nawet wyrazić swego zdania i udzielić jej pochwały.

- Oczywiście najpierw trzeba ustabilizować jej stan - powiedział szybko - ale z powodu drgawek nie da się opóźnić porodu. Jak tylko ją obejrzę, skontaktuję się z pediatrią, a ty złap anestezjologa. Przy narkozie jest większe ryzyko komplikacji, więc zdecydujemy się na epidural. Trzeba zrobić cesarskie.

Mimo że jego umysł był zaprzątnięty tym nagłym przypadkiem, nie mógł nie zauważyć, jak mizernie Fiona wygląda.

A jeśli ona mówi prawdę? Jeśli to rzeczywiście jego dziecko?

Późnym popołudniem odszukał Filipa Reece'a i zamknął się z nim w pokoju.

- To delikatna sprawa... - zaczął skrępowany - więc proszę o dyskrecję.

- Naturalnie - zapewnił go Reece, zdziwiony, ale i zaintrygowany.

- To ty przejąłeś nadzór nad programem sztucznego zapłodnienia, prawda?

- Tak. Czyżbyś zmienił zdanie i chciał to przejąć?

- Nie, chciałbym zrobić badanie spermy, dyskretnie... - Jon odchrząknął. - Czy to możliwe?

- Chodzi o ciebie?

Po chwili wahania przytaknął ruchem głowy i poinformował Filipa o swych problemach.

- Chciałbym sprawdzić, czy coś się nie zmieniło. - Zmusił się do uśmiechu. - Jakoś zręczniejsi mi jest zrobić to tutaj, gdzie jestem tylko przelotnie.

- Oczywiście, nie. ma problemu. Załatwimy to anonimowo. Powiem ci, jaka jest procedura.

Tym razem Jon roześmiał się szczerze.

- Sądzę, że nieźle się w tym orientuję.

Minęło dwanaście godzin, zanim stan Julii Williamson ustabilizował się na tyle, że Jon mógł przystąpić do cesarskiego cięcia. Wokół stołu zgromadziło się wielu doświadczonych pediatrów i anestezjologów, którzy mogli się okazać przydatni w razie nieoczekiwanych komplikacji. W efekcie sala była całkiem zatłoczona.

- Ale cyrk. - Fiona skończyła myć ręce i pokręciła głową.

- Będę tam tylko przeszkadzała. Nikt nie zauważy, że mnie nie ma.

- Ja zauważę - zapewnił ją Martin, uśmiechając się ciepło. Serce mu się krajało, gdy patrzył na jej smutną twarz, zwłaszcza że sam był ostatnio szczęśliwy. - Co powiesz na to, żebyśmy wymknęli się razem?

Przez jej twarz przemknął słaby uśmiech.

- Bardzo chciałbym ci pomóc - dodał serdecznie. - Chyba nie chodzi o Tony'ego, prawda?

- Nie, to już załatwione. Nie przejmuj się mną, Martin, jakoś sobie poradzę. A poza tym pomagasz mi od dawna i przez cały czas. Jeszcze raz ci dziękuję, że zgodziłeś się zastąpić mnie w piątek. Zobaczysz, w poniedziałek naprawdę będę wprost nie do poznania.

- No, nie wpadaj w przesadę - poprosił z udawanym przestraszeniem. - Mogłabyś, nie daj Boże, przestać mi się podobać.

W czwartek późnym popołudniem Jonathan spotkał się z Filipem. Przez chwilę rozmawiali o szczęśliwie zakończonym przypadku Julii Williamson, a potem Filip zamknął drzwi i wręczył Jonowi kopertę z wydrukiem.

- Mniej więcej to samo, co poprzednio - stwierdził Jon, przeczytawszy wyniki.

- Spodziewałeś się większych zmian?

- Szczerze mówiąc, nie, ale wolałem się upewnić. - Raz jeszcze zerknął na wydrukowany na kartce wyrok, a potem spojrzął na Filipa. - Jakie mam szanse na to, żeby w naturalny sposób zostać ojcem?

Filip głęboko się zamyślił.

- Nie spieszyłbym się z kupowaniem pluszowego misia - powiedział wreszcie.

- Domyślam się.

- Ale też nie traktowałbym tych wyników jako dowodu w sprawie o ustalenie ojcostwa - dodał z uśmiechem. - Mało prawdopodobne rzeczy zdarzają się dużo częściej, niż wskazywałby na to rachunek prawdopodobieństwa.

- Chyba tak. Mnie to też przyszło do głowy.

Rozmowa z Filipem uspokoiła Jonathana. Wszystko składa się w całość. Bez wahania poszedł do przychodni i odnalazł tam Martina.

- Czy Fiona spotyka się z Tonym? - spytał prosto z mostu. Martin nie potrafił ukryć zaskoczenia.

- Nie, na pewno nie. Wybrali się z nami do kasyna, ale nic więcej z tego nie wynikło. Dwa razy przysłał Fionie kwiaty, co ją bardziej zakłopotało, niż ucieszyło. O ile wiem, sprawa jest już wyjaśniona i zamknięta. Czemu pytasz? Jest jakiś problem?

- Owszem - mruknął Jonathan - ale nie z Tonym. Gdzie Fiona?

- Puściłem ją wcześniej do domu. Ostatnio źle wygląda.

- Dasz sobie jakoś radę?

- Pewnie. Już kończymy.

- Świetnie. Dzięki, Martinie. Do zobaczenia jutro.

Postanowił pójść do Fiony na piechotę i po drodze wszystko przemyśleć. Może zdoła jakoś naprawić to, co się między nimi popsuło. Może powinni sobie wybaczyć, przeprosić się nawzajem, uwolnić od urazy, tak żeby byli w stanie przynajmniej w zgodzie się rozstać. Przecież nie mógłby wyjechać na drugi koniec świata, wszystkiego przedtem nie wyjaśniwszy. Nadal nie wiedział, co myśleć, w co wierzyć, i okropnie go to nękało. A zarazem dręczyło go przecucie, że Fiona powiedziała mu prawdę i że osądził ją niesprawiedliwie.

Przed nim nie miała żadnego mężczyzny - tego jednego był pewien. Czy naprawdę przypuszczał, że mogłaby tak od razu wskoczyć do łóżka z kimś innym? I to tylko dlatego, że powie-

dział, że nie wierzy w ich wspólną przyszłość? Musi dowiedzieć się prawdy.

Niestety, w domku nie było nikogo i w odpowiedzi na jego pukanie nie zaszczekał nawet pies. Fiona pojechała pewnie do Laury i Alana, a tam nie mógłby z nią rozmawiać. Wrócił do hotelu i dzwonił do niej przez cały wieczór, co godzinę. O dziewiątej podniosła słuchawkę, ale słysząc jego głos, natychmiast się rozłączyła. O dziesiątej i jedenastej w ogóle nie odebrała telefonu, a o północy sygnał był zajęty.

Nawet nie próbował położyć się spać. Im dłużej o tym rozmyślał, tym bardziej się we wszystkim gubił. A może Fiona wcale nie jest w ciąży? Może to stres zaburzył jej cykl? Ale równie dobrze może być w ciąży i nosić w sobie jego dziecko. Czy mogą się jeszcze pogodzić? Czy nie zniszczył wszystkiego nieodwracalnie? Ciężko by mu było żyć z tą świadomością.

Wymyślił też jeszcze inną wersję. Nawet jeśli dziecko nie jest jego, to czy nie mogliby się jakoś porozumieć, pójść na kompromis?

O siódmej rano, niewyspany, przyjechał do szpitala. Miał nadzieję znaleźć Fionę i porozmawiać z nią choćby kilka minut. Szukał jej wszędzie, ale bez powodzenia. Nie próbował skontaktować się z nią za pomocą pagera, bo uznał, że tylko w cztery oczy ma szansę o czymś ją przekonać. Odezwał się natomiast jego własny pager i resztę ranka zmuszony był poświęcić sprawom zawodowym.

Zaczęły się kłopoty z Janet Redbury. Od czasu do czasu miała skurcze i uskarżała się na bóle w plecach. Jonathan zalecił wzmożoną obserwację na monitorze i powtórne podawanie steroidów.

- Dla bezpieczeństwa - poinformował Janet.
- Gdzie jest Fiona? - spytała go. - Chciałabym się z nią zobaczyć.

- Sam jej szukam - odparł. - Też chciałbym z nią porozmawiać.

W porze lunchu zaczął się niepokoić. Wiedział, że Fiona go unika, ale nigdy nie udało jej się to w stopniu aż tak doskonałym. Zdenerwowany, postanowił zadzwonić do Martina.

- Chciałbym mówić z Fioną. Gdzie ona się, do licha, podziewa?

- O rany, to ja ci nic nie powiedziałem? Wzięła dzisiaj wolne, będzie dopiero w poniedziałek. Może ja mogę ci pomóc?

- Wątpię-burknął Jonathan i szybko się rozłączył, po czym natychmiast tego pożałował. Jeszcze jedna osoba, którą trzeba będzie przeprosić, pomyślał, zły na siebie.

Telefonu w domku nikt nie odbierał. Jon chodził od ściany do ściany, zastanawiając się, co robić. Musi być jakieś wyjście, które pozwoliłoby mu przerwać tę udrękę. Nagle doznał olśnienia. Rozwiązanie było tak proste, że nie mógł pojąć, czemu nie wpadł na nie wcześniej.

Wziął książkę telefoniczną i chwilę później zadzwonił do biura na lotnisku w Christchurch.

- Chcę zarezerwować jedno miejsce - powiedział. - Najlepiej na dziś po południu.

Jonathan Fletcher jechał do domu.

---

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

---

Fiona Donaldson również jechała do domu.

Była to długa podróż, ale Fiona nie śpieszyła się i często robiła przerwy na odpoczynek. Poprzedniej nocy, zamiast spać, gapiała się godzinami na telefon, którego słuchawkę odłożyła w końcu na bok. Cóż takiego ważnego Jon mógł mieć do powiedzenia, że tak uparcie do niej dzwonił? Co go nagle opętało? Może wreszcie zrozumiał, że powiedziała mu prawdę?

Nawet jeśli tak, pomyślała, to teraz jest już za późno. Zdradził ją i zamierzała dopilnować, żeby tym razem ich rozstanie było naprawdę ostateczne.

Wczesnym popołudniem zatrzymała się przy jeziorze Tekapo. Wyruszyła z domu dużo później, niż planowała, bo zdrzemnęła się dopiero o świcie i przespała dzwonienie budzika. Wiedziała, że dotrze na farmę po zmierzchu, ale specjalnie się tym nie przejmowała. Rodzice nie wiedzieli, że się do nich wybiera, więc nie będą się też martwić, że się spóźnia.

Wmawiała sobie, że nie powiadomiła ich o swoim przyjeździe, bo chce im zrobić niespodziankę, ale prawdziwa przyczyna była inna: Fiona obawiała się, że rozmawiając z nią przez telefon, matka coś by wyczuła. A ona nie miała najmniejszej ochoty znosić dociekliwych spojrzeń ani odpowiadać na kłopotliwe pytania, nawet gdyby były one wyrazem rodzicielskiej troski. Po prostu cieszyła się, że jedzie do nich i ma dużo czasu,



by w spokoju i samotności zastanowić się, jak też zareagują na wiadomość, którą im przywiezie.

Jeśli, oczywiście, zdecyduje się im powiedzieć, bo wcale nie wykluczała, że być może na razie zachowa ciążę w tajemnicy. Uzależniła to od stanu ojca, któremu nie chciała przysparzać dodatkowych zmartwień. Najbardziej potrzebowała od rodziców ich czułości i wsparcia. Wiedziała, że zawsze je dostanie, nawet jeśli nic im nie powie.

Słońce dawno już zaszło, gdy zamknąwszy za sobą bramę, wjeżdżała na wysadzany drzewami podjazd. Wokół domu panowała cisza, a w oknach paliły się światła. Wdychając świeże powietrze, raz jeszcze uznała, że przyjeżdżając tu, podjęła właściwą decyzję.

Bez pukania otworzyła drzwi i z radością objęła spojrzeniem znajomy, przestronny hol z wyłożonymi czerwonym dywanem schodami na górę. Drzwi do różnych pomieszczeń były pozamykane, a przez szpary przy podłodze nie sączyło się światło.

Nie było w tym nic dziwnego. Wiedziała, że gdy rodzice są sami, rzadko korzystają z całego domu. Używają jedynie sypialni i łazienki na piętrze, zaś resztę czasu spędzają w ogromnej, przytulnej kuchni, nadal ogrzewanej węglem i będącej sercem tego domostwa. Oprócz typowego wyposażenia, w kuchni udało się zmieścić kanapę, kilkanaście krzeseł dla gości, wysokie półki z książkami, a także telewizor. Była pewna, że właśnie tam znajdzie teraz rodziców. Belle przysiadła u jej stóp, ostrożnie merdając ogonem i czekając, aż pani pokaże jej, do którego pomieszczenia wchodzi.

- Chodź, mała. Przywitamy się ze starszuskami. - Fiona ruszyła ku uchylonym drzwiom tuż przy schodach. - Dobry wieczór! Nie bójcie się, to tylko ja.

Z wesołym uśmiechem weszła do kuchni, wyprzedzona

przez piszczącą z radości Belle, i stanęła jak wryta. Rodzice nie byli sami - razem z nimi siedział Jonathan.

- Co ty tu, do diabła, robisz?

Belle, z którą Jon już się witał, odwróciła się do pani, zdziwiona tonem jej głosu. W tej samej chwili Ruth Donaldson podniosła się i szybko podeszła do córki.

- Kochanie, co za urocza niespodzianka! Ale czemu nas nie zawiadomiłaś?

- Gdybym wiedziała, że już macie gościa - odrzekła Fiona - to wcale bym nie przyjechała.

- Uspokój się - rzekł do córki Matthew Donaldson.

Pani Donaldson przytuliła Fionę i pocałowała ją.

- Zjesz coś, dziecko?

- Dziękuję, nie jestem głodna. - Uciekła przed spojrzeniem matki, ale w końcu odwzajemniła pocałunek. - Tak się cieszę, że cię widzę, mamo.

Jonathan zbierał ze stołu talerzyki i filiżanki po kawie. Fiona potraktowała go jak powietrze i przykucnęła przy ojcu.

- Jak się miewasz, tato?

- Jestem zdrow jak rydz. - Ojciec skinął głową w kierunku Jonathana. - Dziękuję ci, chłopcze. W kredensie znajdziesz coś mocniejszego. Wypijemy sobie wszyscy po kropelce.

- Ja dziękuję - zaznaczyła stanowczo Fiona i prawie pobięła za Jonem, który szedł w stronę kredensu. - Coś ty im naopowiadał?

Odwrócił się, odstawił tacę i spojrzał na nią. O nic więcej nie musiała pytać - z jego i ich twarzy wyczytała, że zdążył im wszystko powiedzieć. Ogarnęła ją wściekłość. Nie dość, że dokonał najazdu na świątynię, jaką był jej dom, to jeszcze naruszył jej prawo do prywatności.

- Jak mogłeś! - krzyknęła. - Czy nie dość już narobiłeś szkody?

- Fiono! - W głosie ojca brzmiało wyraźne ostrzeżenie. -  
W tym domu Jonathan zawsze będzie mile widziany. Ja uważam  
go za członka rodziny.

- Co ty mówisz?! - zawołała oburzona. - I to po tym, jak  
nas wszystkich zostawił. Na tyle lat, bez słowa! Widziałeś, jak  
mama strasznie się o niego martwiła? Wtedy jakoś nie stawałeś  
w jego obronie.

- Kochanie, proszę cię, daj mu szansę - wtrąciła pojednaw-  
czo matka. - Pozwól mu przynajmniej wytłumaczyć.

- Ależ pozwoliłam - odparła Fiona z goryczą. - I proszę,  
dokąd mnie to zaprowadziło.

- Przepraszam, tak mi przykro. - Jon odezwał się po raz  
pierwszy od chwili, gdy Fiona weszła do kuchni. - Może nie  
powinienem był tu przyjeżdżać.

- Bardzo dobrze, że przyjechałeś - stwierdziła pani Do-  
naldson. - Jak powiedzieliś, to twój jedyny prawdziwy dom.

- Znajdź tę whisky, chłopcze. - Starszy pan był wyprowa-  
dzony z równowagi i nie radził sobie z tym przykrym incyden-  
tem. - Albo lepiej sam jej poszukam.

Fiona ze złością spojrzała na Jonathana. W jego oczach był  
tylko smutek, który nagle jakoś ją rozbroił.

- Idę na górę- oznajmiła bezbarwnym głosem. - Dzisiaj już  
za późno na podróż. Wyjadę jutro rano.

- Nie ma mowy - zaprotestowała matka. - Nie możesz nam  
tego zrobić.

- Nie ma takiej potrzeby - wtrącił Jon. - Ja wyjadę.

- Nonsens. - Ojciec niósł w rękach karafkę i szklanki. -  
Oboje tu zostaniecie i razem sobie z tym poradzimy. Nie można  
tego ciągnąć w nieskończoność. Nikomu to nie służy.

- To prawda - zgodziła się z nim Fiona. - Jestem tym śmier-  
telnie zmęczona. Wybaczcie, zobaczymy się rano.

Z satysfakcją spostrzegła, że Belle natychmiast zostawiła Jo-

na i wiernie podążyła za nią na górę. Jednak gdy tylko zostały same, znów zebrало jej się na płacz. Ależ się to wszystko skomplikowało, pomyślała z żalem i złością zarazem. Szukała azyłu, odmiany, wytchnienia, a zamiast tego - wojna.

Po jednej stronie barykady była ona sama i Belle. Uważała, że ma powody, by czuć się zraniona i skrzywdzona - na początku ją porzucił, potem dał i odebrał jej nadzieję, a w końcu podał w wątpliwość jej dojrzałość i prawdomówność. Zwątpił nie tylko w jej uczciwość, ale i w samo oddanie. Zakwestionował miłość, którą kiedyś szczerze go darzyła. Kiedyś? Czy ta miłość na pewno należy już do przeszłości?

Po drugiej stronie barykady znalazł się Jonathan. W jego obronie stanęli rodzice - i to w jej własnym domu. Ale czy ten dom jest tylko jej? Czyż sama nie twierdziła zawsze, że Jon jest członkiem rodziny, że właśnie tutaj jest jego miejsce?

Z ulgą przyjęła pukanie do drzwi, które przerwało ten splot myśli i emocji. Do pokoju weszła pani Donaldson z nieśmiałym uśmiechem na twarzy. Trzymała w rękach tacę z miseczką zupy jarzynowej i talerzykiem rogalików.

- Nie ma obawy, bez masła, pamiętam. - Postawiwszy tacę na stolniczku, pogłaskała córkę po głowie. - Tak się cieszę, że przyjechałaś, kochanie. - Przysiadła na łóżku obok Fiony. - Jon zadzwonił około drugiej, żeby spytać, czy może nas odwiedzić. Ogromnie nas zaskoczył, ale ucieszyliśmy się z jego wizyty. Przyjechał późnym popołudniem i długo rozmawialiśmy. - Westchnęła. - Trzeba przyznać, że dużo przeszedł w życiu, ale teraz cierpi nawet bardziej niż przedtem.

- Nie on jeden - mruknęła Fiona.

- Wiem, dziecko. Chcielibyśmy wam pomóc, ale może lepiej, żebyśmy się nie wtrącali. Uważam, że ty i Jon powinniście porozmawiać, i to poważnie.

- I tak już za dużo zostało powiedziane - odrzekła Fiona z rozpaczą.
- A ja sądzę, że za mało. - Podnosząc się, ucałowała córkę w czoło. - Przemyśl to sobie i porządnie się wyśpij.

O dziwo, Fiona rzeczywiście spała długo i spokojnie. Gdy tylko wstała, pośpiesznie się ubrała i wyprowadziła Belle na spacer. W kuchni zastała ojca w towarzystwie Jonathana - kończyli właśnie śniadanie. Obaj wstali o szóstej i wybrali się daleko na rowerach, żeby sprawdzić, jak miewają się owce. Już teraz zetknęli się z przypadkami wcześniejszych narodzin. Fiona zerknęła na pudło obok pieca. Na razie było puste, ale wiedziała, że już niedługo, jak co roku, wypełni się sierotami. Jon podążył za jej spojrzeniem.

- Pamiętasz Iwana? - spytał cicho.

Pewnie, że pamięta Iwana. Jak mogłaby zapomnieć? Przecież właśnie tamtej nocy odkryła, że zakochała się w smutnym studencie, który przyjeżdżał tu razem z jej bratem.

- Co z nim się stało?
- Zdechł - odrzekła beznamiętnie. - Dawno temu.

Ukroiła kromkę chleba i posmarowała ją miodem, ale nie usiadła przy stole.

- Chyba pojeżdżę konno - zwróciła się do matki. - Dobrze mi to zrobi.

- Myślisz, że w twoim... Czy to na pewno dobry pomysł? Fiona spojrzała na wpatrzone w nią twarze i ujrzała na nich wyraz troski. Instynktownie położyła rękę na brzuchu.

- No dobrze - powiedziała z irytacją. - W takim razie pójdę się przejść.

Szła szybko, zła, że nie może jeździć na koniu. Gdyby nikt jej nie przypomniał o jej stanie, na pewno by na niego wsiadła. Wierzyła w swe umiejętności i ryzyko upadku oceniała jako

minimalne. Najwyraźniej inni mieli o niej gorsze mniemanie i sądzili, że sobie nie poradzi. Uzmystowiła sobie nagle, że w wielu sprawach straciła możliwość wyboru, że jej wolność uległa ograniczeniu.

Była przyzwyczajona do czegoś wręcz przeciwnego. Sama wybierała przyjaciół, zainteresowania, sama też decydowała o swej pracy. I we wszystkich tych dziedzinach osiągała cel.

Miłość do Jonathana, ta pierwsza, sprzed lat, nie była jej decyzją - tamto uczucie po prostu na nią spadło. Ale ostatnio, za drugim razem, wybrała już świadomie i liczyła, że jej się powiedzie. A teraz okazało się, że jest w ciąży, i to wcale nie zaplanowanej. Gzuła się wciągnięta w wir tych wszystkich wydarzeń, porwana przez nie i przytłoczona. Miała poczucie porażki, jakby do czegoś nie dorastała, jakby umykało jej coś szalenie istotnego.

Szybki krok i świeże powietrze dobrze na nią wpływały. Z radością pokonywała przestrzeń, pnać się pod górę. Może jeśli wejdzie na szczyt tego wzgórza, to wymyśli jakieś rozwiązanie. Była tak zatopiona w myślach, że nie zauważyła, jaką trasę wybrała. Ani też nie zauważyła, że ktoś idzie krok w krok za nią. Gdy w końcu przystanąła zadyszana, zdumiała się, widząc Jonathana. Rozdrażniła ją jego samowola, bo nie była przygotowana do rozmowy - najpierw chciała mieć czas na rozmówienie się z samą sobą.

Dotarwszy na szczyt, Jonathan padł jak długi na trawę. Leżąc na plecach, wpatrywał się w czyste niebo.

- Ależ ty masz kondycję - wysapał. - Jak ty to robisz?
- Przecież jestem jeszcze taka młodziutka... Pamiętasz?
- Owszem, pamiętam. - Usiadł po turecku.

Przez kilka minut siedzieli w milczeniu.

- Pamiętam też coś jeszcze - odezwał się wreszcie, nieśmiało na nią spoglądając.

- Ciekawe co - mruknęła bez cienia zainteresowania.
- Pamiętam, jak przed laty siedzieliśmy tu razem na tym wzgórzu. A ty to pamiętasz?

Nagle zalała ją fala wspomnień. Zachód słońca, nieuchronne rozstanie - i tamten pocałunek, który nie dawał jej spokoju przez wiele długich lat. Zakłęła w duchu, zła na siebie, że wybrała akurat tę trasę, a potem ponuro uśmiechnęła się pod nosem.

Może to też nie był jej wybór, może uległa podświadomemu impulsowi, nad którym jej wola nie do końca panuje.

- Tak, pamiętam - odparła z pozoru obojętnie. Boże, gdyby on wiedział...

- Wracało do mnie to wspomnienie - wyznał niespodziewanie. - Miałem wrażenie, że popełniłem jakiś błąd, ale nie miałem pojęcia jaki.

Nie odezwała się słowem. Czekwała, co będzie dalej - najpierw pewnie ją przeprosi, a potem, być może, poprosi nawet o rękę. Ale ona odrzuci jego oświadczenia. Właściwie wcale nie chce słuchać, co ma jej do powiedzenia. Poruszyła się, żeby wstać, ale jego głos zatrzymał ją na miejscu.

- Kiedy ktoś cię zrani, tak do żywego, przestaje się ufać komukolwiek. - Mówił spokojnie, tak jakby opisywał jakąś abstrakcyjną prawidłowość, z którą sam nigdy się nie zetknął. - Jeśli to się powtarza, jest jeszcze trudniej. W końcu przestaje się ufać nawet samemu sobie. Oczywiście najciężej jest wtedy, gdy zrani cię ktoś, kogo kochasz i komu absolutnie zaufałeś. Wówczas ból jest nie do zniesienia. Człowiek ma ochotę uciec. Nie chce cierpieć, nie chce czuć, nie chce być.

Nadal na niego nie patrząc, lekko skinęła głową. Czy mówił o tym, że zraniła go Clare, czy o tym, że on zranił ją samą? Czy może o tym, że to ona rani go właśnie w tej chwili?

- Ale ucieczka to pójście na łatwiznę - ciągnął łagodnie.

- Wiem, bo sam próbowałem. I jeśli człowiek chce żyć, to nie jest to żadne rozwiązanie.

Siedziała bez ruchu, a on niespodziewanie wstał, prześliznął się wzrokiem po farmie, zapatrzył na jezioro i góry.

- To najcudowniejsze miejsce na świecie - rzekł cicho, jakby ze smutkiem. - Nadal nic się nie zmieniło. - Ruszył w stronę farmy, po czym nagle się odwrócił. - Niedawno powiedziałaś mi, że nawet nie wiem, jaki jestem głupi. Otóż myliłaś się, Pen.

- Na ustach błąkał mu się słaby półuśmiech. - Myliłaś się, bo ja to wiem.

Patrzyła, jak schodzi w dół, aż wreszcie jego sylwetka zniknęła jej z oczu. Gdy została sama, zadumała się nad tym, co jej powiedział. Właściwie wcale jej nie przeprosił ani nie tłumaczył się przed nią. A jednak ta rozmowa - choć raczej jednostronna

- przyniosła jej ulgę i spokój. Czowała, że teraz łatwiej jej będzie zebrać myśli i prawidłowo ocenić sytuację. Może znajdzie się jakieś wyjście, może nawet dojdą do porozumienia. Wstała i przeciągnęła się, z rozkoszą rozprostowując kości. Gdy ruszała w drogę powrotną, czuła się dziwnie pokrzepiona. Nie był to może czysty optymizm, ale jednak odnalazła w sobie ufność, że jakkolwiek skończy się ta historia, ona sama wyjdzie z niej zwycięsko, bogatsza o nowe doświadczenia. Zrozumiała, że nadal może podjąć parę ważnych decyzji.

Wróciła do domu tuż przed lunchem. Cieszyła się z krzątaniny w kuchni i przygotowań do posiłku, które wykluczały poruszanie trudnych tematów. Starła się wyglądać na wesołą i chwilami wspierała matkę w podtrzymywaniu uprzejmej konwersacji. Zauważyła, że Jon często zerka na ojca, i była ciekawa, co jest tego powodem.

Ojciec niewiele jadł i sprawiał wrażenie zmartwionego. Fiona czuła się winna, że obarczyła go swoimi problemami, co



przecież musiało się odbić na jego i tak już nie najlepszym zdrowiu. Spostrzegła, że ojciec często pociera ramię i że z trudem łąpie oddech w zbyt dusznej dla niego kuchni. Na czoło wystąpiły mu kropelki potu. Również matka patrzyła na niego z z troskaniem.

- Przepraszam, chyba niepotrzebnie tu napaliłam. Wydawało mi się, że jest chłodno.

- Na pewno nic ci nie jest, Matt? - Ton głosu Jona wzbudził w Fionie niepokój.

- Oczywiście, że nie - zachnął się starszy pan, powoli wstając z miejsca. - Muszę tylko zaczerpnąć świeżego powietrza.

Jonathan wyszedł za nim na dwór. Matka i Fiona wymieniły szybkie spojrzenia i także podeszły do drzwi. Zobaczyły, że Matthew zwolnił kroku i przystanął, a wówczas Jon pomocnie podał mu ramię.

Fiona spodziewała się, że ojciec go odtrąci, ale z przerażeniem ujrzała, że osuwa mu się w ramiona - bezwładny, bez sił, gotów zaraz stracić równowagę. Jonathan ostrożnie ułożył go na ziemi, a Fiona podbiegła do nich i przyklękła przy głowie ojca.

- Nie oddycha - szepnęła wstrząśnięta i z rozpaczą popatrzyła na Jona. - Musimy coś zrobić. Ratuj go.

Jonathan przystąpił do masażu serca, a potem poprosił Fionę, żeby mu pomogła zrobić ojcu sztuczne oddychanie. Nie stracił zimnej krwi, toteż i jej udzielił się jego spokój. Chociaż była śmiertelnie przerażona, nie wpadła w panikę i sprawnie z nim współdziałała.

- Dobrze, przestań na chwilę. - Jon przykucnął przy chorym i sprawdził jego puls.

- Zaczął oddychać - szepnęła Fiona z ulgą.

- Rytm wrócił do normy. - W głosie Jona wciąż było napięcie. - Masz aspirynę, Ruth?

- Oczywiście - odparła matka - ale co to ma...?  
- Wiec szybko ją znajdź, i przynies tu jakieś koce. Pen, masz w samochodzie apteczkę?

- Tak. Już po nią biegnę.

Pan Donaldson prędko odzyskiwał przytomność.

- Postaraj się na razie nie ruszać - polecił mu Jon. - Musimy jeszcze odrobinę uważać. Jak tam ból?

Minutę później Fiona i jej matka były już z powrotem. Jon włożył choremu do ust tabletkę aspiryny.

- Rozgrzyż ją, to szybciej zadziała.

- Nie rozumiem, w czym to może pomóc - denerwowała się pani Donaldson. - Przecież on ma atak serca, prawda?

- Chyba tak - przytaknął Jon. - W tej chwili aspiryna to najlepsze, co możemy mu podać. Atak serca spowodowany jest przez skrzep, który blokuje tętnicę, a aspiryna oddziałuje na płytki krwi, zmniejszając jej kleistość. Utrudnia proces krzepnięcia. - Spojrzał na Fionę. - Masz w apteczce kaniulę? I może trochę solanki? - Skinęła głową. - A morfinę?

Uważnie przejrzała zawartość małego, podręcznego plecaczka.

- Podamy mu dwa i pół miligrama morfiny.

Obecność Jonathana i jego opanowanie pozwoliły Fionie otrząsnąć się z początkowego szoku. Wiedziała, że gdyby nie on, zapewne straciłaby głowę. Na co mi to całe wykształcenie, pomyślała, skoro nie umiałabym uratować własnego ojca?

- W porządku. - Jon odetchnął z ulgą. - Teraz przewieziemy go do szpitala. Domyślam się, że na helikopter nie ma szans?

Pani Donaldson pokręciła głową.

- No to nie ma co się zastanawiać. Umieścimy go z tyłu samochodu. Dasz radę prowadzić, Ruth?

Pani Donaldson przytaknęła głową i Fiona stwierdziła w duchu, że matka świetnie nad sobą panuje. Jechali możliwie

szybko, ale nadzwyczaj ostrożnie. Po półgodzinie dotarli do szpitala w Queenstown, gdzie Jonathana przedstawiono doktorowi Holdenowi, który ucieszył się z tak kompetentnej asysty.

Elektrokardiogram wykazał poważne zmiany spowodowane zawałem. Jon zaproponował dożylny atenolol.

- Trzeba rozpuścić skrzep - zwrócił się do doktora Holden.
- Co pan powie na streptokinazę?

Lekarz pokręcił głową.

- Musicie go przewieźć do szpitala, w którym mają oddział chorych na wieńcówkę. Dunedin jest daleko; dowiem się, czy nie ma jakichś lotów do Christchurch.

Jon zerknął na panią Donaldson, która czule trzymała męża za rękę, a następnie zwrócił się do Fiony:

- Nie mamy dużo czasu. Streptokinaza ma sens w ciągu czterech do sześciu godzin po zawale, a godzinę już straciliśmy.

Doktor Holden wrócił od telefonu.

- Zaraz będzie lot do Christchurch. Mogą na was poczekać dwadzieścia minut.

Jon energicznie skinął głową.

- Dobrze. W samolocie będzie nam potrzebny sprzęt do reanimacji. Defibrylator, rurka dotchawicza, worek Ambu, tlen...

- Doktor Holden szybko kompletował wymieniane przez niego pozycje, układając je na stoliku. Wręczył Fionie klucz do szafki na leki, gdy tymczasem Jon uzupełniał listę. - Lidokaina, adrenalina...

- Myślałem, że jest pan ginekologiem? - zdziwił się doktor Holden. - A zna się pan na rzeczy jak kardiolog.

- Solidna wiedza ogólna zawsze się może przydać. Już nieraz się o tym przekonałem.

Do pomieszczenia weszło dwóch sanitariuszy z noszami.

- Zabieramy cię do Christchurch - rzekł Jon do starszego

pana. - Mają tam lepsze wyposażenie i przywykli do chorych na wieńcówkę.

Pan Donaldson lekko skinął głową. Wyglądał na przestraszonego, ale mimo to w oczach obojga rodziców Fiona dostrzegła wyraz zaufania do Jona. Uświadomiła sobie, że zaufanie, jakim sama go darzy, jest niemal bezgraniczne.

Przejazd ze szpitala na lotnisko i wejście do samolotu przypomniały Fionę o taki stres, że czuła się, jakby się zbudziła z długiego, koszmarnego snu. Wiedziała, że nigdy tych chwil nie zapomni. Wciąż rósł jej podziw dla Jona, który cierpliwie dawał jej otuchy. Gdy byli już na pokładzie, nagle sobie coś uprzytomniła.

- O Boże, Belle... Tak po prostu ją zostawiliśmy - powiedziała zdenerwowana.

Jon nałożył panu Donaldsonowi maskę tlenową, a następnie odwrócił się do pielęgniarki:

- Czy moglibyście poprosić policję, żeby przypilnowała farmy Donaldsonów? - Uśmiechnął się do Fiony. - Jest tam suka rasy border collie, którą trzeba się zaopiekować.

- Niech policja zajrzy do sąsiadów. Nazywają się Taylorowie - wtrąciła pani Donaldson. - Gwen będzie wiedziała, co robić.

Chociaż lot zajął niecałą godzinę, Fionie wydawało się, że trwa wieczność. Na monitorze zobaczyła, że częstość akcji serca spada do bradykardii. Przytknąwszy ojcu dłoń do czoła, stwierdziła, że jest chłodne i wilgotne. Znowu zaczął się pocić.

- Jon! - wykrzyknęła błagalnie.

- Uspokój się, Pen, wszystko dobrze. - Nabrał płynu w strzykawkę i spojrzął na nią. - Ufasz mi?

Ich oczy na moment się spotkały i Fiona skinęła głową. Oboje wiedzieli, że zarówno pytanie, jak i odpowiedź dotyczą czegoś więcej niż tylko obecnej sytuacji.

- To atropina - wyjaśnił. - Powinna pomóc na bradykardię, która jest pewnie efektem morfiny.

Stan ojca szybko się poprawił, ale Fiona wciąż patrzyła na monitor. Była wdzięczna Jonowi, że tak panuje nad sytuacją. Uzmysłowała sobie, że jej złość się ulotniła.

Naprawdę mu ufa, bardziej niż komukolwiek na świecie. Chociaż w gniewie wypowiedziała wiele ostrych słów, nigdy nie przestała go kochać ani być wobec niego lojalna. W głębi duszy była przekonana, że i on czuje podobnie. Tyle że nie dała mu szansy, aby mógł to jasno wyrazić.

Okoliczności nadal nie sprzyjały czynieniu podobnych wyznań, ponieważ wysiadłszy z samolotu, znów udali się do szpitala, gdzie Jon oddał pacjenta w ręce kardiologów, którym relacjonował właśnie przebieg wydarzeń.

Fiona i jej matka nerwowo krążyły po poczekalni. Pani Donaldson zadzwoniła do sąsiadów, prosząc ich o zrobienie kilku rzeczy na farmie, Fiona tymczasem zadzwoniła z drugiego telefonu do Daniela i do Laury. W takich ciężkich chwilach jak ta, pomyślała, rodzina jest największym wsparciem. Siły się jednoczą, więzy zacieśniają. Tak, Jonathan ma rację, przemknęło jej przez głowę: rodzina jest najważniejsza.

Gdy do szpitala przybyła Laura, Jonathan oznajmił im, że nie ma powodów do obaw. Pani Donaldson i jej starsza córka poszły porozmawiać z chorym, zostawiając Fionę sam na sam z Jonem. Oboje milczeli przez chwilę, ale tym razem panująca między nimi cisza była wolna od napięcia. Jon wyciągnął ręce i ujął dłonie Fiony.

- Nie czas teraz na rozmowy, Pen. Po pierwsze dlatego, że musicie się skupić na ojcu. - Serdecznie ścisnął jej ręce, a potem je puścił. - Po drugie dlatego, że sam wykopałem sobie grób. Pozwoliłem, żebyś uwierzyła, że są rzeczy ważniejsze niż my dwoje. Rozumiem, że właśnie tak to wszystko zinterpretowałaś.

Otóż wcale tak nie uważam, ale wiem, że nie musisz mi wierzyć.

Nie chciałem cię zranić i nie chcę cię obrażać, i mimo że czegoś bym pragnął, wiem, że nie mam prawa...

Już otworzyła usta, by się odezwać, ale delikatnie przytknęła jej do warg palec.

- Nic nie mów, Pen, proszę. Niech się to wszystko uspokoi i ułoży. Odetchnijmy przez parę dni, a jeśli trzeba, to nawet dłużej. Na razie nigdzie nie wyjeżdżam, a gdybym podjął taką decyzję, to pierwsza się o tym dowiesz.

- Dziękuję ci. - Stała na palcach i pocałowała go lekko w policzek. - Za to, co przed chwilą powiedziałeś, i za to, co dziś dla nas zrobisz. Gdyby nie ty, nasza rodzina nie byłaby teraz w komplecie.

Tego samego dnia wieczorem Fiona wykorzystała swe umiejętności, by jeszcze raz. wśliznąć się do pokoju ojca. Wyglądał, jakby spał, więc zdziwiła się, słysząc jego głos.

- Dzielny z niego chłopak, co?

Przytaknęła ruchem głowy. Nie uległa wątpliwości, że ojciec ma na myśli Jonathana.

- Chyba wiesz, że on cię kocha?

Znów skinęła głową.

- I ty też go kochasz, prawda? - Mówił coraz wolniej, bo nadal łatwo się męczył.

- Zawsze go kochałam, tato.

- No to lepiej za niego wyjdź.

- Bardzo chętnie, tatusiu. Tylko że jest pewien problem.

- Co znowu? - wymamrotał zaspanym głosem.

- Jeszcze mnie o to nie poprosił.

---

## *ROZDZIAŁ DZIESIĄTY*

---

Następne parę dni minęło Donaldsonom jakby w półśnie. Zebrał się cały klan rodzinny. W sobotę wieczorem z Auckland przyjechał Daniel, któremu Fiona przygotowała spanie na kanapie w swoim salonie. Ruth Donaldson zatrzymała się u Laury i Alana, chociaż większość czasu i tak spędzała w szpitalu. Składali choremu wizyty na zmianę, żeby go bardzo nie męczyć. Kiedy wracali do domu, dużo rozmawiali.

Fiona z przyjemnością odnotowała, że jej krewni traktują Jonathana jak swego, a nawet uważają go za kogoś w rodzaju bohatera. Dziękowano mu za pomoc, proszono go o rady, poszukiwano jego towarzystwa. W niedzielę wieczorem Jon przyniósł im dobrą wiadomość: wyniki badań potwierdzały, że Matt ma duże szanse na pełny powrót do zdrowia. Dzięki temu niedzielna kolacja zamieniła się w radosne przyjęcie, a narada rodzinna, która odbyła się później, była przesycona optymizmem.

Wspólnie ustalono, że gdy tylko Matthew wyjdzie ze szpitala, państwo Donaldson przeprowadzą się do domku postrzygacza. Daniel miał dopilnować, by na czas dokończono wystroju jego wnętrza. Laura i Alan postanowili szybko przenieść się z dziećmi na farmę i zadbać o gospodarstwo.

Pomysł był dobry i trzeba było go tylko zrealizować. Fiona pomagała matce i siostrze w pakowaniu, natomiast Alan, Daniel i Jon dopracowywali szczegóły organizacyjne. Tak się jakoś składało, że najlepiej myślało im się w pubie...

Naturalnie przez cały ten czas Fiona i Jon chodzili do pracy.

Martin z Jonem wyręczali ją, jak mogli, co było miłe, ale wywoływało w niej wyrzuty sumienia. W poniedziałek rano ani razu nie była w sali operacyjnej, toteż po południu postanowiła dać z siebie wszystko w przychodni. Nie zdążyła jednak nawet wpuścić pierwszej pacjentki; ponieważ wezwano ją na oddział. Znowu były kłopoty z Janet Redbury. Dostała silnych skurczy, toteż Fiona szybko ją obejrzała.

- Coś mi się zdaje, że Daisy śpieszy się na ten świat  
- oznajmiła po badaniu. - Zadzwoń po Jonathana.  
- Ale to jeszcze za wcześnie - jęknęła Janet. - Nie możecie tego powstrzymać?

- Już nie - zawyrokowała Fiona, ściskając pacjentkę za rękę. - Ale nie martw się, wszystko będzie dobrze.

Jon był podobnego zdania.

- I tak jestem zdziwiony, że tak długo nam się udało - powiedział. - Który to tydzień?

- Prawie dwudziesty ósmy.

- Wcześnie, ale są podstawy, żeby ufać, że wszystko dobrze się skończy. Załatw salę i złap kogoś z pediatrii, dobrze? Na razie muszę pomóc Martinowi.

Fiona ucieszyła się, że może skupić energię na czymś, co jest tak drogie jej sercu. Jon pozwolił, by osobiście przyjęła poród. Pierwszy raz w życiu miała do czynienia z dzieckiem urodzonym aż tak wcześnie, toteż obchodziła się z nim jak z jajkiem. Była wdzięczna, że Doreen Roberts zajęła się dalszą opieką, i zrobiło jej się przyjemnie, gdy lekarka ją pochwaliła. Maleństwo okazało się dziewczynką - chudziutką i drobną, ale na szczęście zdrową. Doreen była dobrej myśli.

- Przez ostatnie tygodnie dziecko rośnie jak na drożdżach. Jest lepiej, niż można by się spodziewać. Świetnie się spisaliście,

Odprawiając wzrokiem córeczkę, którą przewożono do inkubatora, Janet i jej mąż również wyrazili swe uznanie.



- Tobie to zawdzięczamy - rzekła Janet do Fiony, szczerze wzruszona. - Nie wiesz, ile to dla nas znaczy.

Fiona dyskretnie położyła sobie rękę na brzuchu, częściowo zakrytym białym żakietem.

- Chyba wiem - powiedziała z tajemniczym uśmiechem.
- No i chwała Bogu, że dziewczynka! - ciągnęła Janet.
- Tak, Daisy to nie najlepsze imię dla chłopca.

Gdy Fiona rozmawiała z Janet, Doreen kręciła się w pobliżu Jonathana. Fiona spostrzegła, że pochwyciła jego spojrzenie. Zagadnęła go półgłosem, ale Fiona i tak usłyszała jej słowa.

- Może wpadłbyś dziś do mnie na kolację? Mam w lodówce kawałek sarniny.

- Dzięki, Doreen, ale nie. Jestem trochę zajęty.

Fiona pośpiesznie zaczęła mierzyć Janet ciśnienie, ale serce waliło jej jak młotem. Ciekawa, co będzie dalej, zwlekąca z włożeniem słuchawek do uszu.

- No to może jutro? - W głosie Doreen brzmiała pewność, że tym razem jej nie odmówi.

- Nie, raczej nie.

Fiona przygryzła wargi, powstrzymując uśmiech. Nie odważyła się spojrzeć na Doreen i sprawdzić, jak też przyjęła to grzeczne acz stanowcze odrzucenie.

- W gruncie rzeczy - dodał Jon - jestem wegetarianinem.

Martin badał ostatnią pacjentkę, gdy Fiona zeszła wreszcie na dół. Po drodze minęła salową, która myjąc podłogę, ofuknęła ją za to, że zostawia mokre ślady. Skierowała się do pokoju Lizy, która też szykowała się już do wyjścia. Fiona wśliznęła się do środka i zamknęła za sobą drzwi.

- Znajdziesz czas dla jeszcze jednej pacjentki?

Twarz Lizy wykrzywiła się w grymasie.

- Martin zaprosił mnie na kolację. - Miejsce grymasu zajął

nieśmiały uśmiech. - Obchodzimy dziś małe święto. - Wyciągnęła rękę, żeby pokazać Fionie pierścionek.

- No, no! Moje gratulacje! Szybko się z tym uwinęliście.

- No bo wiesz, jeśli ma się pewność, że to właściwa osoba, to nie ma na co czekać, prawda? A jeśli się tej pewności nie ma, to widocznie to nie jest ta osoba.

- Chyba masz rację - odrzekła Fiona.

Czy ona sama ma wątpliwości? Tak, chyba tak, ale to on zasiał w niej ziarno zwątpienia. A teraz od niej zależy, czy pozwoli mu urosnąć. Nareszcie zrozumiała, na czym polega jej nowa wolność wyboru, jaką to samodzielną decyzję może podjąć. I uzmysłowiła sobie, że wciąż zwleka z jej podjęciem.

- Na pewno jesteście bardzo szczęśliwi. - Uśmiechnęła się szeroko do Lizy. - Nie będę cię dłużej zatrzymywać.

- Co to miała być za pacjentka?

- Ja.

Liza zrobiła taką minę, że Fiona nie mogła się nie roześmiać.

- Na początku zareagowałam tak jak ty, ale teraz już się z tym oswoiłam. I naprawdę się cieszę. Tylko na razie, bardzo cię proszę, nikomu o tym nie wspominaj.

Liza podeszła do drzwi i zamknęła je na zasuwkę.

- Chodź, mamy jeszcze parę minut.

- Dzięki, Lizo. - Fiona położyła się na łóżku i zsunęła do kolan legginsy, pokazując jeszcze płaski brzuch.

- Słyszałaś, że Jack Owens postanowił zostać w Walii? - spytała Liza, ponownie uruchamiając aparaturę.

- Obiło mi się o uszy, ale nie byłam pewna, czy to prawda. No to Martin będzie zachwycony. Ma duże szanse zając jego miejsce.

- Sama nie wiem - odrzekła Liza w zadumie. - Gdy rozmawiał o tym z Jonem, ten poradził mu żartem, żeby się zastanowił, czy nie lubi czasem Walii.

- Jak myślisz, co chciał przez to powiedzieć? - Fiona zerknęła na migoczący ekran.

- Chyba to, że nie zamierza stąd wyjeżdżać. W każdym razie Martin tak to rozumiał i trochę się zmartwił. Gdyby miał współzawodniczyć z Jonem, miałyby marne szanse. - Westchnęła, ale się rozchmurzyła. - Nieważne, spójrzmy, co tu mamy.

- Wiem, że jeszcze za wcześnie, żeby wszystko zobaczyć - pośpiesznie wtrąciła Fiona - ale bardzo chciałabym sprawdzić chociaż jedną rzecz.

W połowie tygodnia pana Donaldsona przeniesiono z oddziału intensywnej terapii do zwykłej sali, gdzie rozpoczął się proces rehabilitacji. Niebezpieczeństwo zostało zażegnane i nareszcie można było się skupić na konkretnych sprawach.

- Tata wciąż zamartwia się owcami - stwierdziła Fiona - a to nie pomaga w zdrowieniu.

- To prawda - zawtórowała jej matka. - Taylorowie robią, co mogą, ale przecież muszą się zajmować swoją farmą.

- Pomyślałem o tym - oznajmił Alan. - Pojadę tam w najbliższy weekend.

Daniel podał Fionie salaterkę z sałatką.

- W pojedynkę Alan sobie nie poradzi. Wynajmijmy kogoś do pomocy. Na pewno znajdą się jacyś chętni. Sam bym z nim pojechał, ale jutro muszę wracać do Auckland. Czekają na mnie w pracy. I nie ukrywam, bardzo tęsknię za Shelley.

- A ja za Belle - szepnęła Fiona.

- Nic jej nie będzie - uspokoił ją Alan. - Przecież spędziła na farmie prawie całe życie.

- Gwen na pewno się o nią troszczy - zapewniła córkę pani Donaldson. - Naprawdę nie musisz się martwić.

- Pomyśli, że ją zostawiłam - upierała się Fiona. Spozrzeg-

ła, że Jon patrzy na nią i uśmiecha się ze zrozumieniem. Odwzajemniła uśmiech. On jeden nie uważał, że przesadza.

Gdy w czwartek rano przyszła do pracy, Jonathan odesłał ją do domu.

- Biegnij się pakować. O dziesiątej lecimy do Queenstown. Wszystko już załatwiłem.

Na znak protestu potrząsnęła głową, ale nie ustąpił.

- Po pierwsze, muszę odwieźć sprzęt, a po drugie, Belle usycha z tęsknoty. Zapomniałaś?

Przekonana, z uśmiechem skinęła głową.

- Mógłbym to sam załatwić, ale pomyślałem, że nie zaszkodzi, jeśli zajrzysz na farmę jeszcze przed przyjazdem Alana.

Zadzwoń do ojca, to się ucieszy.

- No i trzeba sprowadzić mój samochód.

- Wróciłbym nim tutaj, ale moim zdaniem przyda ci się mały urlop. Ostatnio twoje wolne dni nie były zbyt udane, co?

- Nie bardzo...

- Poza tym najwyższy czas, żebyśmy wreszcie porozmawiali - dodał cicho. - A najlepiej rozmawia się w domu, prawda?

Gdy szybując po bezchmurnym niebie, które odbijało się w tafli jeziora, samolot zniżył się do lądowania, Fiona pomyślała, że Jon ma rację. Jeśli mają sobie wszystko wyjaśnić i odzyskać spokój, to powinno się to stać właśnie tutaj, w domu.

Na lotnisku wypożyczyli półciężarówkę i wyładowali ją sprzętem, który Jon miał zawieźć do szpitala. Najprościej byłoby podrzucić go tam od razu, ale Fiona nie mogła się już doczekać spotkania z Belle, toteż najpierw pojechali na farmę.

W drodze gawędzili o białostkach, swobodni i odprężeni. Wiedzieli, że okoliczności im sprzyjają i że z niczym nie muszą się śpieszyć. Fiona odniosła wrażenie, że Jon wołałby, by to ona

zapoczątkowała rozmowę, i że bardzo się pilnował, by nie wywierać na nią żadnej presji.

Gdy dotarli na miejsce, porozmawiali z Taylorami i zjedli u nich szybki lunch. Na widok Fiony Belle szalała z radości, a pani nie pozostała jej dłużna. Potem Jon pojechał do szpitala, Fiona natomiast przystąpiła do pakowania rzeczy, o przywiezieniu których prosiła ją matka.

Sprzątając w kuchni, z bólem przypomniała sobie chwilę, w której ojciec zasnął. Jego nie dojezony lunch nadal stał na stole. Gwen Taylor nie mogła tu zrobić porządku, ponieważ policja zatrzymała klucze. Inna rzecz, że wszyscy mieli teraz tyle roboty przy owcach, że mogłaby po prostu nie zdążyć.

Jon długo nie wracał i Fiona uznała, że znajomi ze szpitala zaprosili go pewnie na piwo. Z przyjemnością napaliła w piecu i rozkoszowała się bijącym z niego ciepłem. To już chyba ostatnie chłodne dni, pomyślała.

Wyjęła z lodówki zupę i postawiła ją na piecu, a następnie odszukała swą kurtkę z kapturem i grube rękawiczki. Już wcześniej postanowili, że po południu wybiorą się na przejażdżkę rowerową, by sprawdzić, co z owcami. Teraz jednak zaczęła się obawiać, że mogą nie zdążyć przed zmierzchem, toteż postanowiła zajrzeć tylko do najbliższej zagrody przy domu. Resztę objedziemy jutro, pomyślała.

Obszedłszy stajnie i przybudówkę, poszła w górę przełazem i patrzyła, jak Belle przeciska się przez otwór w drucianej siatce. Owce znalazły schronienie pod sosnami i Fiona już z daleka zauważyła, że przybyło młodych. Nie zauważyła natomiast, że ktoś podążył jej śladem. Trochę zdyszana, zwolniła kroku.

Belle dreptała u jej boku, nie zwracając uwagi na owce. Była już za stara i zbyt poważna na to, żeby uganiać się za bezmyślnymi kłębami wełny. Nagle jednak przystanęła i szczerkaniem zwróciła uwagę swej pani na leżącą owcę, która, najprawdopo-

dobniej z bólu, rozkopała wokół siebie ziemię. Sytuacja była oczywista: owca, która wyglądała na martwą, nie mogła dokończyć porodu - z jej ciała wystawał łepok i nóżka jagnięcia.

- Cholera! - Gdy Fiona pobiegła na pomoc, okazało się, że owca żyje. Ostatnim wysiłkiem stanęła na nogi i drobiać, ruszyła w górę. - Zatrzymaj ją, Belle! - poleciała.

Mimo swego wieku Belle była całkiem sprawna. Przyjmując czujną postawę, zagroziła owcy drogę. Fiona wiedziała, że jeśli owca wpadnie w panikę, to gnana strachem, może rzucić się na oślep przed siebie, a tego rodzaju wyścig mógłby się skończyć fatalnie. Wtem obok Fiony pojawił się Jonathan. Uśmiechnęła się na jego widok i zwycięsko podniosła kciuki.

We trójkę zapędzili owcę do rogu, po czym Jon zmusił ją, by się położyła i mocno przytrzymał za głowę.

- Sprawdź, co można zrobić. Chyba że wolisz zająć się górą?
- O nie, dziękuję. Na dole jest o wiele ciekawiej.

Owca była zbyt wycieńczona, by przeciw, toteż wyciągnięcie jagnięcia nie przyszło Fionie łatwo. Matka i małe leżały bezwładnie, nie rokując specjalnych nadziei.

- Źle to wygląda - oceniła Fiona ze smutkiem.  
- Czekaj, nie poddawajmy się tak łatwo. - Jon zebrał z ziemi garść igieł sosnowych i natarł nimi jagnię, a następnie oczyścił mu pyszczek i przyłożył je matce do wymienia, z którego wycisnął trochę mleka. O dziwo, zwierzątko ożyło i zaczęło ssać. - Co z matką? - zapytał.

- Zdycha - odparła cicho. - Nic już dla niej nie możemy zrobić. Właśnie tego tata się obawiał. Że jak go tu zabraknie, to takich przypadków będzie więcej.

- Ale przynajmniej maleństwo szybko doszło do siebie. - Schował sobie jagniętko pod kurtkę. - Pierwszy kandydat do pudła. Jak myślisz, następny Iwan?

- Nie można zawrócić czasu, Jonathanie. To nie takie proste.

- Wiem, ale niekiedy można zacząć od początku.  
- Owszem. Ale myślałam, że ty masz już dosyć zaczynania wszystkiego od początku?

- W pewnym sensie, dlatego tym razem zachowam w pamięci to, co dobre, a z tego, co złe, wyciągnę wnioski na przyszłość. Ogólnie biorąc, uważam, że na tym dobrym możemy dużo zbudować. A co ty o tym myślisz, Pen?

Wiedziała, że nie musi odpowiadać, że nawet jeśli zmieni temat, zostanie to zaakceptowane. Ale wiedziała też, że nie chce dłużej zwlekać z podjęciem decyzji.

- Tak - przyznała. - Ja też myślę, że jest na czym budować.  
- Przynęła się do niego i pogłaskała wystającą mu spod kurtki weterkę. - Chodźmy, włożymy Iwana Drugiego do pudła. Robi się ciemno i zimno, i jestem strasznie umorusana.

Trzymając się za ręce i potykając w mroku, wrócili do domu razem z Belle i jagniątkiem. W kuchni było ciepło, a zupa, podgrzana na piecu, pachniała apetycznie. Fiona poszła wziąć prysznic, a Jon umieścić jagnię w przeznaczonym dla sierot pudle.

Gdy zaczęli jeść kolację, był już późny, mroźny wieczór. Przynęli się z krzesłami do pieca i maczali chleb w gorącej, pysznej zupie. Nagle Iwan wystawił główkę z pudła i zabeczał głośno. Najwyraźniej był już w dobrej formie. Roześmiali się oboje i ich spojrzenia się spotkały.

- Kocham cię, Pen.  
- Wiem. - Nieśmiało się uśmiechnęła. - Ja ciebie też.  
- Nigdy ci tego nie mówiłem, bo bałem się, że mnie nie usłyszysz. Przepraszam.

Spuściła oczy, wpatrując się w kubeczek z zupą.

- Wiesz, żałuję swoich błędów...  
Zerknęła na niego przelotnie.

- Chcesz powiedzieć, że popełniłeś więcej niż jeden?

Posłał jej ten swój przepraszający półuśmiech.

- Obawiam się, że całą masę, ale mam na myśli dwa. Po pierwsze, zwątpiłem w prawdziwość twoich słów. Albo raczej zwątpiłem w to, że naprawdę ci na mnie zależy, i w swojej bezdennej głupocie założyłem, że po tym, co między nami zaszło, mogłabyś natychmiast pójść do łóżka z kimś innym.

- Tak, to przypuszczenie faktycznie było głupie i niegodne, ale znając twoją historię i patrząc na nią z twojego punktu widzenia, postanowiłam ci przebaczyć.

Odstawił na piec pusty kubek po zupie.

- Drugi błąd polegał na tym, że to, co nas łączyło, uznałem za niewystarczające. Sądziłem, że robię słusznie, rezygnując z naszego związku, ale zapomniałem, że i ty masz coś do powiedzenia. O wszystkim chciałem decydować sam, a przecież nie miałem do tego prawa. No i w efekcie wywołałem emocjonalną zawieruchę, skazując nas oboje na zagubienie i ból.

- Ja sama też nieźle namieszałam - pocieszyła go. - Wybaczę ci, jeśli ty mi wybaczysz.

- Załatwione.

- Ale uważaj, następnym razem nie będę już taka wspaniałomyślna.

- Nie będzie następnego razu - obiecał. - Już nigdy nie zwątpię w ciebie ani w siebie, ani w nas.

- No to jak, zrobisz ze mnie uczciwą kobietę?

- Oczywiście, tylko daj mi czas na kupienie pierścionka i znalezienie romantycznego miejsca, w którym będę ci mógł go wręczyć. Chcę, żeby wszystko było jak należy. A właściwie: żeby było doskonale.

- Zgoda - odparła z zadowoleniem. - Chcesz jeszcze zupy?

- Owszem, chętnie.

Gdy zjadł, usiedli bliżej i wzięli się za ręce.

- A zatem, gdzie i kiedy? - spytał.



- Oczywiście tutaj, to przecież nasz dom. - Wiedziała, że chodzi mu o ślub. - Na Boże Narodzenie. Dzięki temu w każdą rocznicę będziemy mieli dużo gości.
  - Tak. I będzie już wiadomo, czy moja dzisiejsza akcja przyniosła jakieś rezultaty.
  - Jaka znowu akcja?
  - Staram się o posadę w tutejszym szpitalu. Myślisz, że mogłabyś się obejść bez tłumów, wieźowców i korków?
  - Chętnie z nich zrezygnuję. Ale czy tobie nie będzie ich brak?
- Nachylił się ku niej i leciutko pocałował w usta.
- Ani trochę. Tu będę najszczęśliwszy, tu jest nasze miejsce.
  - Wspaniale! A jeśli o mnie chodzi... Cóż, zawsze można zostać lekarzem ogólnym. Pod warunkiem, że nie koliduje to zbyt z wychowywaniem dzieci.
  - Ano właśnie, skoro już o tym mowa. Nie myślałem, że kiedykolwiek będę ojcem, więc nawet nie umiem wyrazić, jak bardzo się cieszę z tego dziecka. - Lekko zmarszczył brwi. - Tylko obawiam się, że taki cud więcej się nie powtórzy, a ty, o ile pamiętam, upierałaś się przy sześciorgu...

Przygryzła wargi, z trudem powstrzymując uśmiech.

- Ale w końcu przyznałam, że zgodziłabym się na dwójkę.
- Aż otworzył usta ze zdumienia.
- Nie chcesz chyba powiedzieć, że...?
  - Ależ tak, właśnie to chcę powiedzieć. Łamanie tradycji rodzinnej nie leży w mojej naturze.

Iwan znów wystawił łepkę z pudła i zabeczał radośnie, jeszcze głośniejsze niż poprzednio. Jonathan ze śmiechem przytulił Fionę i pocałował tak, że zaszumiało jej w głowie.

- Wspaniale!